

OPWIĘSZEŃ W WIELKOCYFROWYCH EDYCjach „PIRATES” WYDAWSTWA „ZAGROBIE”

Cornell WOOLRICH

Lawrence BLOCK



ŚLEPA NOC

667

W Cornell
WOOLRICH

Lawrence BLOCK

ŚLEPA NOC

Przekład:
VIOLETTA DOBOSZ

C&T
TORUŃ

Tytuł oryginału:
INTO THE NIGHT

Copyright © 1987 by The Chase Manhattan Bank, N.A., As Executor of The Estate of Cornell Woolrich, and Lawrence Block.

All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2009

Copyright © for the Polish translation by Violetta Dobosz

Opracowanie graficzne:
MAŁGORZATA WOJNOWSKA-SOBECKA

Redaktor wydania:
PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:
MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:
KUP „BORGIS” Toruń, tel. (056) 654-82-04

ISBN 978-83-7470-175-4

Wydawnictwo „C&T” ul. Św. Józefa 79, 87-100 Toruń, tel./fax (056) 652-90-17

Toruń 2009. Wydanie I.

Druk i oprawa: Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp, z o.o.,
ul. Mickiewicza 15, 87-200 Wąbrzeźno.

Powieść ta dedykowana jest rozszanym po całym świecie wielbicielom Cornelia Woolricha vel Williama Irisha, vel George'a Hopleya, a także osobom, których niezłomna wytrwałość uczyniła możliwym jej wydanie. Są to: Sheldon Abend, agent literacki zarządzający spuścizną po Cornellu Woolrichu; Lawrence Block, zdobywca Nagrody Edgara Allana Poe, pisarz, który wznosił się na wyżyny i podjął to niezwykle trudne wyzwanie, by wykorzystując swe iście kameleonowe zdolności, uzupełnić brakujące trzydzieści siedem stron oryginalnego maszynopisu; Burton L. Lilling, doradca w zakresie praw autorskich The Chase Manhattan Bank, N.A., będącego wykonawcą testamentu i zarządcą masy spadkowej po Cornellu Woolrichu; William A. Lockwood, wiceprezes The Chase Manhattan Bank, N.A, w jego roli wykonawcy testamentu i zarządcy masy spadkowej po Cornellu Woolrichu; profesor Francis M. Nevins jr, dziekan wydziału praw autorskich uniwersytetu w St. Louis, a także bibliograf i biograf Cornelia Woolricha; Otto Penzler, wydawca The Mysterious Press, oraz Edwin McMahon Singer, specjalny doradca The Chase Manhattan Bank w jego charakterze wykonawcy testamentu i zarządcy masy spadkowej po Cornellu Woolrichu.

Z początku grała muzyka. Popularne piosenki płynęły z małego radyka nastawionego na tyle cicho, by dźwięki nie zakłócały jej myśli. Potem, gdy niebo za oknem pociemniało, wstała, przeszła przez pokój i włączyła lampkę, lecz zmieniła zdanie i wyłączyła ją z powrotem. A skoro już tam była, wyłączyła też radio.

Lepiej siedzieć w mroku, myślała Madeline. Lepiej siedzieć w mroku i w ciszy.

Wtedy jednak do towarzystwa miało się tylko własne myśli. A jej własne myśli stanowiły w tych dniach kiepskie towarzystwo. Były jak wir, lej, który zasysał ją w głąb siebie samej, zmuszał do oglądania tych cząstek własnego ja, których oglądać nie miała ochoty. To nie było nic przyjemnego wpatrywać się zbyt szybko w ten mrok, nic przyjemnego wsłuchiwać się uważnie w te myśli. Dlatego właśnie cały świat głośno słuchał radia i zapalał światła. Żeby tłumić takie myśli. Żeby trzymać ten mrok na bezpieczny dystans.

Nadchodził jednak taki czas, że dłużej już się nie dało.

Jak długo siedziała tam bez ruchu, podczas gdy jej umysł wycinał własne ścieżki, znajdował własną drogę przez labirynt zdeformowanych myśli? Nie miała pojęcia. Na jej nadgarstku tkwił zegarek, lecz ani razu nań nie spojrziała.

Wreszcie, nawet o tym nie myśląc, podniosła się i podeszła do szafy. Przez otwarte okno wpadało dość światła, by zdołała to zrobić, o nic się nie potykając. No i знаła ten mały pokoik dość dobrze, mieszkała w nim dość długo, by móc poruszać się w całkowitej ciemności, z zamkniętymi oczami.

Weszła na pudło, by dosięgnąć do najwyższej półki w szafie. Tam sięgnęła do innego pudła i macała dłońmi, dopóki nie napotkała na miękki woreczek z twardym przedmiotem w środku. Wyciągnęła go z pudła, odeszła od szafy, wróciła na krzesło, na którym wcześniej siedziała. Usiadła na nim z powrotem.

Aksamitny woreczek ściągany u góry sznurkiem zawierał kiedyś butelkę kanadyjskiej whisky. Teraz jednak ukrywał coś, co niesło śmierć znacznie szybciej.

Rewolwer.

Poluzowała sznurek, wyjęła rewolwer z aksamitnego woreczka. Pokój zdawał się wypełniać jego zapach, zapach, na który składała się woń metalu i woń smaru. Miała wrażenie, że czuje także proch. Może z rewolweru strzelano, odkąd ostatni raz był czyszczony. Co bardziej prawdopodobne jednak, zapach prochu podsunęła jej jedynie wyobraźnia. Pistolet należał do jej ojca i jak Madeline wiedziała, ojciec nigdy z niego nie wystrzelił.

Nie musiał. Zadał sobie śmierć powolną w sposób społecznie bardziej akceptowany i mniej skandaliczny.

Z pomocą whisky. Na początku drogiej Canadian Club, takiej, jaką skrywał niegdyś ten aksamitny woreczek. Potem, pod koniec była to już tania żytniówka i jeszcze tańsze kalifornijskie wino. Aż którejś nocy, jak jej powiedziano, dostał ataku i umarł na ulicy.

Zostawił rzeczy, które miał na sobie, i parę zmian innych ubrań niewartych nawet tego, by oddać je Armii Zbawienia. Zostawił też szarą kopertę pełną starych listów bez znaczenia, pocztówek i wycinzków z gazet; przestała po jakimś czasie próbować dopatrzeć się w nich sensu i wrzuciła wszystko do pieca, już dawno temu. I zostawił ten rewolwer, tę śmiercionośną broń, jako jedyny tak naprawdę spadek dla swej jedynej córki.

I oto leżał on teraz, metalem chłodząc jej dłoń, swym duszącym zapachem wypełniając maleńki, umeblowany pokoi.

Cóż za spadek! Cóż za pożegnalny prezent!

Na wypadek, gdybyś chciała kiedyś kogoś zabić, Madeline.

Albo na wypadek, gdybyś kiedyś chciała zabić siebie.

Jakie to dziwne, że trzymał go przez te wszystkie lata, gdy szykował się na powolniejszą, spokojniejszą śmierć. Myślałby kto, dumiała Madeline, że

powinien albo pozbyć się broni, albo z niej skorzystać. A jednak była w jego pokoju, kiedy umarł, i o dziwo, policjanci, którzy przeszukiwali ten pokój, dostarczyli go jej, zamiast zatrzymać w sobie tylko znanym celu. I oto spoczywał teraz w jej dłoniach, czekając, aż użyje go wedle własnego życzenia.

Jej dłonie nie potrafiły zostawić go w spokoju. Przekładała go z ręki do ręki, zawijała palec wokół cyngla, kciukiem pieściła kurek. Trzymając broń w wyciągniętej dłoni, mierzyła do różnych przedmiotów po drugiej stronie pokoju, celowała w radyjko, w lampę, w mrok w odległym kącie. Celowała, czuła, jak cyngiel drży pod jej palcem wskazującym niczym coś żywego, lecz ani razu nie nacisnęła na spust w ten ostateczny sposób, który przemieniłby fantazję w rzeczywistość.

Po co to trzymać? Po co chować to w pokoju, gdzie mieszkała?

Bo nic innego jej po nim nie zostało, pomyślała; uznała jednak, że to nie to. Wrzuciła jego papiery do pieca, bez chwili namysłu wydała jego ubrania. Zatrzymała rewolwer, bo...

Bo musiała wiedzieć, że kiedyś jej się przyda.

Krew zastygła jej w żyłach na tę myśl. Czy o to chodziło? Czy ostatni prezent od ojca miał zakończyć jej życie?

Odłóż to, nakazała sobie. Schowaj z powrotem do woreczka, a rano, gdy słoneczny blask przegna nocne myśli, wyjmij go i się pozbądź. Wrzuć go do kubła na śmieci albo do studzienki ściekowej. Pozbądź się go, zanim on pozbędzie się ciebie.

Czy w ogóle działał? Czy był chociaż naładowany? Z tego, co wiedziała, nie było w nim kul, a mechanizm już dawno zardzewiał i całe to coś mogło służyć jedynie za przycisk do papieru. Nie wierzyła w to jednak do końca. W jej dłoniach zdawał się emitować morderczą energię, jak gdyby zdolność do destrukcji, do zabijania, tkwiła w nim niczym namacalna, żywa istota.

Włożyła lufę do ust, posmakowała językiem metalu.

Poczuła drżenie cyngla.

Wyjęła rewolwer z ust i przyłożyła do skroni. Przytknęła lufę do ucha, a potem do szyi, do miejsca, gdzie bił puls. Naciśnij tylko na spust, myślała, i w jednej chwili nie będzie już pulsu, nie będzie myśli, nic, zupełnie nic.

Ale dlaczego?

To, pomyślała, jest najdziwniejsze, bo na to pytanie nie było odpowiedzi. Dlaczego miała się zabić? Bo jej życie było puste, myślała. Bo nie miała powodu, by się *nie* zabijać. Ale czy to kiedykolwiek był powód, by cokolwiek zrobić? Równie dobrze mogłaby argumentować, że powinna żyć dalej choćby dlatego, że nie miała powodu, by dalej *nie* żyć.

Powody.

Czy ludzie zawsze mieli powód, żeby coś zrobić? Czy w ogóle go potrzebowali? Ostatecznie życie nie było zagadką logiczną. Nie otrzymywało się nagrody za jej rozwiązanie, zresztą mniejsza z tym, bo i tak nikt jej nigdy nie rozwiązał. Niezależnie od tego, czy istniał powód do tego, aby dalej żyć, niektórzy ludzie żyli. Niezależnie od tego, czy istniał powód, by się zabić, niektórzy się zabijali.

Włącz światło, pomyślała ze złością. I jakąś muzykę. Śpiewaj z radem, śpiewaj ile sił w płucach, jeśli masz ochotę. Ale porzuć ten nastrój i przeżyj tę noc, a rano pierwsze co, pozbądź się broni.

Nie.

Jakoś nie mogła odłożyć rewolweru z powrotem do aksamitnego woreczka. Przez głowę przemykały jej myśli. Coś, co raz usłyszała, zasada tworzenia dramatu: jeśli w pierwszym akcie sztuki pokazałeś broń, musisz dopilnować, by wystrzelono z niej, nim opadnie kurtyna na koniec aktu trzeciego. A czy gdzieś w świecie nie istniały plemiona, których członkowie wyciągnąwszy raz swe sztylety, nie chowali ich do pochew, dopóki nie upuściły krwi? Z braku wroga nakłuwali własne kciuki, byle tylko nie schować ostrzy nie zakrwawionych. Może był to przesąd, a może chodziło o to, by nie wymachiwać bronią bez zastanowienia.

Odkryła, że znowu trzyma rewolwer przy swojej skroni.

Jej życie nie miało celu.

Trudno było powiedzieć, jak do tego doszło. Może jej życie nigdy nie miało celu. Dryfowała przez nie, mieszkając to tu, to tam, pracując tam albo gdzie indziej, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że tak dryfuje. Żyła bez celu, trwając w błogiej nieświadomości potrzeby jego posiadania, a teraz stanęła twarzą w twarz z bezcelowością własnej egzystencji i poczuła się w wyniku tej konfrontacji zdruzgotana.

Można było żyć długo albo krótko. Można było złamać bezcelowe życie w jego kwiecie albo pozwolić mu toczyć się przez siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, a może i sto lat. Tak czy owak na końcu się umierało, a kiedy się już umarło, to było tak, jakby się nigdy nie żyło.

Umierało się i koniec na tym.

Po co więc to przyspieszać?

Albo w drugą stronę: po co zwlekać?

Włącz radio, mówiła sobie. Zapal jakieś światło.

Zamiast tego raz jeszcze podniosła rewolwer do skroni. Raz jeszcze jej kciuk odciągnął kurek. Raz jeszcze jej palec zacisnął się na spuście.

Czy zdecydowała, że naciśnie spust? Czy o tym się w ogóle decyduje? Jej palec oparł się na cynglu tak jak przedtem, tylko że tym razem naciskał coraz mocniej, aż do oporu.

I kurek trafił w pustą komorę.

Zalała ją fala ulgi, ulgi, która nabrzmiewała tak, że w końcu wypełniła całe jej ciało. Została oszczędzona, została ocalona, a życie nagle wydało jej się bezcenne. Nawet kiedy drżała na myśl o tym, jak niewiele brakowało, jednocześnie doznawała dreszczy radości, że nadal żyje. Jeszcze chwilę wcześniej życie nie ofiarowało jej żadnej radości, a teraz, tak nagle, już fakt, że żyje, wydawał się podniecający sam w sobie.

Przeżyła. Zagrała z ręki, ryzykując wszystko, i wygrała.

Poderwała się na nogi. Jutro stary rewolwer wyląduje tam, gdzie jego miejsce – w śmietniku, w studziencie ściekowej, tam, gdzie nie wyrządzi nikomu żadnej krzywdy. Nie będzie go już potrzebowała. Trzymała go, wiedziała to teraz, w tym właśnie celu – by stanąć oko w oko ze śmiercią i wrócić do życia. Podjęła okropne ryzyko, lecz wiedziała już, że nie musi go podejmować nigdy więcej.

Tanecznym krokiem przeszła przez pokój, włączyła lampę, wypełniła pomieszczenie pogodnym blaskiem. Włączyła małe radyjko, by pokój wypełnił się także muzyką. Poruszała się radośnie w jej rytmie, a jej stopy były tak lekkie, jak jeszcze kilka chwil temu ciężkie było jej serce.

I tańcząc, uświadomiła sobie nagle, że wciąż ścisza rewolwer.

Zatrzymała się, popatrzyła na przedmiot w swojej dłoni. Niewiele brakowało, by stał się narzędziem jej unicestwienia, lecz okazał się wybawieniem, dlatego nawet ona sama nie do końca mogła rozeznaczyć się we własnych uczuciach. Jedno wszak było raczej pewne. Nie chciała mieć go teraz przy sobie.

Znalazła aksamitny woreczek, wetknęła do niego rewolwer, zaciągnęła ciasno sznurki. I wtedy, tańcząc znowu, dając się ponieść muzyce i własnej radości życia, rzuciła rewolwer na stół. Może miała zamiar po prostu go odłożyć. Może rytm muzyki i energia jej własnej radości życia sprawiły, że zrobiła to z taką werwą.

Pod wpływem uderzenia rewolwer wystrzelił.

Huk w małym pokoiku zdawał się niewyobrażalny. Aż zabrakło jej powietrza i w piersi ścisnęło się serce. Odgłos wystrzału nie wybrzmiał jeszcze, gdy przeszła szybko i bez namysłu wyłączyła radio, żeby cisza, która nastąpiła, była absolutna.

Gdzie poleciała kula?

Poruszała się jak w amoku, badając dłońmi własne ciało, jak gdyby mogła zostać postrzelona i nie zdawać sobie z tego sprawy.

Cóż za ironia, przejść próbę samobójczą bez szwanku i postrzelić się przez przypadek zaledwie chwilę później. Ale kula w niej nie utkwiła.

Jednak przecież była jakaś kula. W pokoju czuć było kordytem, a w aksamitnym woreczku ziała obwiedziona na czarno dziura, przez którą wydarł się pocisk.

Szukała otworu po kuli w ścianach, szukała jakichkolwiek uszkodzeń w pokoju. Niczego nie znalazła.

I wtedy, jakby przyciągane magnesem, jej oczy powędrowały do otwartego okna.

Wpatrując się w to okno, usłyszała, jak ktoś jęczy na dworze.

Kobieta, sama, leżała jak długa na chodniku. Kobieta, młoda, jęcząca, szlochająca, z głową spoczywającą teraz na kolanach Madeline.

Kobieta, postrzelona w pierś na chodniku po drugiej stronie ulicy naprzeciw kamienicy Madeline. Postrzelona w pierś, ranna, z lejącą się

z rany krwią. Jej oczy usiłowały się skupić, jej usta próbowały formować słowa.

Wokół nich zbierał się tłum. Ludzie wykrzykiwali pytania, podrzucali odpowiedzi.

Kim była?

Hm, mieszkała chyba w pobliżu.

Kto ją postrzelił?

Hm, ktoś z przejeżdżającego samochodu. Jakiś wariat, jakiś psychopatyczny zabójca jechał przez spokojną dzielnicę przy otwartym oknie, strzelając, gdzie popadnie.

Mój Boże, tutaj? W tej okolicy?

Do diaska, to się mogło zdarzyć wszędzie. Wystarczy, że znajdzie się jakiś szaleniec z bronią i chowaną urazą. Tylko tyle wystarczy i może się to zdarzyć wszędzie, każdemu. Zjawia się szaleniec strzelający z okna, wariat zabijający małe dzieci, maniak szlachtujący wędrowców. Albo ktoś taki właśnie, kto strzela na oślep z jadącego auta.

Te głosy docierały do Madeline jak z oddali. Ledwo je słyszała, bo nic nie wiedziały. Nikt nie strzelał z przejeżdżającego samochodu, choć śmierć okazała się równie przypadkowa, równie kapryśna, wybierając tę młodą kobietę.

Jej rewolwer, rewolwer jej ojca. Oszczędził Madeline, lecz w zamian odebrał inne życie. Była to prawda – nie dało się schować broni z powrotem do pochwy, nie plamiąc jej krwią. Rewolwer, który pokazano na scenie, musiał wypalić przed opadnięciem kurtyny.

A teraz ta kurtyna opadła i komedia zmieniła się w tragedię.

Rozbrzmiała syrena, najeżdżał wóz policyjny. Ona jednak ledwo go słyszała. Patrzyła w oczy kobiety, a usiłując coś zobaczyć, widziała jedynie uchodzące z nich życie. Dziewczyna drgnęła raz w jej ramionach i znieruchomiała.

Paliła się lampa, grało radio. Jedno i drugie pozostało włączone przez całą noc, kiedy siedziała w swoim pokoju, czekając, aż po nią przyjdą. To tylko kwestia czasu, myślała, by policja zjawiała się u niej, stukając do drzwi. Gdy się to stanie, przyzna im się i opowie, co zaszło. Jak próbowała się zabić. Jak została oszczędzona, a jakaś kobieta po drugiej

stronie ulicy została wybrana przez tę samą niewidzialną rękę, by umrzeć w zamian za nią.

Jak, co bardziej prozaicznie, postąpiła bezmyślnie z bronią i jak kula odnalazła drogę przez otwarte okno, by utkwić w żywym ciele.

A wtedy – co się z nią stanie?

Nie wiedziała. To, co zrobiła, nie było, technicznie rzecz biorąc, morderstwem. Z całą pewnością był to wypadek. Co nie oznaczało bynajmniej, że wymiar sprawiedliwości nie znajdzie w niej winy. Ten wypadek miał charakter przestępczy i bez wątpienia musiała ponieść za niego karę. Było to jak najbardziej na miejscu. Pozbawiła życia inną kobietę. Każda kara, na jaką skáže ją wymiar sprawiedliwości, będzie absolutnie zasłużona.

Czekała więc, aż po nią przyjdą. Usunęła się z miejsca wypadku na dworze w chwilę po tym, jak z kobiety uszło życie. Delikatnie złożyła jej głowę na chodniku. Tłum rozstąpił się przed nią, gdy szła, po czym zamknął się znowu wokół ciała kobiety, nie zauważając nawet Madeline. Ktoś jednak na pewno ją spostrzegł i ktoś powie coś policjantom, a wtedy staną u jej drzwi choćby po to, by spisać jej zeznanie jako świadka. Być może widziała zabójcę albo zapamiętała numer rejestracyjny auta. Bez wątpienia powinna zostać przesłuchana, by mogli ustalić, co wie, a czego nie wie.

Radio grało nadal. Samochody policyjne na zewnątrz przyjechały i odjechały, tłum się rozproszył. Rewolwer, wciąż owinięty w aksamit woreczka, leżał na stole, tam gdzie go rzuciła. Z miejsca, gdzie siedziała, widziała tę okropną, opaloną prochem dziurę, przez którą wyszła kula.

Gdyby wiedziała, że policja nie przyjdzie, zgłosiłaby się sama.

Była jednakże święcie przekonana, że doczeka się ich wizyty, i chciała pozostawić sprawę kary, jaką miała ponieść, wyłącznie w ich rękach. Nawet gdy już niebo zajaśniało o świcie, nadal czekała, aż się zjawią.

Ale się nie zjawili.

Dwa dni czekała. Nie wychodziła z pokoju. Nie jadła i nie piła. Nie sposób było powiedzieć, czy spała. Tkwiła na swoim krześle i chwilami miała oczy otwarte, a chwilami zamknięte.

Po dwóch dniach wiedziała już, że policja nie przyjdzie.

*

Starr Bartlett.

Miała teraz imię i nazwisko, ta nieżyjąca kobieta. Imię i nazwisko, które tchnęły życiem, romansem, nawet splendorem. Starr Bartlett.

Madeline dowiedziała się tego z radia, zanim jeszcze zdała sobie sprawę, że policja nie przyjdzie. Więcej dowiedziała się z gazet, które kupiła, gdy wreszcie wyszła z pokoju. Starr Bartlett mieszkała w kamienicy z pokojami do wynajęcia zaledwie dwie przecznice od Madeline. Była młoda, ledwo przekroczyła dwudziestkę, i niezamężna. Mieszkała sama. I została trafiona kulą, którą według zeznań świadków wystrzelono z przejeżdżającego auta. Nie odkryto jak dotąd żadnego motywu tego zabójstwa i policja była przekonana, że było ono dziełem mordercy strzelającego do przypadkowych osób, wzorującego się prawdopodobnie na serii zabójstw, które miały miejsce dwa miesiące wcześniej w wielkim mieście tysiąc mil stąd, a które zyskały w prasie dostateczny rozgłos, by zachęcić jakiegoś szaleńca do zadziałania w podobny sposób.

Jeśli uderzy ponownie, zacytowano policję, na pewno zostanie schwytany.

Można stąd było wywnioskować, że ta konkretna sprawa utknęła w martwym punkcie i że jeśli nie zdarzą się kolejne podobne zabójstwa, sprawcy ujdzie wszystko na sucho. Cóż, kolejnych zabójstw nie będzie, przynajmniej z użyciem tego rewolweru. Madeline owinęła go razem z aksamitnym woreczkiem w papier i upchnęła cały pakunek w swojej torebce. Poszła na długi spacer, a po drodze wrzuciła owiniętą broń do studzienki ściekowej. Pewnie nigdy nie zostanie znaleziona; a jeśli nawet tak, to nikt nigdy jej z nią nie powiąże.

A zatem morderstwo jej się upiekło.

Myślała o tym dzień czy dwa później, jedząc lunch przy barze w bistro i sącząc kawę. Kupiła gazetę i szukała w niej kolejnych wzmianek na temat śmierci Starr Bartlett, ale niczego nie znalazła. I dopóki się nie przyzna, myślała, niczego nie znajdzie. Bo historia przestała przyciągać uwagę. Starr nie żyła, a jej śmierć wtopiła się w wielką masę nierozwikłanych spraw zabójstw w aktach miasta. Nie będzie więcej artykułów, bo nic więcej nie było do dodania.

Zobaczyła te wpatrujące się w nią oczy. I gasnące w nich światło, kiedy życie uchodziło z ich właścicielki.

– Nic pani nie jest?

Podniosła wzrok. Na twarzy mężczyzny za barem malowała się troska.

– Pani twarz – rzekł. – Wygląda pani, jakby miała zemdleć albo coś.

– Nie – uspokoiła go. – Nie, nic mi nie jest.

Czy powinna się przyznać?

Zastanawiała się nad tym. Gdyby policja przyszła, musiałyby przyznać się natychmiast. Skoro jednak nikt się nie pojawił, mogła pomyśleć, że jej przyznanie się nie jest wymagane czy nawet pożądane.

Ale co to oznaczało? Czyżby wymigała się od kary?

To wydawało się niestosowne. Może przyznając się, nic by nie osiągnęła, ale co osiągnie, tak zupełnie umykając sprawiedliwości? Czy nie będzie się za nią ciągnął dług? Czy nie będzie komuś czegoś winna?

Komu? Policji? Społeczeństwu przez wielkie „S”?

Nie.

Starr.

Ta myśl, gdy już ją nawiedziła, wydała się absolutnie oczywista. Ona, Madeline, próbowała się zabić. Nie była do tego zdolna.

Zamiast siebie zabiła Starr.

Starr zginęła za nią.

Dlatego ona będzie żyła dla Starr.

Ale jak?

Starr, myślała, chciałam umrzeć, bo moje życie nie miało celu.

Teraz widzę cel w życiu dla ciebie, a ty możesz nadal żyć przeze mnie. Ale kim ty, na miłość boską, jesteś? Jakie życie wiodłaś, Starr? Starr, ja cię w ogóle nie znam!

Pewnie trzeba by wynająć jej pokój – powiedziała gospodyni. – Chyba tak zrobię, jak już przy tym jesteśmy. Czekałam, aż ktoś przyjdzie po jej rzeczy, ale chyba się nie doczekam. Nie miałam serca spakować ich i odesłać. Tak długo jak jej pokój wygląda tak, jak go zostawiła, mam wrażenie, że w każdej chwili może do niego wrócić. Jak tylko spakuję, co do niej należało, i wynajmę pokój komuś innemu... hm, wtedy jej śmierć stanie się dla mnie o wiele bardziej realna, wie pani, co mam na myśli.

– Wiem – odparła Madeline.

– Chyba zachowuję się niemądrze – stwierdziła kobieta. – Jeśli chce pani zobaczyć pokój, to chyba nie widzę przeszkód. Nie wiem, komu by to mogło zaszkodzić. Policja już go przeszukała, próbując znaleźć przyczynę, dla której ktoś chciał ją zabić. Koniec końców stwierdzono chyba jednak, że nikt nie miał powodu jej zabijać, że zwykajnie znalazła się na drodze wystrzelonej kuli.

Było w tym więcej prawdy, niż ktokolwiek sobie wyobrażał, pomyślała Madeline.

– Tędy proszę – rzekła kobieta.

Dom z pokojami do wynajęcia niewiele różniący się od tego, w którym sama mieszkała. Te same kuchenne wonie w korytarzu, zapachy wydzielające się wtedy, gdy gotowanie składa się głównie z podgrzewania gotowych potraw z puszki na elektrycznej płytce.

Skrzypiące schody. Ściany, którym przydałoby się malowanie.

– Nie sposób ze wszystkim nadążyć w takim starym domu jak ten – odezwała się tonem obrony kobieta, choć Madeline nic nie powiedziała. – Jedno się robi, a już czeka następne. Nie sposób nadążyć, wie pani. Chyba że podniosłoby się czynsz, ale ludzie nie są w stanie zbyt

dużo płacić. Staram się jednak, żeby było czysto, i wynajmuję tylko porządnym ludziom.

Stały u drzwi Starr. Kobieta zastukała, po czym sobie przypomniała.

– Nie wiem, czemu stukam – rzekła. – Siła przyzwyczajenia, nic dziwnego. Szanuję ludzką prywatność, tak zostałam wychowana.

Wyjęła klucz, przekręciła go w zamku, otworzyła drzwi. Pokój był mniejszy niż ten Madeline, lecz podobnie urządzone. Drzwi szafy stały otworem, ukazując rzeczy na wieszakach i haczykach. Łóżko było zasłane i leżały na nim sterty ubrań.

– Rozumie pani, co mam na myśli – powiedziała gospodyni. – Jest zupełnie tak, jakby pokój czekał na jej powrót.

– Tak – wyszeptała Madeline.

– W głowie się nie mieści to, co się z nią stało. Zginąć w taki sposób...

– Tak.

– A była taka młoda.

– Ciężko umierać za młodu – powiedziała Madeline. – Jakby się było bezdomnym psem.

– Otóż to – przytaknęła kobieta. – Zasłużyła sobie u życia na coś lepszego. Nie zasługiwała na to, by umrzeć na ulicy jak pies, a tak właśnie umarła. I w imię czego? No czego?

Madeline się nie odezwała. Przez dłuższą chwilę obie stały w milczeniu. Starsza z kobiet odchrząknęła, jakby miała coś powiedzieć, lecz Madeline ją uprzedziła:

– Proszę mi o niej opowiedzieć.

– A co tu opowiadać? Mieszkała u mnie. Niezbyt długo, ale miałam wrażenie, że znam ją lepiej, niż naprawdę znałam.

– Co pani ma na myśli?

– Sama nie wiem dokładnie. Nie rozmawiałyśmy wiele. Przeważnie była dość skryta. Powiedziałam to wszystko policji. – Spojrzała na Madeline. – Po co pani wiedzieć to wszystko?

– Mam po prostu takie wrażenie... że ona i ja byłyśmy do siebie podobne. Młode kobiety, niezamężne, żyjące samotnie w tej okolicy. Równie dobrze na tej ulicy mogłam to być ja, mogłam wyjść na spacer i zostać trafiona zbłąkaną kulą.

– Czuje z nią pani więź – stwierdziła kobieta.
– Chyba tak. Czuję, że... że nasze życia są ze sobą jakoś splecione, chociaż nigdy się nie spotkałyśmy i nigdy jej nie poznałam. Czuję się, jakbym była jej coś winna.

– Cóż jej pani może być winna?

Życie, pomyślała. Starr oddała za mnie życie. Nie zrobiła tego świadomie, to nie był jej wybór, ale co za różnica? Umarła za mnie, a ja muszę za nią żyć.

Oczywiście jednak nie powiedziała tego kobiecie.

– Zrozumienie – rzekła w zadumie. – Jestem jej winna zrozumienie.

– Nie wiem, o co pani chodzi.

– Może ja sama tego nie wiem. Ale mam wrażenie, że nasze losy jakoś się zetknęły, i chcę poznać kobietę, której los zetknął się z moim.

Przez dłuższą chwilę gospodyni milczała. Madeline przeszła przez pokój, podeszła do okna, wyjrzała. Odwróciła się, położyła rękę na łóżku, jakby sprawdzała sprężyny.

Kobieta rzekła: – W jej życiu nikogo nie było.

– To znaczy, mieszkała w pojedynkę?

– To znaczy coś więcej. To znaczy, że była samotna, sama jak palec. Nie pozwalała ludziom się do siebie zbliżyć. Lubiłam ją, miło mi było widzieć ją na korytarzu czy na schodach, zawsze zamieniłam z nią kilka słów, ale nigdy się do niej nie zbliżyłam. Chyba nikomu się to nie udało. Nikt nie był w stanie.

– Rozumiem.

– Wydaje mi się, że nosiła w sobie jakiś smutek – mówiła kobieta.
– Nie wylewała przed nikim swoich żali, ale i tak wydaje mi się, że tak właśnie było. Myślę, że coś lub ktoś zadał jej okrutny ból, z którego nigdy się nie wyleczyła.

– Może by się wyleczyła – rzekła Madeline. – Gdyby dane jej było dłużej żyć.

– Może – przyznała kobieta. A po chwili dodała: – Ale wie pani, są takie rodzaje bólu, z których nie można się wyleczyć.

– Tak – przytaknęła Madeline – wiem o tym.

– Cóż – rzekła kobieta – jeśli to wszystko, to muszę brać się do roboty. W takim domu zawsze jest coś do zrobienia.

- Czy mogłabym...
- Co takiego?
- Chciałabym tu zostać.

Kobieta popatrzyła na nią. – Chce pani wynająć jej pokój? Chce pani zamieszkać tu, gdzie mieszkała?

Nie przyszło jej to wcześniej do głowy, lecz teraz zaczęła się zastanawiać. Czy mogłaby się w ten sposób wprowadzić do życia Starr?

Myśl ta wydała się nawet interesująca, ale nie miało to tak naprawdę sensu. Nie chciała stać się Starr Bartlett, co już na pierwszy rzut oka i tak wyglądało na niemożliwe. Nie, nie chciała *żyć jako* Starr, chciała *żyć dla* niej. Chciała oddać Starr jakąś przysługę, której nieżyjąca kobieta nie mogłaby oddać sobie sama.

Ale jaką przysługę? Co by to mogło być i jak ona mogłaby się tego dowiedzieć?

– Nie – odrzekła. – Nie chcę wynajmować jej pokoju. Myślę jednak, że powinna go pani wynająć komuś innemu. Stojąc tak jak teraz, staje się on grobowcem dla nieobecnego ciała.

– Tak – przyznała kobieta. – Tak, ma pani rację.

– Teraz jednak chciałabym tu spędzić trochę czasu – ciągnęła. – Chciałabym tu tylko pobyć przez chwilę sama.

– Sama?

– No tak, w zasadzie sama. Sama ze Starr.

– Pani też ma swoje smutki – orzekła ze znanstwem kobieta.

– Tak samo jak ona.

– Być może.

– Myślę, że nic się nie stanie, jak spędzi tu pani trochę czasu – powiedziała. – Chyba nikomu to nie zaszkodzi. Tylko że...

– Tylko że co?

– Nie chcę o tym mówić.

Madeline czekała.

– Czasami ktoś postanawia... ze sobą skończyć. Nie chcąc robić tego tam, gdzie mieszka, wynajmuje w tym celu pokój. Raz już się to tutaj zdarzyło. Zjawił się mężczyzna, bez bagażu, powiedział, że bagaż dotrze później, powiedział, że zapłaci za tydzień z góry, a potem już pierwszej nocy zażył pigułki i umarł we śnie. – Kobieta unikała wzroku Madeline. – A pani – mówiła – chce oglądać pokój nieżyjącej kobiety,

chce być w nim sama... Nie wydaje mi się, żeby pani chciała to zrobić, i nie chciałam nic mówić, ale to ja odkryłam wtedy zwłoki tamtego mężczyzny. Jedno spojrzenie i już wiedziałam, że nie śpi. W ogóle nie przypominał kogoś, kto śpi. Twarz miał tak siną, że niemal purpurową.

– To musiało być straszne.

– Powiedzieli mi potem, że był na coś chory i tak czy owak umarłby niedługo. Zapragnął lekkiej śmierci i przyjechał tutaj, żeby oszczędzić swoim bliskim koszmaru związanego ze znalezieniem jego ciała. Najwyraźniej jednak uznał, że zafundować ten koszmar zupełnie obcej osobie jest całkiem w porządku.

– Nie mam zamiaru odebrać sobie życia – zapewniła ją delikatnie Madeline.

– Wiem o tym. Nie powinnam była nic mówić, ale... musiałam.

– Rozumiem.

– Niech pani tu zostanie, jak długo pani chce – powiedziała kobieta. – Nie wiem, co dobrego pani z tego przyjdzie, ale chyba nikomu nic się nie stanie, prawda? Niech pani tu siedzi, ile chce. Nic z jej pokoju nie ruszałam. Trochę tylko poukładałam. Policjanci przeszukiwali jej rzeczy, a oni nie zawsze dbają o to, żeby zostawić po sobie porządek. Niektóre ubrania leżały na podłodze, to te poskładałam i położyłam na łóżku.

– Rozumiem.

– Tak jakby ona nie chciała pozostawić po sobie bałaganu. Tak jakby obchodziło ją teraz, jak wygląda jej pokój. Ale była schludna, wie pani. Była skryta, ale zawsze schludna. Dlatego wydaje mi się, że nadal powinnam dbać tutaj o porządek.

– Tak.

– Chyba ma pani rację z tym, co pani przed chwilą powiedziała. Jak tylko zbiorę siły, spakuję jej rzeczy. Zamiast czekać, aż ktoś się po nie zjawi, odeślę je po prostu do domu, do jej matki. I wynajmę ten pokój.

Madeline skinęła.

– A na razie – rzekła kobieta – niech pani tu zostanie, ile chce. Może wciąż żyje tu jej dusza czy jakiś jej ślad. Może uda się pani nawiązać z nią jakiś kontakt. Nie takie cuda zdarzają się co dzień.

Madeline przez długi czas stała nieruchomo tam, gdzie kobieta ją zostawiła. Wsłuchując się w rozbrzmiewające w jej własnym sercu echo tego, co sama niedawno powiedziała. Co zabrzmiało ciężko i głucho, zimno i samotnie, smutno i nieszczęśliwie.

Cięzko umierać za młodu. Jakby się było bezdomnym psem.

Muszę pamiętać, pamiętać i pamiętać o tym w każdej godzinie, powiedziała sobie. W każdej godzinie każdego dnia każdego tygodnia; tak, nawet każdego roku, jeśli okaże się to konieczne. Dopóki przynajmniej częściowo nie wynagrodzę tej okropnej krzywdy, którą jej wyrządziłam. Tej krzywdy, która choćbym nie wiem jak się starała, nigdy nie zostanie wynagrodzona w pełni.

Po chwili zdjęła z siebie ubranie, tak jak zrobiłaby to Starr, tutaj, w jej pokoju. Podeszła do łóżka i ze złożonych tam przez gospodynię rzeczy wybrała nocną koszulę. Może była to ta właśnie, którą Starr miała na sobie, ostatni raz kładąc się spać, ostatniej swojej nocy na ziemi. Wtedy jednak spostrzegła, że raczej nie było to możliwe, bo ta akurat koszula była świeżo wyprana i nawet zaszyta w jednym miejscu, gdzie się wystrzępiła – chyba że gospodyni zajęła się tym po jej śmierci (a czemu miałyby to robić?).

Założyła ją, podeszła do lustra i stanęła.

– Starr – szepnęła do postaci, którą w nim ujrzała. – Starr, widzę cię teraz. I jest to pewien sposób na to, byś żyła nadal.

Zgasiła światło, przesunęła krzesło i usiadła przy oknie, wyglądając. Był wieczór w mieście i wieczór na niebie. W dole błyszczało tysiąc gwiazd, w górze tyle samo. Jednak te w dole były jak ludzkie życie, lśniły przez jedną noc i znikaly. Te w górze, jak ludzkie nadzieje i marzenia, świeciły po wsze czasy. I jeśli jedno życie wypaliło się i zgasło, wtedy pojawiała się inne, przejmując dane nadzieje i marzenia lśniące niewzruszenie tam w górze, lśniące tam po wsze czasy.

Tak jak ja czynię to teraz, pomyślała. Jak czynię toja.

I wpatrując się w nie tak długo, że zdawało się, iż odcisnęły się w jej wytężonych, błyszczących niespokojnie oczach, szeptała cicho, błagając: Musiałyście widywać ją przy tym samym oknie przede mną. Musiałyście słyszeć jej serce bijące w rytm nadziei i pragnień, tak wyraźne pośród nocnej ciszy. Czy *wiecie*, co to były za nadzieje i pragnienia? Czy *wiecie*?

Otwierasz walizkę – i twoim oczom objawia się życie. Życie już zakończone, spakowane i odstawione w kąt. I kiedy rozkładasz je dokoła siebie w pokoju, na łóżku, na krzesłach, gdzie tylko znajdzie się miejsce, czujesz lekki strach przed tym, co robisz, czujesz, że nie masz do tego prawa. To tak, jakby próbować odwrócić prawa Boga i natury. Wymusić małe, zminiaturyzowane zmartwychwstanie czegoś, co już spoczywało w pokoju. Lepiej uważaj, powtarzasz sobie; lepiej zachowaj ostrożność.

Fotografia mężczyzny. Kim był? Kim był dla niej? Gdzie się teraz podziewał?

Uśmiechał się do niej. Uśmiechał się do obiektywu, który go uwiecznił, lecz to ona musiała owego dnia stać za tym obiektywem, bo jego uśmiech był szczególny, nie taki, jaki zwykle prezentuje się oku aparatu. Był cieplejszy, bliższy, mówił: Ty jesteś tam, a ja tutaj. Ale chwilę temu byłaś tutaj ze mną i za chwilę będziesz ze mną znowu. Nie pozostaniemy osobno ani minuty dłużej; nie jesteśmy do tego stworzeni; sami sobie na to nie pozwolimy.

„Mojej drogiej Starr, Vick”.

Kim jesteś, Vick?

Czy tęsknisz chociaż za nią? Czy wiesz w ogóle, że już jej nie ma? Tamta chwila minęła, czy nie zastanawiasz się w ogóle, dlaczego do ciebie nie podchodzi, nie wraca tam, gdzie jesteś?

Uśmiechaj się dalej, Vick. Uśmiechaj się tak na zawsze. Uśmiechasz się teraz do pustki i nawet o tym nie wiesz. Ona znikła zza obiektywu aparatu. Ty pozostałeś, lecz ona znikła. I już nigdy nie wróci. Czy uśmiechałbyś się nadal, gdybyś o tym wiedział?

Spokojne miejsce – wyglądało, jakby zostało zrobione w jakimś spokojnym miejscu – słyszała niemal rozbrzmiewający znowu wyraźnie srebrzysty głos dziewczyny:

„Stój teraz nieruchomo, Vick. Przesuń się trochę do tyłu. Nie, tylko odrobinę, wystarczy. A teraz uśmiechnij się do mnie. O tak”.

Uśmiechaj się na zawsze, Vick. Tak długo, jak przetrwa błyszcząca papier.

Możesz już przestać się uśmiechać, Vick, jej już nie ma. Uśmiechasz się do pustki, Vick. Powstała dziura w świecie za aparatem, tam gdzie stała.

Oparła zdjęcie i siedziała, wpatrując się w nie.

Słońce zachodziło na dworze i w pokoju robiło się ciemno.

Jedna plama światła wytrwała do samego końca akurat tam, gdzie Madeline postawiła zdjęcie. Było więc podświetlone, wyróżnione, tak że twarz i sylwetka mężczyzny zdawały się fosforyzować.

Powiedz mi, Vick, błagała. Powiedz mi, dopóki jeszcze możesz.

Plama światła kurczyła się. Przybrała rozmiar główki od szpilki, znikła; całkiem jak ostatnia plamka ostatniego kadru filmu na ekranie.

Zdjęcie było teraz ciemne, zlało się z otaczającym je mrokiem pokoju.

Pociąg wychynął z nocy w budzący się dzień, jakby pędził z głębi tunelu długości wielu godzin ku jego z każdą chwilą jaśniejszemu wylotowi, zbliżając się, stale się tam zbliżając po torze. Niespodziewanie wszystko na zewnątrz stało się jasne, przybierając barwę szorowanego aluminium, barwę pierwszego brzasku.

I nagle ukazał się krajobraz, tam gdzie przed chwilą nic nie było. Mignął wysoki ceglany komin, rzucając już całkiem dojrzały cień. I nagle stało się dziś, choć przed chwilą go jeszcze nie było. I nagle stało się *teraz*, a ciemność pozostała we *wtedy*. Kwilenie dzieciątka w ramionach matki gdzieś w tym samym wagonie oznajmiło początek nowego dnia. Tak jeszcze młodego, tak plastycznego, tak nie zapisanego.

Nie spała. Nie chciała, nie była zmęczona. Sen był dla ludzi niemających celu, był przerwą pomiędzy niczym a niczym, by owe nic, oddzielone, łatwiej dawały się znieść.

Z głową opartą o pochyłe oparcie fotela. Z powiekami przymrużonymi, by nikt jej nie przeszkadzał, lecz nie do końca zamkniętymi, dokładnie tak jak teraz. Jechała, jechała, a słupy telegraficzne znaczyły jej drogę jak znaki zapytania. Zaś celem jej podróży było nie jutro, lecz wczoraj. Wczoraj po dwakroć niebyłe, skoro już o tym mowa. Wczoraj kogoś innego. Wczoraj, które przeskoczyłaś, które nigdy, przenigdy nie było – dla ciebie – dniem dzisiejszym. Wczoraj niczym zjawą.

Do drzwi podszedł mężczyzna i obwieścił nazwę miasteczka.

Podniosła się i zdjęła swoją torbę, a pociąg konał pod nią, gdy przesuwiała się korytarzem. Wydał ostatnie tchnienie, gdy tylko dotarł do peronu. Para zasnuwała wejście do wczoraj i drzwi wagonu, kiedy je

przekraczała. Wreszcie zrzęda i oddaliła się, pozostawiając ją na miejscu – we wczoraj.

A więc to tutaj.

Spuściła wzrok na klujący ją w stopy żużel, po czym podniosła go tam, gdzie słońce wędrowało wysoko po niebie, zsyłając na ziemię promienie niczym chemiczną kąpiel czy roztwór, wybielając świat. Popatrzyła na wagę z okrągłym lustrem odbijającym tylko niebo, choć jego tafla skierowana była dokładnie na jej twarz. Pewnie dlatego, że szkło zostało nierówno osadzone w ramie.

I na kryty gontem okap ciągnący się nad wejściem do budynku, na którym widniał napis „Przechowalnia bagażu”. I na ławkę z zaokrąglonych na krawędziach desek ustawioną pod ścianą dworcowego budynku, na której nikt nie siedział. Leżała na niej tylko złożona, pozostawiona przez kogoś gazeta. A pod spodem porwane opakowanie po batoniku, niczym mały, srebrny wrak statku kołyszący się lekko na wietrze, który jednak nigdy nie popłynie po betonowym morzu peronu.

A więc to tutaj.

Kiedyś ty tutaj stałaś, Starr. Czekać na pociąg, który miał cię zabrać. Może dokładnie tu, gdzie stanie teraz moja stopa, jeśli przesunę ją nieco; o tu, gdzie ta szczelina w betonie. Może ty też przesunęłaś stopę ku tej szczelinie i zakryłaś ją na moment, patrząc na nią, lecz myślami błędząc gdzie indziej. Kto stał razem z tobą? Czy stałaś sama? Czy był z tobą Vick, może trzymał dłoń na twoim ramieniu, pokonany, a jednak wciąż nie mogąc się z porażką pogodzić, zapewne wpatrując się w twoją twarz z daremnym błaganiem?

Co mówił? Czy słyszałaś? Może gdybyś posłuchała, żyłabyś teraz, nie zginęłabyś na oddalonym o tysiąc mil końcu tych torów? Czy nie lepiej było posłuchać nudnych, prostych słów porady i żyć dzisiaj, zamiast odrzucić je z miejsca i być dzisiaj martwą? Nie odpowiadaj, Starr. Ja też nie odpowiem. Bo nie jestem pewna, jak ta odpowiedź brzmieć powinna.

Czy rozejrzałaś się wokół siebie ten ostatni raz (może ponad jego barkiem, trzymana w jego ramionach)? Czy przekreślałaś głowę troszeczkę tutaj, troszeczkę tam, troszeczkę jeszcze gdzie indziej, tak jak ja teraz? Widziałaś lustro, w którym nie odbija się twoja twarz, okap z

napisem „Przechowalnia bagażu”, pustą ławkę? Czy byłaś szczęśliwa? Przygnębiona? Wystraszona? Śmiała?

Cegły i bruk, solidne gzymsy i fasady budynków, zwężające się w oddali ulice – dom.

Wróciłaś, Starr.

W dworcowym budynku znajdował się bufet. Zawsze taki jest, na każdym dworcu. Weszła do środka, podeszła tam i usiadła na stołku.

W pociągu nie jadła. Nie miała ochoty, nie miała jej i teraz. Nie chciała jeść, nie chciała spać. Nie miała czasu na takie błahostki, miała swoje marzenie. Ona też miała teraz marzenie... bardziej przepełnione goryczą i potężniejsze niż jakiegokolwiek marzenie Starr. Ale trzeba było czasem przystanąć, żeby coś przełknąć, żeby się przespać, by nie opaść z sił.

Za bufetem stała młoda dziewczyna. Cienki turkusowy pasek zdobił brzegi mankietów, kołnierzyka, kieszonek i podniesionego daszka u czapki całkiem białego poza tym stroju.

– Poproszę kawę.

– Coś jeszcze?

– Tylko kawę – odparła Madeline tonem zniecierpliwienia, jakby czuła się znudzona koniecznością marnowania czasu na takie drobiazgi.

Dziewczyna wróciła z kawą.

– Czy mogę o coś spytać?

– Przecież pani nie zabronię – odparła zuchwale bufetowa.

– Długo pani tu mieszka?

Dziewczyna posłała jej spojrzenie mówiące: A co cię to obchodzi? Jednocześnie jednak odpowiedziała: – Od zawsze.

– A zatem czy zna pani osobę o nazwisku Starr Bartlett? Czy kiedykolwiek obito się pani o uszy nazwisko Starr Bartlett?

– Nigdy. – Patriotyzm lokalny kazał jej dodać tonem nagany: – Nasze miasto wcale nie jest takie małe.

Madeline spróbowała kawy. Nie była dobra. Nawet gdyby była dobra, to i tak nie byłaby dobra.

– A jak tu dotrzeć... jak dostanę się na Forsythe Street?

– Autobusem. Kierowca powie, kiedy wysiąść, jak go pani poprosi, wsiadając.

Madeline popatrzyła na swoją ubrudzoną kawą łyżeczkę, a potem znów na dziewczynę, z wahaniem.

– Mam jeszcze jedno pytanie.

– Proszę bardzo – odparła bufetowa z oficjalną uprzejmością. Chciała powiedzieć: Nie zapytałaś mnie jeszcze o nic, czym poczułabym się urażona. Jak to zrobisz, od razu się o tym dowiesz.

– Gdzie mogłabym się zatrzymać? Jestem sama. Dopiero przyjechałam.

– Ktoś taki jak pani... – Dziewczyna otaksowała ją wzrokiem. Była bystrą obserwatorką. – Dziewczyna, która chce pilnować tylko własnego nosa... Dixon jest porządny. Strasznie nieelegancki, ale porządny. Porządne miejsca zawsze są nieeleganckie, zauważyła pani? – I wtedy, nie pytana, może nawet całkiem mimowolnie wygłosiła jeden ze swoich poglądów na życie: – Ale to nie kwestia budynku. To kwestia ludzi, którzy w nim mieszkają.

Madeline położyła pieniądze, zostawiła kubek w trzech czwartych pełen kawy, wstała ze stołka.

– Kawa kosztuje tylko dziesięć.

– Tak głosi ten wielki napis – zgodziła się Madeline.

Dziewczyna oddzieliła nadwyżkę, przesunęła ją po ladzie z upartym uśmiechem. – Nie zrobiłam nic, żeby na to zasłużyć.

– Zadałam pani trzy pytania i dostałam od pani kawę. – Naprawdę to Madeline chciała wiedzieć *dlaczego* tak.

– No nie wiem, to nie ta sama frajda. To tak jakby sprzedać kawałek siebie.

Madeline odebrała napiwek. Chciała sprawić dziewczynie przyjemność, jej praca była taka nudna.

Nikt jej nie otwierał. Po tym, jak pierwszy dzwonek pozostał bez odpowiedzi przez dostatecznie długi czas, bojaźliwie zadzwoniła po raz drugi. Tym razem czekała jeszcze dłużej w obawie, że wyda się nachalna, że wzbudzi wobec siebie wrogość. Wreszcie, gdy już strach sięgnął zenitu, zadzwoniła trzeci raz. Wciąż nikt się nie zjawiał.

Nie wiedziała już, co robić. Nie zebrała się na odwagę, by zadzwonić raz jeszcze. Albo nikogo w środku nie było, a wtedy i tak nie miałyby to sensu, albo ktoś był, ale nie miał ochoty otwierać, w którym to

przypadku tylko by tego kogoś do siebie zraziła, a przecież była to ostatnia rzecz, jakiej chciała.

W końcu obróciła się i ruszyła schodami w dół. Nie poddała się, nie zamierzała się poddać, choćby nawet miała złożyć płaszcz na podłodze przed drzwiami i siedzieć na nim, czekając przez resztę dnia i całą noc. W tej chwili jednak postanowiła wyjść i znaleźć na ulicy kogoś, kto mógłby udzielić jej jakichś informacji. Choćby i dziecko – zauważyła wcześniej kilkoro bawiących się na chodniku. Prawdę mówiąc, dzieci okazywały się niekiedy najlepszym źródłem informacji, z natury będąc pozbawionymi podejrzliwości i zahamowań.

Tak czy inaczej, zeszła za ledwie na półpiętro i drzwi pozostawały w zasięgu jej słuchu, gdy wydało jej się, że słyszy, jak się otwierają, i dotarł do niej, teraz już ponad wszelką wątpliwość, wołający głos, który w ciasnej klatce schodowej zabrzmiał dosyć głucho:

– Halo? Jest tam kto? – I jeszcze raz (wiedziała już, że to będzie raz ostatni, że wołanie się nie powtórzy): – Halo?

Odwróciła się i biegiem wróciła po schodach, po których dopiero co zeszła, pędząc ile tchu, by tylko nie zostać odciętą od tego głosu.

Kiedy jej twarz, a potem reszta ciała wychynęły zwinnie ponad poziom podłogi na korytarzu, spostrzegła, że drzwi są otwarte. Nie uchylone, lecz szeroko otwarte; wypływało z nich światło, które było jak żarzący się dym buchający na mroczny korytarz bez okien. A pośrodku tego korytarza, w sporej odległości od drzwi, obracając zaciekawioną głowę to w tę stronę, to w drugą, stała kobieta, zdecydowanie już niemłoda. Kobieta, która jak Madeline jakimś sposobem wiedziała, była matką Starr Bartlett.

Dziwne, że była tego taka pewna od pierwszego spojrzenia, bo jeśli stworzyła sobie jakiś jej obraz, a przecież stworzyła, to nie bardzo zgadzał się on z tym, co zobaczyła. Stanowiła przeciwieństwo niemalże wszystkiego, co Madeline sobie na jej temat wymyśliła.

Myślała, że będzie siwa, nie tylko na głowie, lecz że jej wygląd ogółem naznaczony będzie jakąś wyblakłą szarością. Zapewne to słowo „matka” uformowało w jej głowie takie wyobrażenie. Straciwszy własną w bardzo młodym wieku, nie miała żadnego współczesnego, codziennego doświadczenia w tym względzie. Wszystkie one dla niej

były przedstawicielkami jednego gatunku, nie odrębnymi istotami. Tymczasem matka Starr przywodziła na myśl czerń. Wszystko w niej było czarne. Jej włosy były niewiarygodnie, nienaturalnie wręcz czarne, jak smoła, tak iż prawie na pewno musiały być traktowane jakimś roślinnym barwnikiem, by zachować tak równomierny kolor. Być może zaczął być stosowany już wiele lat temu, a teraz stało się to bardziej kwestią przyzwyczajenia niż próżności. Ubrana była wyłącznie w czerń; absolutnie nigdzie nie przebijała choćby plamka innego koloru. To jednak, rzecz jasna, z powodu śmierci Starr. Brwi też miała całkiem czarne. I w tym przypadku było to dzieło natury. Były niemal jak małeńkie pelerynki z czarnego foczego futerka przyklejone nad powiekami. W końcu jej oczy – też były czarne. Czarne jak guziki. Ale guziki bardzo ruchliwe.

Madeline wyobrażała sobie, że będzie duża, pulchna, prawdziwa mateczka. Była tymczasem chuda jak szczapa, wymizerowana. Że będzie powolna w ruchach, że może nawet będzie miała problemy z chodzeniem. Krok tymczasem miała sprężysty, co dało się dostrzec na pierwszy rzut oka; wiek dopadł ją gdzie indziej. Miała wyraźnie, okrutnie wprost zaokrąglone plecy. Tak, że chociaż musiała być słusznego wzrostu, to wydawała się niska, zdeformowana.

– Pani Bartlett? – wyszeptała Madeline. Musiała szeptać przez pospiech, z jakim pokonała z powrotem schody.

– Tak – odrzekła, zwracając na nią swoje czarne oczy. Widniały pod nimi wielkie podkowy smutku, zauważyła Madeline. – Pani do mnie? Czy to pani dzwoniła do drzwi?

– Tak, to ja – odparła Madeline.

Zbliżyły się teraz nieco jedna do drugiej.

– Czy ja panią znam? – zapytała starsza z kobiet.

– Nie, nie zna mnie pani – odpowiedziała cicho Madeline. Pomyślała: nieładnie z mojej strony tak to przedłużać. Powiedz jej już, nie każ jej czekać. – Ale ja znałam Starr.

Dwie emocje, bardzo proste emocje przemknęły po twarzy kobiety jedna za drugą. Tak wyraźne, jakby to były dwa kolorowe krążki, z których każdy z osobna rzucił swe światło na jej twarz.

Najpierw radość. Zwyczajna, czysta radość. Samo to imię, ukochane imię. Ktoś, kto ją znał. Ktoś, kto się z nią przyjaźnił. Ktoś, kto mógł o

niej opowiedzieć. A potem smutek. Zwyczajny, bezdenny smutek. Nie ona sama, tylko ktoś, kto ją znał. Nie ona sama, tylko ktoś, kto mógł o niej opowiedzieć.

Usta jej się rozwarły. I rozwarły tak, zadrżały lekko, poruszyły się, jakby próbowały się zamknąć. Oczy jej tak cierpiały. Tyle w nich było cierpienia, ile tylko można sobie wyobrazić.

– Proszę wejść – powiedziała tylko. Raczej spokojnie. Przynajmniej bez drżenia.

Madeline ruszyła przodem, zaproszona jej ledwo dostrzegalnym gestem.

Kobieta weszła za nią i zamknęła drzwi.

Było to małe, dwupokojowe mieszkanie na planie litery L. To znaczy, pokoje nie znajdowały się jeden obok drugiego, lecz jeden prostopadle do drugiego, wychodziły na różne strony świata. Pierwszy był jedynym, jaki dane jej było zobaczyć, gdy wchodziła. Był czysty, choć nie panował w nim wzorowy porządek. Nie widziało się kurzu czy śmieci, lecz wszystkiego było stanowczo za dużo. Był przeładowany. A może sprawiał tylko takie wrażenie z powodu swoich małych rozmiarów.

– Proszę usiąść – rzekła pani Bartlett. – Nie, nie na tym. Ten będzie lepszy. W tamtym pękła jedna sprężyna.

Madeline przesiadła się zgodnie z poleceniem.

Cały czas myślała: Mieszkała tutaj. To tutaj mieszkała. Tutaj, gdzie teraz jestem. A przeze mnie już nie żyje. Nigdy nie będzie mieszkać już nigdzie. Ja to sprawiłam. Ja. Jak mogę patrzeć w te czarne oczy, przyglądające mi się teraz? Jak mogę w nie patrzeć?

– Nie przedstawiła mi się pani – zauważyła pani Bartlett, uśmiechając się do niej. Przez chwilę przytrzymała z czułością dłoń na ramieniu Madeline.

– Madeline Chalmers – powiedziała Madeline. – Morderczyni. Morderczyni pani córki. – Lecz z ust jej wyszło tylko to pierwsze.

– Długo ją pani znała? – spytała pani Bartlett. Gagatowy krzyżyk u nasady jej szyi mignął odbitym światłem słońca, jakby właśnie uronił łzę.

– Wydaje mi się, że dłużej... niż w rzeczywistości. Znacznie dłużej. Całe życie.

Odpowiedź ta, tak ostrożnie dobrana, nie zrobiła większego wrażenia. Pani Bartlett odwróciła głowę, nagle, gwałtownie.

– Przepraszam na chwilę – rzekła łamiącym się głosem. – Zaraz przyjdę.

Wyszła przez drzwi – przez otwór w ścianie tak naprawdę, bo drzwi jako takich tam nie było – skręciła w prawo i weszła do drugiego pokoju, zapewne sypialni. Poszła tam się wyplakać, Madeline wiedziała.

Nie słyszała żadnego dźwięku i starała się nie słyszeć, w razie gdyby jakiś do niej dobiegł. Żaden jednak nie dobiegł.

Nie ułatwiało jej to sprawy, taka chwilowa dygresja. Usiłowała zająć czymś umysł, przyglądając się drobiazgom. Drobiazgom, które tak naprawdę jej nie interesowały.

Jedna z lamp, zapewne z braku gniazdek, miała przewód poprowadzony do góry i podłączony do prowizorki w suficie. Ściana, przynajmniej ta przed nią, była w dwóch odcieniach. Większość jej powierzchni miała wyblakłą barwę żółknącej zieleni, jak groszek, który zaczął już więdnąć i wysychać. Zaś pośrodku tego widniała prostokątna plama zieleni znacznie ciemniejszej, świeżej, jakby ktoś ją dopiero co skropił wodą. Sterczał z niej pusty gwóźdź, tłumacząc wszystko. Kiedyś, dawno temu, wisiał tutaj obraz, który potem zdjęto. Przy oknie stała iskrząca się cudownie drabinka. Ale nie prawdziwa – drabinka widmo z wirujących w słońcu drobinek kurzu, jak gdyby postawiono ją tam, by jakaś anielska pomoc domowa weszła i powiesiła firanki. Jej świetliste szczeble zostały stworzone przez ażurowe schody przeciwpożarowe za oknem.

Na dachu, widocznym tylko jako ukośna linia przecinająca jeden z górnych rogów okna, jakaś kobieta wieszała pranie. Słysząc było swarliwy pisk kółka linowego za każdym razem, gdy przyciągała sobie więcej sznurka, lecz nie było jej widać.

Wróciła pani Bartlett. Trudno było stwierdzić, że płakała.

– Proszę pozwolić, że czymś panią poczęstuję – rzekła. – Zapominam o dobrym wychowaniu. Napije się pani kawy?

– Proszę nic nie robić. – Madeline błagała ją z największą szczerością. Niemalże ze wstrętem. – Przyszłam tu tylko z panią porozmawiać. Naprawdę.

– Nie odmówi pani chyba matce Starr, prawda? – rzekła ujmująco kobieta. – To potrwa tylko chwilę. I będziemy mogły posiedzieć i porozmawiać.

Podeszła do wąskiego otworu w ścianie, szczeliny tak naprawdę, po drugiej stronie przedpokoju, tuż przy drzwiach wejściowych, i Madeline usłyszała płynącą wodę, najpierw dudniącą głucho o porcelanowy zlew, a potem bardziej dźwięcznie o blachę lub aluminium. Następnie rozległo się cichutkie „puff, jakie wydaje zapalany gaz.

Pani Bartlett wróciła. Pierwszy raz, odkąd ją wpuściła, usiadła z Madeline.

– Wygląda pani na zmęczoną – zauważyła ze współczuciem Madeline.

– Niewiele śpię, odkąd zginęła – odparła zwyczajnie kobieta. – To znaczy, w nocy. W związku z tym muszę spać wtedy, gdy mi się uda. Drzemałam, kiedy zadzwoniła pani do drzwi, dlatego tak długo nie otwierałam.

– Przepraszam – rzekła ze skruchą Madeline. – Mogłam przyjść kiedy indziej.

– Cieszę się, że pani tu jest. – Poglaskała Madeline po rękę i skuliła się lekko w fotelu, przybierając pozę jednego wielkiego oczekiwania. – Jeszcze mi pani o niej nic nie powiedziała.

– Nie wiem, od czego zacząć – odparła Madeline. I była to prawda.

– Czy była szczęśliwa?

– Tego – odrzekła Madeline nieskończenie powoli – nie wiem. A pani?

– Nie mówiła mi – powiedziała zwyczajnie pani Bartlett.

– Czy była szczęśliwa, kiedy tu z panią mieszkała?

– Na początku tak. Później – nie jestem pewna.

Madeline pomyślała: Coś w tym może być. Ale jak to wydobyć?

– Czy miała jakieś szczególne... ambicje, o których pani opowiadała?

– Wszystkie dziewczęta są ambitne. Jak wszyscy młodzi. Nie być ambitnym, to tak jak nie być wcale młodym. – Powiedziała to ze smutkiem.

– Ale czy było coś szczególnego? – upierała się Madeline.

– Tak – przyznała pani Bartlett. I jeszcze raz: – Tak. – I zamilkła, jakby się nad tym zamyśliła.

Madeline czekała, wstrzymując oddech.

– Chwileczkę – zaznaczyła pani Bartlett, wstając. – Słyszę, że kawa już bulgoce. – Wyszła, żeby ją przynieść.

Madeline cicho wypuściła wstrzymywane powietrze, niczym opona, w której zrobiła się mała dziurka. Och, diabli nadali tę przerwę na kawę, pomyślała. Akurat wtedy, gdy zdawało się, że dokądś to wszystko zmierza.

Pani Bartlett krzątała się przy filiżankach, spodkach, łyżeczkach i kieliszku pełnym małych bryłek cukru (trzymała je w kieliszku do wody zamiast w cukiernicy) i nie sposób było ciągnąć rozpoczętego wątku. Jeśli nawet Madeline zaczęła właśnie zdobywać choćby maleńki fragment upatzonego terytorium, to teraz je straciła.

Pani Bartlett siedziała i popijała, a jej czarne oczy przyglądały się Madeline znad krawędzi przechylonej filiżanki, ale z życzliwością i ufnością.

Nie mogę jeść przy jej stole, pomyślała Madeline. To znaczy, pić. Ścisnęło ją w gardle. Jestem morderczynią. Nie mogę siedzieć tutaj, jedząc z nią i pijąc. Zabiłam jej córkę. To niepojęte, ohydne, postępować w ten sposób.

– Nie smakuje pani? – zapytała pani Bartlett ze smutkiem.

Madeline zmusiła się, by wziąć łyk. Na tyle tylko było ją stać.

– Chyba rozumiem – rzekła cicho pani Bartlett po dłuższej chwili. Pierwszy raz, odkąd się spotkały, spuściła wzrok, odwróciła go od twarzy Madeline.

Madeline wyjęła spodeczek spod filiżanki i pozwoliła, by łyk kawy, który już w siebie wlała, z powrotem na niego wypłynął. Nie był to tylko popis sentymentalnej delikatności. Jej gardło się zacisnęło; udusiłaby się tym jednym łykiem letniego płynu. Odstawiła filiżankę i spodek na bok.

Pani Bartlett wstała i znów zaczęła się krzątać, tym razem bardzo taktownie, bardzo dyskretnie, i filiżanki znikły z widoku.

Kiedy wróciła, Madeline siedziała w innym fotelu i na moment przesłoniła oczy krawędzią dłoni.

– Jest pani *prawdziwą* przyjaciółką – stwierdziła z lekkim podziwem. – *Prawdziwą*. – I powtórzyła raz jeszcze: – Prawdziwą.

– Tak – odrzekła Madeline z gorzką drwiną. – Tak. O tak.

Milczały przez chwilę. Aż nagle Madeline zwróciła się w jej stronę – siedziała do tej pory nieco bokiem – i rzekła:

– Wie pani, jak do tego doszło, prawda?

Starsza kobieta jakby zapadła się w fotelu. Skurczyła się, jak gdyby uszło z niej powietrze.

– Tak, wiem – odparła. – Powiedzieli mi. – Po czym wyszeptała: – Strzał... na ulicy.

Wyszeptała to tak cicho, że Madeline w ogóle nie słyszała słów. Ale wiedziała, co to za słowa, bo takie, nie inne w tej chwili paść powinny. Do tego ruch warg stworzył ich obraz, idealnie do nich pasował.

Po chwili Madeline zaczęła zadawać pytanie: – Czy pani...? – Lecz dalej nie wiedziała, co powiedzieć.

– Czy co? – spytała pani Bartlett ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Czy pojechała tam pani... do miasta, gdy panią zawiadomiono? Czy... sprowadziła ją pani z powrotem? Czy spoczywa gdzie tutaj?

– Nie mogłam jechać osobiście – odparła pani Bartlett całkiem zwyczajnie ze spuszczoneym nadal wzrokiem. – Widzi pani, jestem tu całkiem sama. Nie byłam w stanie... Przez pierwsze dni po otrzymaniu wiadomości nie wstawałam z łóżka.

Madeline skrzywiła się.

– Ale pan Thalor, przedsiębiorca pogrzebowy, był tak miły, że wszystko załatwił, zajął się wszystkim za mnie. Sprowadził ją tutaj i zajął się wykupieniem kwatery. Nie miałam pieniędzy, żeby tak od razu ją wykupić, ale pozwolili mi płacić w ratach, po trochu.

Madeline nie zdołała powstrzymać drżenia.

– Brzmi to okropnie, wiem – przyznała pani Bartlett. – Ale co można zrobić, gdy śmierć uderza tak znienacka, a człowiek nie jest na nią przygotowany? Zawsze myślałam, że odejdę pierwsza i to ona będzie musiała zająć się takimi sprawami. Nigdy by mi się nawet nie przyśniło, że... to ja ją pochowam. – Zwinęła dłoń w małą pięść, białą i kruchą jak rzeźba z kości słoniowej, i przycisnęła tuż nad jednym okiem.

Madeline widziała, że wyczerpały się już na ten raz jej siły. Nie pozostało nic innego, jak poczekać na kolejny raz.

Podniosła się i rzekła: – Mam nadzieję... Nie chciałam zadać pani takiego cierpienia.

Małeńka zaciśnięta piastka była teraz przy ustach, zatykała je, przyciskała. Kobieta skinęła lekko głową, ale czy to na znak przebaczenia, czy tylko akceptacji przeprosin, Madeline nie miała pojęcia.

– Czy mogę przyjść jeszcze raz? – spytała. – Czy mogę znowu z panią porozmawiać?

Oniemiała postać skinęła znowu, lecz tym razem znaczenie było oczywiste.

Mijając ją w drodze do drzwi, Madeline położyła na moment dłoń na jej ramieniu w daremnym, jedynym geście pocieszenia, jaki mogła jej zaoferować. Małeńka pięść otworzyła się, drżąc, uniosła się w górę niczym rozkładający skrzydła ptak, by spocząć na niosącej pociechę dłoni.

Wychodząc i cicho zamykając za sobą drzwi, Madeline obejrzała się. Jeśli nie liczyć tamtego drobnego gestu, kobieta nie poruszyła się, nie odwróciła głowy, by popatrzeć za nią, jak wychodzi. Madeline widziała ją tylko od tyłu w świetle, które rozmywało lekko i zmiękczało zarys jej głowy, kiedy siedziała tam, siedziała, nie ruszając się z miejsca. Czując tylko, tylko oddychając. Żywa po śmierci. Albo martwa za życia.

Jestem odpowiedzialna za dwie śmierci, powiedziała sobie z wyrzutem Madeline, nie tylko jedną. Za tę też. Za tę śmierć serca.

Kiedy nazajutrz zbliżyła się do niewielkiej, czteropiętrowej kamienicy, Madeline najpierw się złękła, a potem poczuła trochę nieswojo, widząc znajomą, odzianą na czarno postać pani Bartlett czekającą w cieniu zielonej markizy nad wejściem, która sięgała aż do krawędzi chodnika. Było oczywiste przez to, jak rozglądała się po ulicy, obracając głowę raz w jedną stronę, raz w drugą, że na kogoś czeka. A Madeline wiedziała, że tym kimś musi być właśnie ona. Najkrótsza droga z jej hotelu przywiodła ją na drugą stronę ulicy, wiedziała, że starsza

kobieta jeszcze jej nie dostrzegła (po tamtej stronie stał niemalże nieprzerwany sznur zaparkowanych samochodów, który ją zasłaniał), i przez moment poczuła impuls, żeby okręcić się na pięcie i zawrócić, nim zostanie zauważona.

Dlaczego tak na nią czekała, w kapeluszu, przed domem? Czy chciała ją gdzieś ze sobą zabrać? Czy chciała przedstawić ją innym krewnym, innym członkom rodziny? Ale czyż nie to dokładnie było najważniejszym celem Madeline, gdy zaczęła jej szukać, żeby przez nią ustalić powiązania, nawiązać inne kontakty? Skąd więc ta płochliwość, skąd ta nieśmiałość?

Zmusiła się, by przeciąć na ukos jezdnię, a kiedy pani Bartlett ujrzała ją wychodzącą spomiędzy dwóch zaparkowanych aut, zbliżyła się do krawędzi chodnika, żeby ją powitać, i ledwo zauważalnie odchyliła w bok głowę, jak gdyby dawała zezwolenie na całusa.

Madeline musnęła wargami jej czoło.

– Tak się cieszę, że przyszła pani tak wcześnie – mruknęła pani Bartlett. – Zapomniałam wczoraj zapytać, gdzie mogę panią znaleźć.

Madeline powiedziała jej, nie widząc powodu, dla którego miałyby to zataić.

– Tak bardzo chciałam, żeby pani ze mną poszła – mówiła starsza kobieta. – Wiedziałam, że pani też będzie chciała.

– Dokąd, pani Bartlett? – W jednej chwili, instynktownie poddała się strachowi, który na moment wywołał w niej pełną napięcia i ostrożności chęć wykonania uniku.

– Proszę mi mówić Charlotte.

– Dokąd?

– No, na mszę o jedenastej, oczywiście. To tu za rogiem. Zdązymy.

Zabójca modlący się za ofiarę. Och, nie mogę. A jednak to się już zdarzało. Wielokrotnie. Morderca modlący się za zamordowanego. Ale, och... ja nie mogę. Nie mogę tam z nią pójść.

Stała sztywno, jakby zapuściła korzenie. Pani Bartlett zrobiła krok naprzód, po czym obróciła się, a widząc, że Madeline się nie poruszyła, wyciągnęła rękę – wciąż nie dzieliło ich więcej niż odległość ramienia – delikatnie ujęła dłoń dziewczyny w swoją i ruszyła ponownie. Nie

stawiając oporu, Madeline podążyła za nią. Prawie jak lunatyk prowadzony przez osobę przytomną.

Skręciły za róg, nadal trzymając się w ten dziwny sposób za ręce, i znalazły się przed kościołem. Półokrągłe szare stopnie prowadziły do kruchty, a z półokrągłych wnęk po obu stronach patrzyły na nie niewidzącym wzrokiem ślepe, kamienne oczy świętych.

Dotyk pierwszego stopnia pod czubkiem buta wyrwał Madeline z tej podobnej do transu bierności, jak gdyby ktoś wcisnął guzik, przerywając przepływ kompulsywnego prądu; uwolniła dłoń i stanęła jak wryta o stopień niżej niż pani Bartlett.

– Nie mogę tam wejść, niech mnie pani nie poci.

Oczy pani Bartlett były spokojne, bez wyrzutu; przede wszystkim zdawało się w nich gościć nieskończone zrozumienie, mądrość, która przychodzi z wiekiem.

– Czy to z powodu wyznania? Dlatego, że jesteś innej wiary? To chodźmy do twojego kościoła. Dom boży, to dom boży. Unitariański, baptystyczny...

Pomyślała: zabójca to zabójca, niezależnie od wyznania.

– Pójdę z tobą i będę modlić się u twego boku – ciągnęła kobieta. – Po swojemu, ale do tego samego Boga. I jestem pewna, że modlitwy nas obu dotrą do Niego tak samo. Bóg jest jeden, nie baczy na podziały.

Madeline odwróciła głowę jak ktoś, kto boi się, że otrzyma cios, zostanie uderzony. Nie tylko ją odwróciła, ale i skłoniła. Całe jej ciało wygięło się, naprężyło, byle dalej od wejścia do kościoła, okazując awersję. Awersję płynącą nie z odrazy, ale ze strachu. Zaczęła dygotać na całym ciele, tak że wraz z nią dygotała dłoń pani Bartlett.

– Zaczekam na panią na zewnątrz – rzekła zduszonym głosem. – Zaczekam tutaj, na schodach.

Pani Bartlett popatrzyła na nią z zaciekawieniem. Puściła jej rękę.

– W takim razie odmówię dwie modlitwy – powiedziała spokojnie. – Jedną za nią, a drugą... za ciebie.

Odwróciła się i weszła powoli po schodach, otworzyła drzwi i wkroczyła do środka. Drzwi zamknęły się za nią bezgłośnie na swoich potężnych zawiasach.

Madeline stała, czekając, nawet się nie poruszyła. Jedna noga na jednym stopniu, druga na drugim, w takiej pozycji, jakby skamieniała, wchodząc.

Drzwi otworzyły się, gdy przybyli jacyś spóźnialscy, i muzyka zagrzmiała jak pean, po czym znowu przeszła w jednostajny pomruk. Przez moment mignęły jej przed oczami owalne szkiełka mrugające jak złote łyzy spływające po ścianie, widziane jak gdyby na końcu długiego, wypełnionego fioletową pomroką tunelu. Drzwi na powrót się zamknęły i świat znów został podzielony na pół: na ten świat i tamten świat.

Wreszcie msza się skończyła i ludzie zaczęli wychodzić, kobiety i dzieci w kolorowych ubraniach, jak kwiaty rozsypujące się po stopniach wokół Madeline. A kiedy już wszyscy się rozpiechli i na ulicy znowu zapanował spokój, pani Bartlett stanęła samotnie u szczytu schodów, ostatnia z wychodzących.

Zeszła powoli i skręciła, i choć jej oczy spoczęły przelotnie na Madeline, to nie było w nich błysku rozpoznania. Madeline obróciła się gwałtownie i zrównała się z nią, ale przez całą drogę powrotną były jak dwie obce osoby, które nie znają się, a mimo to idą cały czas ramię w ramię. Więż, jaka łączyła je w drodze do kościoła, znikła, została zerwana.

Kiedy dotarły do kamienicy, pani Bartlett weszła pierwsza z racji swego wieku chociażby, lecz ostentacyjnie nie przytrzymała drzwi dla Madeline, która musiała złapać je i przytrzymać sama, by dostać się do środka. Przy drzwiach na górze, gdy pani Bartlett wyjmowała pęk kluczy, jej ręka drżała tak, że nie była w stanie włożyć tego właściwego do zamka. Brzęczały głośno w ciszy korytarza. Lecz kiedy Madeline wyciągnęła dłoń i próbowała wziąć klucze i jej pomóc, wyrwała je z gwałtownością noszącą niemal znamiona wrogości.

Otworzywszy w końcu drzwi, pani Bartlett minęła je, a wtedy odwróciła się i chłodno spojrziała w twarz Madeline, stając tak, by Madeline nie mogła wejść do środka. Jej twarz była poszarzała od cierpienia, niemalże od niego podziurawiona, przypominała pumeks.

– Dlaczego chcesz tu wejść? Nie mam już więcej dzieci...

Madeline wciągnęła powietrze, ostre i lodowate jak brzytwa przecinająca jej gardło, gdy spływało do płuc.

– Miałam tylko ją jedną. Poszukaj teraz domu kogoś innego i tam sprowadź ból i cierpienie.

Madeline milczała.

– To byłaś ty – ciągnęła zrozpaczona kobieta. – Ty to zrobiłaś. Zrozumiałam to, gdy nie chciałaś wejść ze mną do kościoła.

I powolutku zaczęła zamykać pomiędzy nimi drzwi, przez zwężającą się szparę wciąż mówiąc:

– Ty to zrobiłaś. Ty.

Drzwi się zamknęły.

Ciało Madeline wykonało półobrót rozpaczy, a jej barki zetknęły się ze ścianą obok drzwi. Zwiesiła głowę.

Po chwili wyprostowała się, odwróciła znowu i zastukała cicho, błagalnie do drzwi.

Nie doczekała się odpowiedzi.

Po chwili odeszła.

Nazajutrz o jedenastej drzwi kamienicy otworzyły się i pani Bartlett wyszła, ciągnąc za sobą mały wózek na zakupy. Zobaczyła, że Madeline stoi tam i czeka, ale się nie odezwała.

Kiedy po godzinie wróciła, mały wózek wypełniony był zakupami. Zobaczyła, że Madeline nadal tam stoi, ale się nie odezwała.

Drzwi się za nią zamknęły.

Nazajutrz około południa drzwi otworzyły się znowu, a ona znowu wyszła. Zobaczyła, że Madeline znowu stoi i czeka, ale się nie odezwała. Kiedy wróciła po jakimś czasie, niosła z pralni chemicznej jakiś ubiór zabezpieczony foliowym workiem. Trzymała go za druczany wieśzak, który sterczał z jednego końca worka, i trudno jej było utrzymać go nad ziemią, jednocześnie sięgając po klucz.

Madeline ruszyła naprzód i dyskretnie wzięła od niej worek, i przytrzymała, podczas gdy kobieta wyjęła klucz i otworzyła drzwi.

Wtedy, równie dyskretnie, Madeline oddała jej ubiór. Pani Bartlett weszła z nim do środka.

Drzwi za nią pozostały otwarte.

Po chwili Madeline weszła nieśmiało i je za sobą zamknęła.

Pani Bartlett postawiła potem na stole dwie filizanki.

Wysłam za męża, gdy byłam bardzo młoda. Miałam siedemnaście lat. Nieszczęścia zaczęły nękać nas niemal od dnia ślubu. Czasem gdy patrzę wstecz, zdaje mi się, że to jakieś fatum.

Mieliśmy małego synka, jeszcze przed Starr. I straciliśmy go, kiedy miał jakieś pięć lat.

– Umarł? – spytała Madeline.

– Nie. A jeśli nawet, to nigdy nie dowiedzieliśmy się tego na pewno.

– Nie rozumiem.

– Zniknął po prostu któregoś dnia. Zniknął z powierzchni ziemi. Nigdy go już nie zobaczyliśmy. W jednej chwili bawił się przed drzwiami, na widoku. A w następnej wszelki ślad po nim zaginął. Nie wiem, może jakiś zwyrodnialec zwabił go, a potem się go pozbył. Gdyby zwyczajnie się zgubił, w końcu by się odnalazł. Żadne dziecko nie błąka się zagubione w nieskończoność. Policja pracowała nad tym przez wiele miesięcy. Wiele długich miesięcy. W końcu przyszli do mnie po roku. Musiał upłynąć cały rok. Ponad rok. Zdążyłam już nauczyć się z tym żyć. Powiedzieli mi, że doszli tylko do jednego wniosku. Mały nie żył, bo inaczej zostałby już znaleziony. Powiedzieli mi, że musiał zostać zabity niemal natychmiast, pierwszego albo drugiego dnia po zniknięciu, zanim jeszcze sprawa nabrała pełnego rozgłosu. A ciała pozbyto się tak, że nigdy go nie znaleziono. Dziecko w tym wieku ma takie małe ciało – stwierdziła żałośnie. – Można je ukryć w piecu albo w kubie z popiołem. Albo wrzucić do studzienki kanalizacyjnej.

Madeline zadrzała i przygryzła grzbiet własnej dłoni. Boże, nie ma na tym świecie nic gorszego ponad morderstwo dziecka! Morderstwo osoby dorosłej wydaje się w porównaniu z tym rzeczą czystą i prawą.

– Nie porzuciłam nadziei nawet wtedy. Która matka by ją porzuciła? Mijały jednak tygodnie, miesiące... Bennett, mój mąż, widział, że rozpamiętuję, że się zadręczam, i w końcu zaproponował, żebyśmy postarali się o drugie dziecko. Pewnie po to, by zająć czymś moje myśli, przywrócić mi chęć do życia. Kategorycznie odmówiłam. Nie chciałam przechodzić przez to po raz drugi, bać się, że stracę je, gdy tylko się do niego przywiążę, nauczę się je kochać. Powiedziałam mu,

że mając drugie dziecko, nie zaznam chwili spokoju po tym, co stało się z pierwszym. Byłoby to niedobre dla dziecka, a jeszcze gorsze dla mnie. Żadne jego argumenty nie były w stanie mnie przekonać.

Cóż, to dosyć delikatna i osobista sprawa, by tak o niej rozmawiać, ale minęło tyle lat, że nie ma to już dłużej znaczenia. Nie wiem, jak mu się to udało, ale nagle zorientowałam się, że znów noszę w sobie dziecko. Poszłam nawet do lekarza i prosiłam, żeby coś zrobił, ale mnie od tego odwiódł. I po dziewięciu miesiącach urodziła się Starr.

Biedna Starr, pomyślała wstrząśnięta Madeline. Nie chciała jej nawet własna matka.

– I co dalej?

– To jakby wbiło pomiędzy nas klin, oddaliło nas od siebie. Nie była to niczyja wina, po prostu nasze małżeństwo zostało zawarte pod nieszczęśliwą gwiazdą. Nastąpił długi okres... sama nie wiem, jak to nazwać. Tolerancji. Obojętności. Aż z biegiem lat Bennett zaczął pić. Podejrzewam, że dopadło go rozgoryczenie. To coś okropnego widzieć, jak człowiek zapija się na śmierć na twoich oczach. Te upadki na podłogę. Wymioty. Załatwianie się pod siebie. Staralam się, by dziecko widziało z tego jak najmniej. Trzymałam Starr w jej pokoju, pod kluczem. To znaczy, kiedy wracał po nocach. Ale dzieci są bystre. Dużo wiedzą, dużo wyczuwają.

Aż wreszcie... pewnie potwornie zabrzmi to, co powiem, ale Bóg w swym nieskończonym miłosierdziu ulitował się. Ulitował się nad nim i nade mną, i nad jego dzieckiem. Pewnej okrutnie mroźnej nocy padł, kompletnie pijany, w wejściu, nie mógł się podnieść ani ruszyć z miejsca i zmarł z wychłodzenia.

Ale czy równie miłosierny okazał się Bóg dla Starr? – zastanawiała się obrazoburczo Madeline. Odebrał jej życie w wieku dwudziestu dwóch lat, fundując najpierw takie dzieciństwo!

– Kiedy Starr była mała, czy martwiła się pani i trwożyła, że znów spotka was tragedia pierwszego dziecka, tak jak to pani przewidywała?

– Nie, o dziwo się nie bałam – odparła Charlotte. – Poszłam do księdza i to on odegrał wielką rolę, przywracając mi spokój ducha. Mówiąc w skrócie, powiedział mi, że piorun nie trafia dwa razy w to

samo miejsce i że w zasadzie nie ma takiej możliwości, by spotkało to po raz drugi tę samą rodzinę, tych samych rodziców.

Zrozumiałam, że to naprawdę ma sens, i od tamtej pory już się nie bałam.

Na pewno nie ma pani nic przeciwko temu? – spytała Madeline przed rozpakowaniem cienkiej paczuszki, którą wręczyła jej Charlotte.

– Nie, śmiało, możesz je przeczytać, jeśli chcesz – zachęciła Charlotte. – Nie ma w nich nic ważnego, ot, zwyczajne listy, jakie wysyła dziewczyna, która znalazła się daleko od domu. – Po czym dodała w zamyśleniu: – To chyba niemądre, przechowywać listy... zwłaszcza gdy ich autor nie żyje.

– Ale wszyscy robimy to w niektórych sytuacjach – przypomniała jej Madeline.

– Będziesz musiała je odwrócić, jeśli chcesz czytać w kolejności – zauważyła Charlotte. – Najstarsze są na spodzie, najnowsze na wierzchu.

Może mi to pomóc lepiej ją poznać, myślała Madeline, tłumacząc się sama przed sobą, choć wiedziała, że się okłamuje. Nie usiłowała poznać lepiej Starr; wściubiała zwyczajnie nos w nie swoje sprawy, próbowała dotrzeć do dowodów, prawie tak jak robiłby to detektyw. Niepokojem napawała ją świadomość, że istnieje wielka różnica pomiędzy wypytywaniem Charlotte w rozmowie a czytaniem prywatnych listów, listów pisanych do kogoś innego. Istniała ta różnica przynajmniej w jej własnym przekonaniu, a tylko to się liczyło. Było to tak, jakby zobaczyć kogoś nago.

Wzięła je ze sobą do okna i tam usiadła, by poczytać na osobności. Charlotte pozostała na swoim miejscu, w milczeniu wpatrując się w grzbiety własnych dłoni, jak gdyby przeżywała w pamięci ten czas, gdy sama czytała je po raz pierwszy.

Madeline nie czytała każdego od początku do końca; nie musiała. Jej oczy przemykały po kartce i wychwytywały kluczowe frazy. Czasami w takiej frazie zawierała się cała treść listu, wszystko to, co miało dla niej znaczenie.

*

...bardzo zmęczona po podróży. I oczywiście stęskniona trochę za domem. Brakuje mi Ciebie i miasta, w którym dorastałam. Pierwszej nocy w nowym mieście człowiek zawsze czuje się obco...

...już się przyzwyczajam. Zaczynam się czuć jak w domu...

...dziewczyna, z którą pracuję, uparła się zaciągnąć mnie na to przyjęcie. Tak naprawdę nie miałam ochoty tam iść, ale zgodziłam się, żeby nie pomyślała, iż jestem jej nieżyczliwa czy nieprzystępna. Był tam pewien mężczyzna, niejaki Herrick. Wydawał się miły. Odprowadził mnie potem do domu, tylko do drzwi. Zapytał, czy może do mnie zadzwonić. Skłamałam i powiedziałam, że nie mam telefonu. Nie chcę się jeszcze z nikim wiązać, to może zaczekać...

...omal się nie przewróciłam, gdy odebrałam i okazało się, że to on. Zdaje się, że ta dziewczyna, z którą pracuję, dała mu mój numer. Niech tylko poczeka, aż się spotkamy, już ja jej powiem...

...im bardziej staram się go zniechęcić, tym mniej mi się to udaje. Ta sytuacja zaczyna wymykać mi się z rąk...

...Okazuje się, że jest żonaty. Co prawda, powiedział mi o tym z własnej, nieprzymuszonej woli, ale to niczego nie zmienia. Pożegnałam się z nim kategorycznie i powiedziałam, żeby nie próbował więcej się ze mną spotkać...

...Bolało to bardziej, niż się spodziewałam. Musiał mi zapaść w serce znacznie głębiej, niż mi się zdawało...

...kiedy powiedział, kto tam, nie otworzyłam, więc wsunął mi jakąś kartkę pod drzwiami. Podniosłam ją i popatrzyłam, a była to kopia orzeczenia o rozwodzie jego i jej. Było prawomocne. Zastanowiłam się przez chwilę. A potem otworzyłam drzwi. Nagle znalazłam się w jego ramionach. Nie zdawałam sobie z tego sprawy aż do tej chwili, ale kochałam go już od długiego czasu...

...Wczoraj wzięliśmy ślub...

...Im dłużej go znam, tym bardziej go kocham. To jest jak sen, który stał się jawą. Kocham go tak bardzo, że czasami boję się, iż coś się stanie, nieprzychylny nam los ukarze nas za to, że ośmieliliśmy się być tacy szczęśliwi. Wydaje się to zbyt piękne, by mogło trwać...

...Wczoraj minęło półtora roku. Osiemnaście miesięcy. Nasza półtorarocznica, czy tak się to mówi? Podarował mi złotą bransoletkę z breloczkami. Co roku mam dodawać kolejny breloczek, aż cała się

zapelni. Na pierwszym jest wygrawerowane „Kocham cię”. Czy te, które zostaną dodane, mogą być lepsze? Ja podarowałam mu zapalniczkę z jego inicjałami. Napiliśmy się w mieszkaniu szampana, sami, tylko we dwoje. Potem poszliśmy na kolację do chińskiej restauracji. A jeszcze później na wielki spektakl muzyczny. Kiedy przedzieraliśmy się przez tłum w foyer, gdy kurtyna opadła, powiedział, że zabierze mnie do jednego z tych wielkich nocnych klubów, na zakończenie. Odrzekłam: „Vick, nie wydawaj wszystkich pieniędzy w jedną noc. Wiem, że mnie kochasz. Nie musisz udowadniać mi tego w tak kosztowny sposób”. Odparł tylko – i obdarzył mnie tym swoim spojrzeniem, pod którym moje serce topnieje jak śnieg w piekarniku – „Nie pozwolisz mi tego udowodnić? Tylko w tę jedną noc. Nie pozwolisz mi? Proszę?” To spojrzenie małego chłopca, spojrzenie męża, spojrzenie kochanka. Nie wytrzymałam, nie mogłam. Rzuciłam mu się na szyję i zawisłam, unosząc nogi nad ziemię, i pocałowałam go chyba z osiemnaście razy. „Jest tylko jeden Vick, jesteś jedyny na świecie”, wyszeptałam mu prosto do ucha. „A to dlatego – odrzekł – że jest tylko jedna Starr”...

Madeline złożyła na powrót listy i zamknęła oczy.

Jakież to autentyczne, pomyślała. Nie da się tego sfalszować, nie da się zmyślić. Nawet atrament, którym to napisano, lśni nadal po tak długim czasie. Kochali się jak szaleńcy, jak opętani, kochali się tak prawdziwie.

Ten list był ostatni. Po nim nie było już żadnego.

Ale pierwsza żona nie poddała się bez walki. Była piosenkarką. Pracowała w klubach. Twarda sztuka, wiesz, co mam na myśli? Zrobiła coś, co zupełnie zniszczyło ich małżeństwo. Zniszczyło zupełnie...

- Co takiego?
- Nigdy się nie dowiedziałam. Starr nie chciała powiedzieć, co to było.
- Czy Starr kiedykolwiek ją spotkała? Czy ją znała?
- Sama ją o to pytałam. Powiedziała: „W życiu jej nie widziałam”. Tak brzmiały jej słowa. „W życiu jej nie widziałam”. Po czym dodała: „Zadzwoniła raz tylko, o pierwszej w nocy. Jeden mały telefon, a

zrujnował moje życie, zrujnował moje szczęście, otworzył na oścież bramy piekielne i pchnął mnie w otchłań”.

Madeline wpatrywała się w nią uważnie, lękliwie, z zaciekawieniem.

– Zupełnie tak samo *ja* patrzyłam wtedy *na nią* – rzekła Charlotte, odczytując to spojrzenie.

– Czy powiedziała coś jeszcze?

– Tylko to: „Chciałabym się z nią policzyć”. Zwinęła swą drobną piąstkę, zacisnęła, o tak... i przyłożyła ją sobie do twarzy, pomiędzy oczy. „Chciałabym się z nią policzyć – rzekła – ale co z tego, co zrobię, mogłoby się równać z tym, co ona zrobiła mnie? Jest tylko jedna taka rzecz na tym świecie, tylko ta jedna jedyna.”

Charlotte podeszła do drzwi, a jej twarz zajaśniała, gdy zobaczyła Madeline. Zaczynała ją lubić, jak domyślała się Madeline. Pocałowały się lekko w policzki.

– Wejdz – rzekła Charlotte. – Przygotuję ci małe co nieco na lunch. Tak miło jest mieć z kim zjeść, nie być samą.

– Nie – sprzeciwiła się Madeline. – Przyszłam, żeby panią dokądsz zabrać. Jest taki ładny dzień. Widziała już pani?

Charlotte skinęła. – Rzeczywiście. Widać nawet przez okna.

– Pójdźmy na spacer do tego spokojnego, małego parku niedaleko stąd...

– Do Lakeside?

– ...posiedzimy chwilę na ławce i pogawędzimy. A potem kupię pani to, na co pani będzie miała ochotę w restauracji albo w herbaciarni. Przekona się pani, jak przyjemnie będzie spędzić w ten sposób trochę czasu razem.

– Rozpieszczasz mnie – stwierdziła smutno Charlotte.

Madeline sama do siebie lekko pokręciła głową, stojąc tam i czekając częściowo za, a częściowo przed drzwiami. Nic nie mogła poradzić na to, że czuła się trochę nielojalna, trochę podstępna. A przecież, mówiła sobie, w żaden sposób nie chciała przez to skrzywdzić Charlotte, nie chciała jej zaszkodzić. Wręcz przeciwnie, starała się jedynie spełnić pragnienia jej córki, starała się wcielić je w życie. Chybaby to pochwaliła, byłaby chyba zadowolona, gdyby wiedziała.

Charlotte powróciła jedynie z kapeluszem i torebką dodanymi do wcześniejszego stroju.

– Proszę sprawdzić, czy na pewno zamknięte – przypomniała jej opiekuńczo Madeline, gdy zamykała za sobą drzwi.

Szły razem skąpaną w słońcu ulicą, dziewczyna i starsza kobieta, jak matka z córką. Tak jak mogła iść kiedyś Starr, w czasach, które na zawsze minęły.

Madeline westchnęła lekko. Starr. Zawsze Starr. Dlaczego urodziłam się z tak nadwrażliwym sumieniem, myślała. Ci mniej wrażliwi mają w życiu łatwiej.

Weszły do parku i zwalniając jeszcze i tak już powolnego kroku, ruszyły jedną z długich, wijących się, brukowanych alejek. Zieleń była absolutnie niewiarygodna, jej odcienie wręcz nienaturalnie jaskrawe, podkreślone przez czystość powietrza i olśniewający blask słońca. Trawa była jak szmaragdy i nawet jak szmaragdy migotała (pewnie dlatego, że niedawno ją podlano, domyśliła się Madeline). Liście na drzewach były jak drobne okruszki i krążki cienkiego jak opłatek ciemnozielonego jadeitu, a pod każdym z drzew słała się plama szafirowego cienia. Wyglądało to jak sztucznie podkolorowana pocztówka z widokiem parku, a nie prawdziwy park, w tak przystrojony klejnotami dzieł jak ten.

– Miasta i miejskie parki nadal bywają piękne, nawet w dzisiejszych czasach – zauważyła Madeline.

– Wiele razy przychodziłam tu, żeby się pobawić, kiedy sama byłam dzieckiem. Mama mnie przyprowadzała.

Minęły niewielką sadzawkę, po której pływały kaczki. Woda błyszczła i osłepiała jak wypolerowane srebro. Nawet pióra niezgrabnych, małych ptaszków mieniły się jak polerowany brąz i zielone złoto.

Madeline dostrzegła swoją szansę w tej ostatniej uwadze.

– Starr pewnie także tu przychodziła, później.

– Tak, przyprowadzałam ją najczęściej, jak mogłam. Życie zatoczyło pełne koło. Dziwna rzecz, to życie.

A teraz ona nie żyje, więc sama nie przyprowadzi własnej córeczki, żeby się tutaj pobawiła, jej kolej nie nadejdzie.

Charlotte obróciła się w jej stronę dość niespodziewanie i rzekła: – Wiem, co pomyślałaś.

Madeline nie próbowała zaprzeczyć. Skinęła tylko głową i rzekła: – Tak, pomyślałam. – Zbliżyły się do ławki i Madeline spytała: – Może usiądziemy? Tutaj może być?

Usiadły obie.

Madeline wyjęła papierosy i poczęstowała swoją towarzyszkę.

– Od lat nie paliłam – powiedziała Charlotte. – Ale chyba zapalę teraz jednego dla odmiany, jeżeli ci to nie będzie przeszkadzać.

– Chciałabym jeszcze porozmawiać z panią o Starr – rzekła Madeline. – To znaczy, jeżeli to nie jest dla pani zbyt bolesne.

– Już nie – odparła Charlotte. – Nie, odkąd ty tutaj jesteś. Przedtem cierpiałam na samą myśl o niej. Teraz zdaje się, że mówienie o niej mi pomaga, niesie ukojenie.

Madeline nie traciła więcej czasu na wstępy. – Kiedy wróciła do miasta, kiedy wyjechała od pani ten ostatni raz, czy myśli pani, że zamierzała... wrócić do męża, czy chciała się z nim pogodzić? – dokończyła, wrzucając z powrotem do torebki małą, zdobioną emalią zapalniczkę.

Charlotte podniosła na nią wzrok, wyraźnie zaskoczona.

– Dlaczego waha się pani z odpowiedzią? Nie jest pani pewna, czy o to chodzi?

– Ależ jestem pewna – odparła Charlotte i spojrzała w drugą stronę.

– Jest pani pewna, że nie zamierzała do niego wrócić?

– Jestem pewna, że *nie* zamierzała do niego wrócić. Przynajmniej w takim sensie, jak myślisz.

– Ach tak, rozumiem – rzekła krótko Madeline z nadzieją, że rozmowa nabrała już dostatecznego pędu, by dalej potoczyć się bardziej gładko, bez dodatkowego drażenia i wiercenia dziury w brzuchu.

I potoczyła się, choć nieco opornie.

– Sama zadałam jej to pytanie, gdy zaczęła się pakować w wieczór przed odjazdem. To naturalne, że matka pyta o coś takiego zamężną córkę, która rozstała się z mężem, nie uważasz?

Madeline skinęła, starając się nie wcinać.

– Przerwała pakowanie i na mnie popatrzyła. Nigdy nie zapomnę tego spojrzenia, jak długo będę żyła. To było okropne. Nigdy wcześniej

nie widziałam takiego wyrazu na jej twarzy. Ani na twarzy nikogo innego. Był to wyraz posępnej, śmiertelnej nienawiści. Jej oczy zwęziły się w kącikach i wzrok był twardy jak skała. Jej usta zacisnęły się w cienką kreskę rozgoryczenia. Nawet nozdrza, widziałam, jak pulsują w rytm jej oddechu. Powtarzam, to był najgorszy wyraz twarzy, jaki kiedykolwiek widziałam. I wtedy powiedziała – nawet jej głos brzmiał inaczej: „Zamierzam go odwiedzić, owszem. Zamierzam go odwiedzić, gdyby nawet miała to być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię. Odwiedzę go, możesz na to liczyć”.

Nie rozumiałam, o czym mówi, tak jak widzę, że teraz nie rozumiesz ty. Poznałam po tym okropnym, niemalże obłąkanym spojrzeniu, o którym ci mówiłam, że nie mówi o zgodzie, nie mówi o przebaczeniu, nie mówi o miłości. Już sam sposób, w jaki to powiedziała... Nie powiedziała: „Wracam do niego”. Nie powiedziała: „Pogodzę się z nim”. Uczepiła się słów „odwiedzę go”, jak gdyby w nich tkwiła groźba albo aluzja do tego, co zamierzała zrobić.

Charlotte trzymała papierosa w sposób typowy dla kobiety nienawykłej do palenia, w dwóch zgiętych palcach, tuż przy ustniku. Rzuciła go na chodnik i przydeptała.

– Może ona zamierzała naskarżyć na niego policji, zaprowadzić do sądu? Może nawet wpakować do więzienia?

Charlotte pokręciła głową, bardzo spokojnie, bardzo powoli. – Coś więcej.

– Cóż więcej może zrobić żona...?

– Zamierzała go zabić.

Madeline wzdrygnęła się mimowolnie. – Jak może być pani tego taka pewna?

– Mam ten pistolet – odrzekła beznamiętnie Charlotte.

– Skąd pani o nim wiedziała?

– Nie wiedziałam. Natknęłam się na niego dość przypadkowo. Tamtego wieczoru Starr dokończyła pakowanie i więcej już o tym nie rozmawiałyśmy. Nie chciałam dłużej oglądać tej jej miny. Nie chciałam jej znowu wywołać. Nazajutrz wyszła na chwilę, żeby zrobić jakieś ostatnie zakupy przed wyjazdem. Zobaczyłam chusteczki, które pomogłam jej wyprać i wyprasować. Zapomniałam oddać je jej wieczorem, żeby spakowała do walizki, a ona najwyraźniej zapomniała, że wciąż są u mnie.

Poszłam z nimi do jej pokoju. Walizka była zamknięta, gotowa do wyjazdu, ale na toaletce leżał kluczyk. Nie było powodu, by go tam nie zostawiała. Nigdy nie byłam jedną z tych wścibskich matek, co to szperaają w rzeczach córek, nawet gdy była młodsza. Otworzyłam walizkę i zaczęłam równo rozkładać chusteczki na wierzchu. Kiedy to robiłam, wyczułam coś twardego i ciężkiego pod warstwą ubrań. Odsunęłam je i zobaczyłam pistolet.

Madeline spostrzegła, że odrobina tamtego strachu i niepokoju wróciła na jej twarz, nawet po tak długim czasie.

– Bałam się go tam zostawić. Wciąż miałam przed oczami ten wyraz jej twarzy z poprzedniego wieczora. Nie chciałam... nie chciałam, żeby wpakowała się w kłopoty. Całe jej życie stałoby się nic niewarte, ległoby w gruzach. Nieważne, co on jej zrobił. Wyjęłam pistolet, ułożyłam z powrotem rzeczy w walizce i zamknęłam ją. Odłożyłam kluczyk tam, gdzie go znalazłam.

Nie wiedziałam, co z tym fantem zrobić. Wiedziałam, że jeśli w porę zauważy jego brak, jeszcze przed odjazdem pociągu, przewróci wszystko do góry nogami, by go znaleźć. Nie chciałam, by trafił z powrotem w jej ręce. Wreszcie przyszło mi do głowy miejsce, na które ona prawdopodobnie by nie wpadła. Lodówka w kuchni była bardzo stara i odsunięta nieco od ściany. Wsunęłam go w tę wolną przestrzeń. Ta część, za którą się trzyma, rękojeść, była trochę grubsza od reszty, więc nie spadł na podłogę, lecz utknął i pozostał tam, gdzie go włożyłam, u góry.

– Zauważyła brak?

– Nie, nie otwierała już walizki. Ostatnie zakupy zabrała ze sobą w dodatkowej siatce. Zresztą w walizce i tak nie było już na nie miejsca. – Westchnęła ciężko. – Ucałowałyśmy się na pożegnanie i poszła na pociąg. I był to ostatni raz, kiedy widziałam ją na tym świecie. Nie dostałam też już żadnego listu. Następną wiadomością, jaką otrzymałam, była ta o jej śmierci. To się musiało stać zaraz po jej powrocie, jeden albo dwa dni później. – Po chwili dodała: – Nie pozwoliła mi nawet odprowadzić się na dworzec. To pamiętam. Powiedziała, że nie chce, bym patrzyła, jak odjeżdża. Już samo to świadczyło, jak bardzo była zdecydowana zrobić to... co ci mówiłam. Pożegnałyśmy się przy drzwiach mieszkania, na górze. A potem patrzyłam, jak światło za małą

szybką w drzwiach windy znika powoli w dole. Jak uchodzące życie.

Minęły je dwie małe dziewczynki, które podzieliły między siebie jedną parę wrotek i sunęły teraz, odpychając się wolnymi nogami i trzymając się za ręce. Jedna się przewróciła, omal nie pociągając za sobą drugiej. Twarz tej, która upadła, zaczęła się krzywić i przybierać grymas mogący być wstępem do głośnego, serdecznego płaczu, jednakże koleżanka, niczym mała mamusia, dzielnie pomogła jej wstać, przygładziła włosy i obciągnęła sukienkę. Płacz się nie rozległ. Dziewczynki pomknęły alejką dalej, szczęśliwe, jak gdyby nic się nie stało.

– Urocze – stwierdziła Charlotte zupełnie bez związku, patrząc za nimi.

Przynajmniej nie mają takich problemów jak my, pomyślała Madeline.

– Co zrobiła z nim pani potem? – spytała.

– Nic. Nie wiedziałam, co robić, bałam się powiedzieć komukolwiek, że go mam. Bałam się zgłosić na policję, bo zaraz by go z nią powiązali. Przede wszystkim, jak bym im wyjaśniła, skąd się u mnie wziął? Nie mogłabym powiedzieć, że go znalazłam, bo i tak mógłby ich do niej doprowadzić. Bałam się zwyczajnie schować do papierowej torebki i wrzucić do jakiegoś ulicznego kubła na śmieci. Ktoś inny mógłby go znaleźć, a potem ulec pokusie i użyć go do jakichś niecnych celów. Później, już po jej śmierci, któregoś dnia przyszedł mechanik do lodówki. Przestraszyłam się, że może coś zauważyć, więc wyjęłam pistolet, włożyłam do pudełka po butach i schowałam na dnie w głębi szafy. Leży tam cały czas, nie ruszany. Mogę ci go pokazać, gdy wrócimy... Za każdym razem, gdy idę po coś do szafy, widzę go i wcale mi się to nie podoba. Zawsze coś się wtedy ze mną dzieje. Przyśnił mi się nawet którejś nocy. Wyszedł z szafy sam.

– Uwolnię panią od niego – powiedziała Madeline, zatopiona w myślach.

Tego wieczoru usiadła przy małym biurczku w swoim pokoju hotelowym. Tak naprawdę można je było nazwać biurkiem tylko za sprawą dwóch płytkich szuflad zawierających hotelową papeterię,

blankiety telegramów i bloczek zamówień na pranie oraz wielkiej plachty bibuły zakrywającej cały blat. Postawiła na niej swoją torebkę i otworzyła. Wyjęła rewolwer, który Charlotte przekazała jej z niekłamana ulgą zaledwie chwilę temu, i przyglądała mu się z zainteresowaniem.

Nie wiedziała o rewolwerach nic poza tym, że mogą zabić (a któż mógł wiedzieć o tym lepiej niż ona?). Nie była w stanie określić kalibru tego tutaj, widziała tylko, że jest dosyć mały. Taki, jaki mogłaby kupić i nosić przy sobie dziewczyna czy kobieta. Ale mały czy nie, potrafił odebrać życie. Był niklowany, a przynajmniej tak jej się wydawało, że ta lśniąca, srebrzysta powłoka to nikiel, zaś kolbę miał wykonaną z kości, być może kości słoniowej.

Położyła go na skraju bibuły i zostawiła tak na chwilę. Rozpięła suwak jednej z przegródek w torebce i wyjęła mały, niedrogi notes, taki jaki można kupić w pierwszym lepszym sklepie papierniczym. Jego kartki, prostokątne, pokrywały cienkie, niebieskie linie, dodatkowo świadcząc o niskiej cenie. Na okładce nadrukowano, z niezamierzoną ironią, tylko dwa słowa: „Dla pamięci”.

W środku jednak nic jeszcze nie zostało zapisane, poza jedną krótką notką:

1. Policzyć się z kobietą.

Wyjęła z torebki metalowy długopis i pstryknęła, by wysunąć końcówkę. Trzymała go potem w zawieszeniu nad kartką, ale nie pisała (jak gdyby raz coś napisane stawało się nieodwołalne, a ona musiała to bezwzględnie wykonać). Przyszedł jej do głowy fragment poematu *Rubaiyat*: „Mknący palec wyraz po sobie zostawia i ku następnemu mknie /I ani rozum twój, ani wiara/ Pół wersu choćby nie wymaże /Ani łez twoich ocean nie zmyje choćby słowa”.

Popatrzyła na rewolwer, popatrzyła na długopis, popatrzyła na kartkę pomiędzy nimi, wciąż czystą, gdyby nie to jedno zdanie. Było to trochę jak podpis składany na wyroku śmierci.

Siedziała tak długo, całkiem nieruchoma. Siedziała tak cicho, że tykanie jej małego podróznego budzika na komodzie rozbrzmiewało boleśnie w ciszy jej serca i duszy, w ciszy rozmyślania.

Kiedy napisze, będzie musiała to wykonać, przeprowadzić do samego końca, bo taka już była i nic nie mogło jej zmienić.

Nagle długopis opadł na papier i wyłoniło się spod niego „2”.

1. Policzyć się z kobietą.

2.

Znowu znieruchomiła. Splotła dłonie, nadal wiążąc pomiędzy palcami długopis, podniosła je do ust i trzymała tak, przyciśnięte do warg, jak gdyby coś do nich szeptała.

Lekiem, który ma mnie podźwignąć z choroby, jest sama ta choroba, powtórzona – myślała. Ale czy mam prawo to zrobić? To *ona* go nienawidziła, nie ja. Jakże bym mogła, nawet go przecież nie znam. Nigdy go nawet nie widziałam.

Obiecałam jej. Poprzysięgłam jej to. Nie wolno zdradzać umarłych, inaczej powstaną z grobów, żeby cię oskarżyć.

Nagle długopis dźgnął papier, zaskrzypiał, wydając na świat dwa krótkie słowa, uwolnił się i wypadł z palców dwa albo trzy razy w tym czasie.

1. Policzyć się z kobietą.

2. Zabić mężczyznę.

Pierwszy raz Madeline zobaczyła ją pewnego wieczoru w lokalu zwanym Intime. Śpiewała tam. Wspierał ją mały trzyosobowy zespół, fortepian, perkusja i kontrabas. Śpiewała tam i była dobra.

*Ooooo,
Pustka panuje w życiu mym,
Odkąd odszedłeś,
Nie ma w nim nocy, nie ma dni...*

Wąska kładka czy coś w rodzaju balkonu bieгло wzdłuż jednej ze ścian tuż ponad głowami, a ona stała tam z rękoma na poręczu, patrząc z góry na słuchaczy. Reflektor po przeciwnej stronie sali wydobywał z ciemności jej twarz idealnie jak białą maskę, nie puszczając ani odrobinki światła poza nią, ukrywając szyję, ramiona i suknię w zadymionym, brym mroku.

Śpiewała o miłości, miłości utraconej. Panowała ta idealna aksamitna cisza, która oznacza absolutną władzę nad słuchaczami.

Pary tulące się do siebie, trzymające się za ręce, z głowami złożonymi na barkach drugich połówek, wierzyły w to wszystko, spijały słowa z jej ust, przeżywały. Nikt w lokalu nie miał wiele ponad trzydzieści lat. To było miejsce dla młodych. Właściciel wpadł tutaj na dobry pomysł, a Madeline od razu zrozumiała, na czym on polegał.

Ludzie z mnóstwem pieniędzy, które mogą wydać na nocne życie, chodzą do tych wielkich, luksusowych klubów z parkietem do tańca, zespołem rewiowym i dwudziestoosobową orkiestrą. Ludzie bez pieniędzy, które mogliby wydać na nocne życie, chodzą do baru za rogiem i oglądają telewizję w otoczeniu znajomych z sąsiedztwa. Jest jednak

coś pomiędzy, grupa ludzi, którzy nie pasują do żadnej z tych kategorii. Pary narzeczonych i młode małżeństwa spowite jeszcze w różane opary miłości, jeszcze w nią wierzące, jeszcze pragnące o niej słuchać. Ten lokal był przeznaczony dla nich i dla tych paru dolarów, które tu mogli wydać; Madeline widziała ich wszędzie dokoła siebie, z gwiazdami w oczach, z policzkiem przy policzku, śniących na jawie swoje sny. Wrócić tu jeszcze i przyprowadzą przyjaciół, takich samych jak oni: młodych i zakochanych. Pan Właściciel miał zapewnioną klientelę. Młodych państwa Jutro. Tak, to był kapitalny chwyt.

Przez całą piosenkę i dwie czy trzy następne myślała: Ale sama moja obecność tutaj nie wystarczy. Jak mam ją poznać? Naprawdę poznać? Posłać jej liścik od fanki, pisząc, że ją podziwiam, że chciałabym się z nią spotkać? Zyskam tylko uśmiech, uścisk dłoni, kilka gładkich zdań, a potem będę musiała wracać, skąd przyszłam. Kiedy mężczyzna chciał się spotkać z artystką, wystawał do znudzenia przed wyjściem z klubu, stawał się zakulisowym Johnnym. Tak właśnie zrobię, zdecydowała. Zrobię to samo, choć z nieco innym zamiarem. Stanę się zakulisową Jenny.

Zaczekała tylko, aż wybrzmia oklaski. Nie były burzliwe, nie były ogłuszające, to nie tego rodzaju miejsce. Były ciepłe i przyjazne jak delikatny letni deszcz stukający o blaszaną wiatę.

Z zewnątrz lokal wyglądał tak niepozornie, że z łatwością można go było przeoczyć. Nie było daszka nad wejściem ani odźwiernego, nie było ruchu przyjeżdżających i odjeżdżających taksówek. Nad drzwiami wisiał tylko bardzo skromny neon pochyłymi literami oznajmiający, że jest to „Intime”, a z boku na niby-sztalugach stała tablica podpisana jedynie „Adelaide Nelson, śpiewająca artystka”, z jej zdjęciem i nazwą zespołu „Partner Trio”.

Po trzech minutach stania niepewnie przed wejściem wzięła taksówkę, zajęła ją tak naprawdę. Auto podjechało, ludzie wysiedli, a ona wsiadła i usadowiła się, nim jeszcze siedzenie zdążyło dobrze ostygnąć.

Kierowca obejrzał się w końcu z pytaniem w oczach po tym, jak odczekał chwilę, aż sama poda adres.

– Czekam na kogoś, aż wyjdzie – powiedziała mu – więc proszę jeszcze chwilę postać. Widzi pan to wolne miejsce za tamtym samochodem

przed nami? Może uda się tam panu zaparkować, zrobimy wtedy miejsce przed wejściem.

Zrobił to ze zręcznością i prędkością, którą mógł pochwalić się tylko zawodowy taksówkarz. Dzięki temu znikła z bezpośredniego widoku Adelaide Nelson, gdy ta będzie wychodziła. Sprawdziła własną widoczność na paru osobach, które wyłoniły się z klubu, i stwierdziła, że widzi je z tej odległości idealnie, wyglądając przez tylną szybę z lekko skrzywioną głową.

Szofer palił papierosa i zliczał dotychczasowy utarg.

A ona tylko siedziała, patrzyła i czekała.

– Proszę zgasić światło – rzuciła nagle.

Adelaide Nelson miała futrzaną etolę przerzuconą niedbale przez jedno ramię i była bez kapelusza. Madeline dokładnie się jej przyjrzała. Artystka musiała poczekać, tak samo jak przed chwilą czekała Madeline. W pewnej chwili ruszyła nawet w stronę taksówki, w której siedziała Madeline, choć kierowca wyłączył znak świetlny na dachu. Madeline skuliła się w kącie. Zanim jednak kobieta doszła do auta, nadjechała inna taksówka, a ona pomachała i wsiadła właśnie do niej.

Madeline rzekła: – Widział pan taksówkę, do której właśnie wsiadła ta kobieta za nami? Proszę za nią jechać.

– I tak bywa – rzucił od niechcenia kierowca.

– Nie musi pan siedzieć im na zderzaku, ale proszę się postarać nie zgubić ich.

Był jednym z tych zgranych z drogą kierowców. Nauczył się jeździć z taką prędkością, zwalniać i przyspieszać w takich momentach, że przejeżdżał na każdym świetle, zanim zdążyły się zmienić, i ani razu nie musiał się zatrzymać. Śledzonej taksówce drogę zajął wyjeżdżający z boku autobus, tak że uciekło jej zielone światło, więc szofer Madeline też musiał zwolnić i pozostać w tyle. Wtedy rytm został zakłócony i już żadne z aut nie zdołało pokonać żadnych świateł bez zatrzymywania. Zawsze jednak stawały na tym samym skrzyżowaniu.

Pierwsza taksówka wreszcie się zatrzymała, Adelaide Nelson wysiadła, uiściła opłatę i weszła do budynku, do którego prowadził chodnik kryty długim zielonym zadaszeniem.

– Co to za numer? – spytała Madeline, patrząc uważnie.

– Dwieście dwadzieścia...

Zdążyła już w międzyczasie sama go wypatrzeć.

– Dobrze, może pan jechać dalej. – Podała mu własny adres.

– To wszystko? – spytał obojętnie.

– To wszystko.

Wiedziała, że więcej dopiero nadejdzie. O tak.

– Odbiła pani chłopaka, o to chodzi?

– Nie mam chłopaka, żeby mi go mogła odbić. A gdybym miała i tak łatwo dałby się odbić, to mogłaby go sobie zatrzymać.

Aktówka z papier-mâché kupiona u Woolwortha. Papier nutowy kupiony w sklepie muzycznym. Nuty na papierze były jej. Mizerota, ale jej własna, myślała, nanosząc je na pięciolinie; to była poważna sprawa.

Grała na pianinie, dosyć słabo, jak dwunastolatka pobierająca lekcje raz w tygodniu. I potrafiła nucić. Kto nie potrafi? I wiedziała, że w tekście ostatnie słowo co drugiej linijki musi rymować się z ostatnim słowem dwóch linijek wcześniej, zaś te pośrodku rymować się nie muszą. Tak przynajmniej lecą niektóre piosenki. Jej celem zaś nie było sprzedać cokolwiek, a jedynie zyskać na wiarygodności. Zapoznać się z kobietą.

Drzwi otworzyły się, a one pierwszy raz znalazły się tak blisko siebie.

Z tak małej odległości makijaż Adelaide wyglądał groteskowo. Nie był to jednak makijaż osoby prywatnej, lecz makijaż artystki estradowej, uświadomiła sobie Madeline, i w tym kontekście uchodził. Sztuczne rzęsy, nałożone na jej własne bez żadnego poszanowania dla natury, otaczały jej oczy jak promienie narysowanego węglem słońca. Zapach, w którym alkohol walczył o prymat z wonią kwiatów, dał się wyczuć w promieniu kilku metrów dokoła. Włosy miała kręcone, i to tak, że poszczególne pasma zwinięte były prawie jak rudawego koloru linki. Ich czesanie musiało przypominać próbę uczesania jeżynowych zarośli. Miała przy tym wręcz nienaturalnie błękitne oczy, które pewnie niemal zieleniały, gdy zapalała nienawiścią. A pałała nią zapewne nader często. Założyła na siebie sięgającą do bioder pikowaną podomkę

i parę krótkich szortów, jedno i drugie białe. Stopy miała bose, a paznokcie na nich, jak zauważyła Madeline, pomalowane na złoto.

Był w niej jakiś bunt, kiedy tak stała; nie wobec Madeline, lecz wobec świata w ogóle. Nie dotykaj mnie, bo rzucę się na ciebie z pazurami – taka postawa.

– To ty? – rzekła. – Spodziewałam się mężczyzny, tak wynikało z listu.

– Pomyślałam, że dzięki temu zwiększę swoje szanse – przyznała się Madeline.

– No i zwiększyłaś – odparła jej szczerze. – Wejdz, jak już jesteś – dodała szorstko. – Zobaczymy, co tam masz.

Opadła na fotel, ale bokiem, jedną nogę przewiesiła przez oparcie i tak ją tam pozostawiła, wygiętą pod kątem względem ciała. Zaczęła przerzucać kartki papieru nutowego. Wyczyniała przy tym niewiarygodne rzeczy z ustami pełnymi dymu; wysuwała dolną wargę i wydmuchiwała go w górę tak pionowo, że dosłownie poruszał jej włosy zwisające nad czołem z tej strony.

– Niezły tytuł – stwierdziła i wymówiła go na głos. – „Serce miej (weź moje)”.

Wstała i podeszła do pianina. Pochylając się nad nim na stojąco, jednym palcem zaczęła wystukiwać na klawiaturze dźwięki. Pokręciła głową w oszołomieniu, jakby chciała uwolnić się w ten sposób od dysharmonii, po czym zaczęła od nowa. Znow pokręciła głową i przerwała.

– Co to ma być? – warknęła. – Przecież to się w ogóle nie klei. – Nagle coś jej zaświtało. – Może położyłam do góry nogami – zauważyła i przekreśliła kartki z nutami. Zaraz postawiła je po staremu. – Nie, klucze są zapisane w ten sposób. – Posłała Madeline przeciągłe, sceptyczne spojrzenie. – Uczyłaś się w ogóle kompozycji? – spytała.

– Niezupełnie – odparła Madeline. – Ale wszyscy przyjaciele mówią, że przychodzi mi to naturalnie.

– Serio? – burknęła Adelaide. – No to posłuchaj mojej rady i daj sobie z tym spokój. Nie wiem, co tam tworzysz, ale na pewno nie jest to muzyka. Na moje to alfabet Morse'a. Po chińsku.

– Co pani ma na myśli?

– Mam na myśli to, że nie masz zielonego pojęcia o muzyce – warczała Adelaide. – Wydaje ci się, że wystarczy rzucić kilka nut na pięciolinię i powstanie piosenka. To tak samo, jakbyś rzuciła na płótno kilka plam farby i oczekiwała, że powstanie z tego „Mona Lisa”.

– Ciężko pracowałam nad tą piosenką – oburzyła się Madeline.

– Taaa? Jak na moje, to nie wiesz nawet, co to jest ciężka praca. Znałam kiedyś faceta, który uczył fizyki. Powiedział mi, że istnieje wzór na pracę. Odrzekłam: „No jasne: dwa razy wysiłek plus pot”. On jednak podał mi ten wzór, a ja zapamiętałam. Wiesz, jak on brzmi?

Madeline czekała.

– Siła razy przesunięcie. Innymi słowy, rzecz nie tylko w tym, jak mocno coś pchasz, ale też w tym, jak daleko to przesuniesz. Jeśli popychasz coś z całych sił na mur, a to nie drgnie nawet o milimetr, to nie wykonałaś żadnej pracy. A to – pomachała papierem nutowym – to niczego nie porusza. Na pewno nie poruszyło mnie.

– Nie rozumiem – rzekła Madeline. – Kiedy mówi pani o tych murach...

– Walisz głową w jeden z nich – przerwała jej szorstko Adelaide – jeśli chcesz coś przez to uzyskać. Marnujesz mój czas.

To twoja piosenka, myślała Madeline. Wiążesz z nią całe swoje życie, a ta kobieta powiedziała ci właśnie, że jest do niczego. To twoja szansa. Jeśli nie możesz zdobyć jej swoim dziełem, zdobądź ją tym, co wobec niego czujesz.

Przybrała na twarz maskę bezgranicznego zawodu. – Bardzo mi przykro – powiedziała sztywno, sięgając po kartki z nutami i zabierając je od Adelaide. – Z pewnością nie miałam zamiaru marnować pani czasu.

Podeszła do drzwi, przekręciła gałkę, otworzyła. Odwróciła się z takim spojrzeniem, jakby się miała rozpląkać.

– Tak czy owak, dziękuję – zdołała powiedzieć głosem łamiącym się przy ostatnim słowie i już była za drzwiami, i je za sobą zamykała.

Minęła chwila, może dwie. Usłyszała, że gałka zaczyna się obracać, jakby drzwi miały zaraz znowu się otworzyć. Szybko przyłożyła przedramię do ściany i schowała twarz, przybierając postawę tłumionej, rozdzierającej, młodzieńczej rozpacz. Postarała się nawet, by barki

zadrzały jej lekko, jak gdyby szlochała bezgłośnie.

Drzwi otworzyły się, a ona wiedziała, że Adelaide stoi i ją obserwuje.

– Mała. – Szorstki głos Adelaide złagodniał nieco. Przynajmniej na tyle, na ile mógł złagodnieć. – Przepraszam, mała, że tak ostro cię potraktowałam. Zapomnij o tym i wejdz. Nie kupię twoich piosenek, ale postawię ci drinka. Mamy takie samotne, nudne wtorkowe popołudnie.

Madeline powoli przygotowała się, by odsłonić twarz i ją odwrócić, dając sobie czas na przywdzianie nieśmiałego, drżącego uśmiechu. W głębi duszy jednak nie posiadała się z radości. Była w Grze.

Kobiety często nawiązują przyjaźń znacznie łatwiej i znacznie szybciej niż mężczyźni. Przede wszystkim ich ego są mniej delikatne, mniej skłonne do tego, by się obrażać i bocyć z powodu opacznie zrozumianego słowa bądź czynu. Kiedy już pakt zostanie zawarty i przyjęty przez obie strony, są mniej skłonne unosić się przed sobą godnością, traktują się nawzajem ze znacznie mniejszą rezerwą. To dlatego, że istnieje mniej czynników, które by je do czegoś zmuszały. Rzadko albo i nigdy nie zazdroszczą sobie pieniędzy i z tego samego powodu są z kolei bardziej finansowo ufne jedna względem drugiej. Nie ciąży nad nimi śmiertelna klątwa świata interesów.

To litość uczyniła dla Adelaide możliwą przyjaźń z Madeline, litość w połączeniu z wyrzutami sumienia, które odczuwała po swoim wybuchu. Ale litość i wyrzuty sumienia są w stanie podtrzymać jakikolwiek związek tylko przez określony czas, zanim obiekt litości zamieni się w obiekt pogardy wywołanej przez obciążenie litującej się strony nieprzyjemnymi odczuciami. W tym przypadku obie kobiety przeszły szybko przez fazę litości i wyrzutów sumienia do fazy budowania głębszych relacji.

Madeline zdała sobie sprawę, poznając Adelaide bliżej, że wypełniła tkwiącą w tej drugiej kobiecie potrzebę przyjaźni. Stała się dla niej kimś, z kim można porozmawiać, komu można się zwierzyć. Jednocześnie była kimś, kogo można poprowadzić i poinstruować, kimś, wobec kogo Adelaide mogła czuć się lepsza.

– Mów mi Dell – zwróciła się do Madeline już na początku. – Co to właściwie jest: Adelaide? Miasto w Australii. Założę się, że nigdy nie byłaś w Australii.

– Masz rację.

– Ja też nie, ale byłam w tylu innych miejscach, że wiem, iż nie muszę tam jechać. Wiesz dlaczego? Bo wszędzie jest tak samo. A nawet jak jest inaczej, to ja pozostaję tą samą osobą, gdzie bym nie pojechała. I życie, jakie by tam na mnie czekało, byłoby tym samym życiem, jakie wiodę, gdziekolwiek się zjawię. Ci sami byliby mężczyźni, nawet gdyby mówili z innymi akcentami. Chcieliby od dziewczyny tego samego i w zamian mieliby do zaoferowania to samo co tutaj. Śpiewałabym te same piosenki i słyszała te same idiotyzmy od wszystkich ludzi, jakich bym spotkała.

– Gorycz przez ciebie przemawia – stwierdziła Madeline.

– Tak? To dobrze. Lepiej być zgorzkniałą niż słodką. Gdy jesteś słodka, na świecie pełno jest ludzi, którzy patrzą tylko, żeby cię zjeść. Kiedy masz w sobie dość goryczy, biorą jeden kęs i odchodzą.

– I tego właśnie chcesz?

– Dzięki temu pozostaję przy życiu – odparła Dell.

Choć przyjaźń złągodziła stosunek Dell do Madeline, to jednak nie wpłynęła na zmianę jej zdania o napisanej przez Madeline muzyce.

– To nie są piosenki – orzekła bez ceregieli. – Z tego, co widzę, nie masz pojęcia o tworzeniu linii melodycznej, nie mówiąc już o budowaniu akordów. Gdybyś miała lepsze wyczucie melodii, mogłabyś komuś innemu zlecić opracowanie akordów i aranżacji, ale niczego takiego tutaj nie widzę. Dlaczego właściwie tak się uwzięłaś na pisanie piosenek?

– Bo czuję, że muszę to robić.

– No tak – rzekła Dell. – Cóż, mogę zrozumieć, co to za uczucie. Kiedy coś tak ci się wbija do głowy, trudno znaleźć sposób, by powiedzieć „nie”. Jeśli masz szczęście, dostajesz chęci i talent w pakiecie. Ale niektórzy nieszczęśnicy otrzymują jedno bez drugiego. Pewnie, że kiedy dostajesz talent bez chęci, nie jest jeszcze tak źle. Znałam taką dziewczynę, głos miała anielski, jak Boga Kocham.

Niewiarygodny. I nie chodzi o sam głos. Jej fraza, wycucie rytmu, wszystko było jak należy. Wszystko poza jednym.

– To znaczy?

– Nie miała chęci. Nie zależało jej na tym. Z miejsca mogłaby zacząć śpiewać solo i zrobić karierę. Płyty, telewizja, może nawet film. Taki miała talent. Ale bez zamiłowania nie była w stanie znieść bajzlu, który stanowi część tego biznesu, i wiesz, co się z nią stało?

– Co?

– Poznała naprawdę miłego faceta i wyszła za niego za mąż. Śpiewa teraz tylko mężowi i dzieciom i pędzi w domu na przedmieściu spokojny i szczęśliwy żywot. Nie brzmi tak najgorzej, co?

– Chyba nie.

– Tak się właśnie dzieje, kiedy masz talent, ale nie masz chęci. Kiedy jest na odwrót, czeka cię życie pełne rozczarowań. Ale co tam, do diaska, to samo może cię czekać, kiedy masz i chęci, i talent, bo w tym interesie nawet zwycięzcy w większości razów przegrywają. Tylko że wtedy, gdy po drodze odnosisz chociaż kilka sukcesów, masz przynajmniej coś, czym możesz karmić swe nadzieje.

– A ja nie mam talentu w ogóle?

– Do muzyki – nie. Ale powiem ci coś, chociaż bardzo nie chciałabym cię zachęcać...

– Co takiego?

– Niektóre z twoich tekstów nie są takie złe. Żaden tak naprawdę nie brzmi, bo tekst piosenki nie może istnieć w próżni. Tekst to nie wiersz, to werbalna część piosenki i musi pasować do melodii. Naprawdę dobry tekst sam w sobie kryje melodię, która czeka tylko, aż kompozytor odnajdzie ją i wydobędzie. Nie stworzyłaś tekstów w tym sensie, ale masz kilka fragmentów, w których widać pewną smykałkę.

– Na przykład?

Dell przerzuciła kilka kartek Madeline. – O, to mi się podoba – rzekła. – „Ty i ja, razem, tylko we dwoje, w państewku, co dla nas samych otwiera swe podwoje, obywateli ma równo dwóch”. Ale to jeszcze nie znaczy, że to jest tekst.

– Może mogłabym nad nim popracować.

– Może byś mogła, ale nie wiem, po co miałabyś zawracać sobie głowę. Jak się tak nad tym zastanowić, to wszystkie piosenki są o tym samym. Wszystkie mówią ci, że miłość jest cudowna w taki czy inny sposób. Niektóre mówią, że rani, inne, że to sielanka, ale sedno wszystkich jest takie, że to dzięki niej ten świat w ogóle się kręci. Myślisz, że świat powinien usłyszeć tę wiadomość raz jeszcze?

Zabawne, pomyślała, jak szybko Dell starała się ukryć swoją wrażliwą stronę. Nie potrafiła powiedzieć jednego miłego słowa o fragmencie tekstu, nie zacierając go gorzkim, sarkastycznym komentarzem wraz z następnym wdechem. Madeline zdała sobie sprawę, że były dwie Dell. Obyta, cyniczna, arogancka występowała przeważnie na scenie, lecz za kulisami czekała ta druga.

Druga Dell była cichsza, nie tak silna. Odzywała się rzadko, mówiła tak mało, że pragnęło się spiąć każde słowo z jej ust. Była martwa, została uśmiercona i nigdy nie miała powrócić do życia, dlatego chcieli się o niej dowiedzieć jak najwięcej.

– Był taki Johnny Black. Napisał największy przebój swoich czasów, „Dardanella”. Ukradli mu go. A przynajmniej się do niego dobrali, wściubili swoje trzy grosze. Żeby sprzedać piosenkę, musiał pozwolić im trochę pomajstrować, zmienić nutę czy dwie. Wszystko po to, żeby mogli dostać swoją dolę. Znasz to przeciągłe, żalosne zawodzenie, które rozbrzmiewa w zwrotce, a potem milknie? A potem znowu rozbrzmiewa i milknie? Ilekroć to słyszę, myślę, że to Johnny Black zawodzi w grobie, bo wydarli mu serce. Był też Byron Gay. Umarł w nędzy. Dwadzieścia lat po śmierci ktoś wykopał jeden jego stary numer. Miał tytuł „Och!”. Tylko „Och!”. Chyba najkrótszy tytuł piosenki na świecie. Zarobiła dwadzieścia pięć tysięcy dolarów przez jeden sezon. Chyba żaden inny nieboszczyk nigdy tyle nie zarobił. To twarda branża. Cholernie twarda branża. Nie pakuj się w nią. Wyjdź za mąż i urodź autobus dzieci. Wydajesz mi się bardziej do tego stworzona.

A po chwili, w następnej minucie, przecząc sama sobie, dodała:

– Chociaż zdarzają się chwile nagłego natchnienia, które chyba czynią to wszystko wartym zachodu. Jak w przypadku tego młodego, początkującego autora piosenek, którego złapała kiedyś na ulicach Nowego Jorku ulewa. Dał nura do holu najbliższego hotelu, żeby nie przemoknąć, i kiedy siedział tam, czekając, podsłuchiwał, jak jakaś żona

mówi do swojego męża: „Przestało już padać? Możemy iść?” A mąż odwrócił się od okna, przez które wyglądał, i odrzekł: „Jeszcze kilka minut. Zaczekaj na słońce, Nellie”.* Albo jak wtedy, gdy Rodgers i Hart uczestniczyli w kolizji drogowej w Paryżu, a jedna z towarzyszących im dziewcząt podniosła rękę do piersi i sapnęła: „Stanęło mi serce!”**.

W każdej z nas, rozmyślała Madeline, są nas dwie. Ta, którą mogłybyśmy się stać, i ta, którą jesteśmy.

* „Zaczekaj na słońce, Nellie” (*Wait Till the Sun Shines, Nellie*) – tytuł popularnej piosenki napisanej przez Harryego Von Tilzera i Andrew B. Sterlinga i nagranej po raz pierwszy w 1905 roku, zaś w roku 1952 wykorzystanej w filmie pod tym samym tytułem.

** „Stanęło mi serce” (*My Heart Stood Still*) – tytuł popularnej piosenki napisanej w 1927 przez duet Richard Rogers i Lorenz Hart.

Dell miała w sobie pewien spryt, jak to często bywa w przypadku kobiet, które na pierwszy rzut oka wydają się żyć lekko, łatwo i przyjemnie. Było to coś więcej niż zwykły spryt, miała kapitalną głowę do interesów. Przyjąwszy założenie, że można żyć, dostając coś w zamian za nic (a czyż jest to w interesach czymś tak niezwykłym?), wcielała je w życie z przedsiębiorczością, która spotkałaby się z aprobatą zarządu każdej firmy.

Chwaląc się raz pierścieniem z diamentem, chuchając na niego z czułością i polerując rękawem, rzuciła od niechcienia: – Będzie mój jeszcze jakieś dwa tygodnie.

– Co masz na myśli? Oddasz go? – zdumiała się Madeline.

Dell uniosła brwi z naganą w oczach. – Bądź rozsądna – napomniwała ją. – Tylko chorzy na głowę to robią. Jak w tej starej piosence śpiewanej przez Carol Channing – ciągnęła. – „Diamenty to najlepsi przyjaciele dziewczyny” – to dopiero bzdura! Nic z tych rzeczy. Możesz gromadzić je przez dwadzieścia lat i co będziesz miała? Nadal diamenty. Są piękne, ale dla ciebie nie pracują. A coś, co dla ciebie nie pracuje, nie może być tak naprawdę piękne, mam rację? Ujmę to tak: za AT&T dostajesz trzy przecinek sześć procenta rocznie. Za diamenty dostajesz zero przecinek zero procenta rocznie. Diamentami się nie

najesz, kotku. Dlatego powiem ci, co robię. Mam pewnego szczególniego przyjaciela... – Przerwała, żeby się zaśmiać. – Cóż, musi to być szczególnie przyjaciel, nieprawdaż? Od czasu do czasu przychodzi i przynosi mi takie cacko. Przy specjalnych okazjach. Na Gwiazdkę, na urodziny. Noszę to przez jakieś dwa miesiące, a kiedy on przyzwyczai się już do jego widoku na mojej dłoni i przestanie zwracać uwagę, zdejmuję je z palca. Zanoszę do handlarza diamentów, wiesz, a on wystawia pierścionek na sprzedaż, pobiera prowizję, po czym ja zabieram to, co zostanie. Jestem stratna za każdym razem, ale to nic. Na przykład, za diament wart dwa tysiące cieszę się, gdy dostanę tysiąc dwieście. Nigdy nie odzyska się całej wartości. Zabieram wtedy te swoje tysiąc dwieście i zanoszę do innego szczególniego przyjaciela, który z kolei jest maklerem giełdowym, i on kupuje dla mnie trochę akcji U.S. Steel albo General Motors, albo innego pewniaka. Chowam je i zapominam o wszystkim, a one zaczynają dla mnie pracować. Tak że jeśli pewnego dnia obudzę się z chrypką, która nie pozwoli mi więcej śpiewać, a mężczyźni przestaną przynosić mi diamenty, będę miała dość pieniędzy, by dalej spokojnie żyć.

– Dobrze to sobie wykombinowałaś – stwierdziła z podziwem Madeline.

– Takie jest życie. Znasz tę piosenkę śpiewaną przez Billie Holiday? „Błogosław, Boże, dziecię, które coś swojego ma”. Boże, aż mam dreszcze, tak ona to śpiewała... Nie tylko śpiewała, wiesz? Sama tę piosenkę napisała. Nie pisała tak naprawdę tekstów, nikt, kto tak śpiewa, nie powinien robić nic, tylko śpiewać, lecz ona ją napisała. A zanim ją napisała, zrobiła coś jeszcze.

– Co takiego?

– Sama ją przeżyła. „Błogosław, Boże, dziecię, które coś swojego ma”. Nie możesz czekać, aż ktoś ci coś da, nie możesz żyć, żywiąc się okruchami z kanapek innych ludzi. „Błogosław, Boże, dziecię, które coś swojego ma”. Jeśli sama o siebie nie zadbasz, na zawsze pozostaniesz dzieckiem sprzed sklepu ze słodyczami z nosem przyklejonym do szyby, zagląającym do środka, nie potrafiącym zrozumieć, dlaczego wszyscy inni dostają słodycze, a ty masz tylko zmarznięty nos i wielki apetyt.

Zapytała później Dell, jak czułby się ten jej przyjaciel, gdyby wiedział, że sprzedaje jego podarunki.

– Wydaje mi się – odparła Dell – że on *nie chce* wiedzieć. Bo gdyby wiedział, uznalby, że powinien poczuć się urażony, ale właściwie dlaczego? Daje mi diamenty, bo nie może dać mi pieniędzy, gdyż to nadałoby naszym relacjom nazwę, która nie spodobałaby się żadnemu z nas. A czym jest diament, jeśli nie pieniądzem w pięknym przebraniu? Mógłby mnie obdarowywać sztuczną biżuterią, która wyglądałaby tak samo, gdybym ją założyła. Diamenty to dla niego możliwa do zaakceptowania forma zapłaty, a jeśli ja inwestuję tę zapłatę, zamiast się w nią stroić, to świadczy to tylko o moim rozsądku. Ale nie spodobałoby mu się to, gdyby wiedział, bo oznaczałoby to konieczność patrzenia na coś, czego nie chce widzieć.

– Więc błogosław, Boże, dziecię – rzekła Madeline.

– Amen. Wiesz, jak napisać piosenkę? Zaczynij od uczucia... własnego uczucia, nie takiego, które zapożyczysz z innej piosenki. Od czegoś, co przeżyjesz tak głęboko, jak Billie Holiday przeżyła tę piosenkę. I wtedy napisz tekst, który będzie tak dobry, że melodia sama będzie w nim czekać, aż ktoś ją wydobędzie.

– Miałabym większe szanse – powiedziała Madeline – gdybym miała pianino. To dlatego moje melodie są do niczego. Staram się usłyszeć dźwięki we własnej głowie. Gdybym miała pianino, mogłabym je wygrać, a potem zapisać melodie, które usłyszę, a nie takie, których się tylko domyślałam.

– No to uzbieraj pieniądze i kup sobie pianino.

– Nie mam tyle pieniędzy. A gdybym nawet miała, to nie mam miejsca na pianino. Myślałam...

– Tak?

– Bardzo często ciebie tutaj nie ma – rzekła. – Gdybym mogła przychodzić, kiedy ty wyjdiesz, nie zawsze, tylko kiedy mam coś, nad czym chciałabym popracować przy pianinie, sama. Gdybym miała taką możliwość, myślę, że zdołałabym stworzyć zapis, który nie wyglądałby jak chiński alfabet Morse'a.

– Tak określiłam twoją piosenkę? Tak, chyba tak.

– A gdyby wyszło mi coś przyzwoitego, wiedziałabyś o tym pierwsza. Ponieważ pomagałabyś mi przy tym, zostałabyś współautorką, w razie gdyby piosenka okazała się wielkim hitem i gdyby wykonywali ją inni artyści.

Dell pokręciła głową. – Myślałam, że to ja jestem dobra w budowaniu zamków na piasku – rzekła. – Ale ty nie tylko je budujesz, ty bierzesz je w obroty i zaczynasz wynajmować pokoje. Nie napisałaś jeszcze nawet piosenki, a już umieściłaś ją na szczycie listy przebojów i dzielisz się ze mną tantiemami. Czego właściwie oczekujesz? Mam nadzieję, że nie zamierzasz się wprowadzić, bo niepotrzebna mi współlokatorka.

– Proszę cię tylko o klucz do mieszkania – odparła Madeline. – Dzwoniłabym zawsze najpierw, żeby się upewnić, że nie ma cię w domu.

– Mam nadzieję. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to żeby ktoś mi tu wchodził w nieodpowiednim momencie.

– Byłabym bardzo ostrożna – obiecywała Madeline.

– No dobrze, umowa stoi – powiedziała Dell. – Możesz wziąć mój zapasowy klucz. Pod jednym warunkiem. Jak coś zginie, to osobiście będziesz za to odpowiadać i będziesz musiała jakoś mi to zwrócić.

– Zgadzam się – odrzekła Madeline.

– A zatem proszę, oto klucz. – Dell podeszła do toaletki, otworzyła szufladę, wyjęła klucz i upuściła go na kolana Madeline.

– Nie jestem Świętym Mikołajem – oznajmiła. – Z tych twoich wypocin dałoby się jeszcze zrobić całkiem przyzwoitą piosenkę. I to za grosze.

Po gruntownym przeszukaniu przy okazji dwóch pierwszych wizyt u Dell, podczas których nie odkryła wiele albo nawet nic poza tym, co już wiedziała, nie zawracała sobie dłużej głowy chodzeniem tam regularnie. Paradoksalnie i wbrew wszelkim oczekiwaniom odkryła, że o wiele więcej może się dowiedzieć, kiedy Dell jest w domu, kiedy wynętroza się i opowiada, niż pod jej nieobecność z tego jej pozbawionego osobistych detali otoczenia. Jej rzeczy nie objaśniały nic, nie miały głosu, którym mogłyby cokolwiek zdradzić. Co mogły jej pokazać? Podwójny rząd fioletowych znaczków w szufladzie biurka. Flakonik bursztynowych perfum od Chanel na toalecie. Fiolka aspiryny na półce w szafce z lekami. Butelka wszechobecnej whisky Canadian Club w lodówce, a do tego sześciopak heinekna dla tych, którzy woleli lżejsze trunki. Nawet mały, niebieski notes z telefonami wiszący na

haczyku obok aparatu był wstrzemięźliwy i dyskretny. Sklep z alkoholem. Producent muzyczny. Całodobowe delikatesy, gdyby trzeba było coś przekąsić o czwartej nad ranem – z kim? Sklep, gdzie kupowała buty. Ani jednego numeru prywatnego.

Sprytnie; pewnie знаła je wszystkie na pamięć.

Ludzie nie pisali jakoś do Dell zbyt wielu listów. Może nie tyle dlatego, że się bali, co dlatego, że świat, w którym ona i oni się poruszali, pędził zbyt szybko, by listy zdołały za nim nadążyć. Rozmowa telefoniczna wystarczyła, by powiedzieć wszystko, co było do powiedzenia. Wczorajsza chęć spotkania – nazajutrz mogła przerodzić się w obojętność albo ktoś inny mógł zająć w międzyczasie nasze miejsce.

Nie było zdjęć jej dwóch obecnych adoratorów ani byłego męża, człowieka, który później poślubił Starr, ale też temu ostatniemu trudno się było dziwić. Pewnie podarła je wszystkie, gdy małżeństwo zakończyło się fiaskiem.

Był cały plik rachunków za leczenie, wszystkie pochodziły od tego samego lekarza. Na pierwszym widniała tylko kwota. Na drugim odręcznym pismem dodano „Proszę”. Trzeci nosił błagalne „Trzecie wezwanie”. Na ostatnim suma była przekreślona, a zamiast niej figurowało pytanie: „Może dziś wieczorem?”

– A zatem tak to załatwiała – pojęła Madeline w nagłym przebieśku złośliwości.

Kilka razy po swojej wizycie zostawiła na pianinie króciutkie notki. „Byłam. Pracowałam. Mad.” A raz, żeby zyskać na wiarygodności: „Czy *Mam dla ciebie bluesa* to dobry tytuł?”

Nazajutrz w tym samym miejscu znalazła oschłą odpowiedź Dell. „Przestań! Nie śpiewam bluesa, nie pamiętasz? Jeśli masz zamiar grać na moim pianinie, to przynajmniej pracuj nad czymś, co mogłabym wykorzystać!”

Widząc to, Madeline zagrała na nosie.

Madeline wiedziała, że przyjdzie czas, kiedy zacznie mówić o swoim byłym mężu, i taki czas przyszedł. Jeśli kobieta kocha mężczyznę, to prędzej czy później musi zacząć o nim mówić swojej powiernicze. Jeśli kobieta mężczyzny nienawidzi, to też prędzej czy później musi zacząć o nim mówić. Nie byłaby kobietą, gdyby tego nie zrobiła. Gdyby tego nie zrobiła, znaczyłoby to, że nigdy go nie kochała albo nie nienawidziła. Madeline czekała na właściwy moment, nie naprowadzała, nie czyniła aluzji, nie zastawiała słownych pułapek. Wiedziała, że opowieść będzie pełniejsza, bardziej swobodna, gdy popłynie z jej ust sama. I popłynęła.

Pewnego dnia Dell przeglądała nuty, szukając czegoś nowego, co mogłaby włączyć do swojego repertuaru. Znalazła coś i zaczęła nucić. Nagle urwała i odłożyła nuty tak gwałtownie, że w zasadzie cisnęła nimi o wierzch pianina.

Madeline na ten odgłos podniosła wzrok. Ze swojego miejsca zdołała odczytać tytuł na okładce, mimo że do góry nogami: „To dawne uczucie”.

– Niedobre? – spytała.

– Zbyt dobre – odparła Dell. – To coś więcej niż piosenka, to autentyczne przeżycie. Wiem, bo sama przez to przeszłam. „Ujrzałam cię minionej nocy i dawne uczucie ożyło”. – Odwróciła się do Madeline. – Co jest, do diabła? – rzekła. – Ty przecież nie chcesz tego słuchać...

– Owszem, chcę.

– Dlaczego? Tylko dlatego, że wzięłam do ręki jakieś nuty i popsułam się humor? To nie znaczy, że muszę opowiadać ci smutną historię i psuć humor także i tobie.

– Czasem to pomaga, jeśli opowie się o czymś innej osobie, cokolwiek by to nie było – nalegała Madeline. – Grunt, żeby to z siebie wyrzucić.

– I zrzucić na ciebie? Po co?

– Od tego są przyjaciele.

– Nie wciskaj mi tu takiego kitu – warknęła Dell. – Nie wiem, od czego są przyjaciele, a na pewno nie od tego, żeby dawać wylewać na siebie wszelkie brudy, jakie tylko pogrzebało się dawno na dnie serca. Od tego są być może psychoterapeuci, ale nie przyjaciele. Więc dlaczego miałabyś tego słuchać? Co ci z tego przyjdzie?

Madeline wzruszyła ramionami. – Może piosenka?

– Piosenka?

– Albo pomysł na piosenkę.

– Już ci mówiłam – rzekła Dell. – Nie wpadniesz na dobry pomysł, zaglądając we wnętrza innych ludzi. Musisz zajrzeć w głąb siebie.

– Może zagłębienie we wnętrza innych ludzi czy słuchanie tego, co w nich siedzi, to sposób na to, bym odkryła, co siedzi we mnie.

Dell zastanowiła się chwilę. – Tak – stwierdziła. – To ma sens. Cóż, mogę spróbować, jeśli chcesz. Ale ostrzegam cię, może ci przyjdzie ochota wziąć do ręki skrzypce i zacząć mi akompaniować, to tego rodzaju historia.

– Smutna, tak?

– To historia małżeństwa – zaczęła Dell. – Istnieją dwa typy małżeństw. Złe i zmyślane, bo te prawdziwe nie są dobre, a te dobre nie są prawdziwe. – Pokręciła głową. – Nie wiem, od czego zacząć.

– Jak się poznaliście?

– Pierwszy raz spotkaliśmy się przy recepcji hotelu Eastland w Portland w stanie Maine. Oboje byliśmy tam na urlopie. Ja chciałam tylko wziąć swój klucz. Zamiast tego, recepcjonista podał mi kartkę z wiadomością. Jeszcze nim na nią spojrzałam, powiedziałam: „To nie może być do mnie, nie znam nikogo w tym mieście!”. Miałam rację. Wiadomość była dla jakiejś Szwedki o nazwisku Nilson i włożyli ją do niewłaściwej przegródki. „I” miało taką dziwną pętelkę, że wyglądało jak „e”.

On wtedy uśmiechnął się do mnie, a ja się nie obruszyłam. Zaczął rozmawiać, a ja znów się nie sprzeciwiłam. Zanim się rozstaliśmy, rzekł: „Teraz nie może już pani powiedzieć, że nie zna pani nikogo w tym mieście”.

Nazajutrz wieczorem podszedł do mnie w holu, zaprosił mnie do baru i postawił drinka. Następnego wieczoru zaprosił mnie na kolację. Kiedy urlop się skończył, wróciliśmy do miasta osobno, ale wcześniej umówiliśmy się na spotkanie po powrocie i się spotkaliśmy. W tym czasie byłam już w nim zakochana. On we mnie nie, teraz to wiem. To ja zawsze wiodłam prym, przez cały czas trwania tego związku. Oboje jednak popełniliśmy ten sam błąd: wzięliśmy moją miłość za odwzajemnioną miłość z jego strony. Kiedy mnie całował, odpowiadał jedynie na moje pocałunki, nie darzył mnie swoimi. Gdy trzymał mnie w ramionach, dopełniał jedynie półkole mojego objęcia. Na mocy tej iluzji wzięliśmy ślub; to on poprosił mnie o rękę, lecz to ja zasiałam tę myśl w jego głowie.

Było to wielkie ryzyko od samego początku. Byłam bezpieczna tylko, dopóki on nie znalazł własnej miłości. A kiedy ją znalazł i kiedy zrozumiał, że ją znalazł, było po mnie.

Zrozumiał to jakieś dwa i ćwierć roku po ślubie. Dwadzieścia siedem miesięcy, chyba tyle. Bardzo dobrze nam się układało przez te dwadzieścia siedem miesięcy. Nie wiedział nawet, że mnie nie kocha. Prawdę mówiąc, ja sama też o tym zapomniałam, taka byłam pochłonięta własną do niego miłością.

Nie potrafię powiedzieć, kiedy dokładnie się pojawiła. Aż taka dobra nie jestem. Nie przecięła wiązki światła, takiej jak te, które służą otwieraniu i zamykaniu drzwi, jej przybycie nie zostało więc dokładnie odnotowane. Ale gdzieś pomiędzy dwudziestym szóstym a dwudziestym ósmym miesiącem wkroczyła w nasze życie.

Jedyne, czego nie potrafię teraz wyjaśnić, to skąd wiedziałam. Nastąpiła w nim jakaś subtelna zmiana. Wiedziałam to już wtedy i patrząc z perspektywy czasu, wiem, że wtedy wiedziałam, lecz nadal nie umiem powiedzieć skąd, tak teraz, jak i wtedy.

Była młoda, to też wiedziałam. Któregoś dnia zobaczyłam, jak ogląda się na dziewczynę osiemnasto-, może dziewiętnastoletnią, kiedy z nim byłam. Nie interesowała go ona sama w sobie, ale spojrzenie było spekulatywne i wiedziałam, że musi porównywać ją do tamtej innej, i

wiedziałam dzięki temu, że tamta też musi być w podobnym wieku, musi mieć osiemnaście, dziewiętnaście lat. Nawet w romansie mogą się przydać zdolności detektywistyczne.

Dość szybko wiedziałam o niej wszystko, wszystko poza tym, jak wygląda jej twarz i jak brzmi jej imię. Wiedziałam niemal od razu, kiedy zaczęli się w sobie zakochiwać.

Siedziałam godzinami i myślałam: Może wciąż istnieje jakiś sposób na to, żebym go odzyskała. Może wciąż jeszcze nie jest za późno. Takie rzeczy się zdarzały. Zdarzały się innym. Dlaczego nie mnie?

No dobrze, ale jak? Powtarzałam sobie za każdym razem. Jak? Nigdy nie byłam w stanie wyjść poza to jak?”

Aż któregoś wieczoru zdarzyło się coś, co podsunęło mi pomysł, i zdawało mi się, że znalazłam wyjście. Siedziałam sama i oglądałam telewizję, nie wiedząc tak naprawdę, co oglądam, gdy zadzwonił telefon. Dzwonił jakiś mężczyzna, pomylił się. Poprosił do telefonu panią Taką-a-siaką. Powiedziałam, że nikt o tym nazwisku tutaj nie mieszka. Okazało się, że nasze numery są prawie identyczne, jeśli nie liczyć dwóch ostatnich cyfr, a nawet te były takie same, tylko w różnej kolejności. Zamienił je miejscami i przez pomyłkę dodzwonił się do mnie. Przeprził, rozłączył się i to by było na tyle.

Ja jednak zaczęłam się nad tym zastanawiać, a im dłużej się zastanawiałam, tym głębszego nabierałam przekonania, że to może być to, czego szukam. Zazdrość. Spróbować z zazdrością. Cierpliwość nie działała, brak sprzeciwu też. Gdybym zaczęła się pieklić i na niego napadać, straciłabym go tym prędzej. Ale zazdrość mogłaby podziałać. Może gdyby poczuł, że ktoś inny mnie pożąda, choć on już przestał, znowu zyskałabym w jego oczach. Mężczyźni są pod tym względem zabawni: nie chcą tego, czego nie chce inny facet; musi z tym być coś nie tak. Za to jak inny facet czegoś chce, oni chcą tego tak samo; musi w tym być coś dobrego. Są jak barany. Czy może powinnam powiedzieć wilki.

Prawie tydzień zbierałam się na odwagę, żeby spróbować. Myślałam o tym przez cały czas, ale nie podejmowałam żadnego działania. Próbowałam wyobrazić sobie jego twarz tego wieczoru, kiedy przyjdzie do domu i odkryje, że kręcę za jego plecami. Najpierw oszołomienie. Potem

gniew. Może nawet da mi po twarzy. Może przeklnie mnie, obrzuci tymi wszystkimi paskudnymi wyzwiskami, którymi mężczyźni obrzucają kobiety, gdy odkryją, że te ich zdradzają. Miałam nadzieję, miałam wielką nadzieję... Wszystko, wszystko byłoby lepsze niż ta obojętność.

W dniu, kiedy wiedziałam, że wieczorem ma się z nią spotkać (a mówiłam ci, że byłam tych spotkań pewna jak dnia własnych urodzin), poszłam kupić kilka niezbędnych rekwizytów, tak to chyba można nazwać. Rzeczy, których zazwyczaj nie kupuję.

Poszłam do trafiki i zapytałam sprzedawcę o markę dobrych, drogich cygar.

– Garcia y Vega – powiedział. – Dwanaście pięćdziesiąt za pudełko.

– Nie chcę całego pudełka – odparłam. – Proszę tylko dwa.

Włożył je do małego woreczka i rzekł: – Spodobają się pani mężowi.

O nie, pomyślałam sobie, nie spodobają mu się, mam taką szczerą nadzieję.

Stamtąd poszłam do sklepu z alkoholem i kupiłam ćwiartkę bourbona, najmniejszą butelkę, jaką zdołałam nabyć. Ponieważ nikt nie miał tego pić, nie było sensu się wykosztowywać.

Usiłowałam wymyślić, co jeszcze może wywołać wrażenie męskiej obecności, ale nic więcej nie przyszło mi do głowy. Uparłam się, żeby wszystko wyglądało tak realistycznie, jak to tylko możliwe, wszystkie chwytły dozwolone.

W naszym budynku pracował jeden starszy windziarz na popołudniową i nocną zmianę. Pozostali byli młodzi. Wysłałam na korytarz i zadzwoniłam po niego, a kiedy przyszedł, wręczyłam mu tamte dwa cygara z bardzo dziwną prośbą, jakiej założyć się, nie słyszał jeszcze od żadnej lokatorki.

– Proszę je wypalić – powiedziałam – a potem przynieść mi końcówki. Potrzebuję *obu* końcówek. I żeby nie były... hm... zbyt oślinione, jeśli to możliwe.

Doskonale ukrył zdziwienie, które musiał wtedy poczuć.

– Czy mogę je przynieść jutro? – spytał. – Wypalę jedno podczas przerwy na kawę o szóstej, a drugie zachowam sobie na wieczór, kiedy wrócę do domu...

– Nie, nie, nie! – zaprotestowałam natychmiast. – Muszę mieć te końcówki jeszcze dziś, i to nie później niż o wpół do szóstej. Musi pan się jakoś postarać.

– To sporo dymu – stwierdził z powątpiewaniem.

Weszłam do mieszkania i przygotowałam scenografię. Wyjęłam dwie szklanki do drinków i nalałam do każdej trochę whisky. Postawiłam je obok siebie, bardzo blisko jedna drugiej, na naszej ławie w salonie. Następnie napełniłam dużą miskę lodem w kostkach i zalałam je ciepłą wodą z kranu, by wyglądały, jakby topniały powoli od wielu godzin. Zabrałam się za wszystkie poduszki w pokoju i rozrzuciłam je na sofie dokładnie na wprost miejsca, gdzie stały szklanki, upuszczając kilka na podłogę, żeby wyglądało, jakby naprawdę miała tu miejsce gorąca scena.

Przeszłam do sypialni i szczególnie starannie zajęłam się łóżkiem. Najpierw całe je rozebrałam, żeby wyglądało, jakby przeszło przez nie tornado. Potem ułożyłam dwie poduszki jedna tuż przy drugiej i waliłam w nie pięścią, dopóki nie zyskały wielkich wgłębień pośrodku. Następnie wyjęłam parę różowych nylonowych majtek i wepchnęłam tuż pod kołdrę, ale tak, żeby je było trochę widać. Wiesz, chyba nawet łóżko, w którym naprawdę coś się działo, nie wyglądało bardziej realistycznie.

Potargałam sobie trochę włosy, ale nie za bardzo, bo pierwsze, o co kobieta zawsze się zatroszczy, to włosy, choćby nie wiadomo jak była pochłonięta czymś innym. Nałożyłam więcej szminki niż zwykle, a potem wzięłam chusteczkę i celowo rozsmarowałam ją w jednym kąciuku, jakbym się namiętnie całowała. Wreszcie wzięłam butelkę whisky i korzystając z niej jak z wody toaletowej, kapnęłam kropelkę tu, kropelkę tam i kropelkę za uchem. Resztę rozlałam po dywanie, żeby w pokoju cuchnęło jak w gorzelni.

Zadzwonił dzwonek u drzwi i Dave wniósł na pustej koperce dwie końcówki cygar.

– Jedno trzymałem zapalone na rogu skrzynki na listy w holu – rzekł – a drugie na gaśnicy na czternastym piętrze i za każdym razem, gdy winda była pusta, wychodziłem i zaciągałem się parę razy. Ale czuję się paskudnie. Jeszcze nigdy nie wypaliłem dwóch cygar naraz.

Dałam mu porządną napiwkę za jego fatygę i odebrałam cygara. Położyłam jedno w popielniczkę pomiędzy szklankami z whisky. Drugie zabrałam do sypialni i umieściłam w popielniczkę tuż obok łóżka. Bliżej się nie dało, chyba że w samym łóżku.

Wtedy usiadłam i czekałam. Czekałam, aż wróci do domu i stanie się zazdrosny. I znowu się mną zainteresuje.

Najgorsze nieszczęście, to gdyby w ogóle nie wrócił do domu po tym, jak zadałam sobie tyle trudu. Często tak po prostu nocował poza domem, kiedy się z nią spotykał, prosto z pracy jechał do niej i zabierał ją gdzieś na kolację czy co tam akurat mieli w planach, po drodze rzucając mi tylko przez telefon oschłe: „Zostaję dziś w mieście. Wrócę później”. Nie mogły te wiadomości brzmieć bardziej bezosobowo, choćby się nie wiem jak starał – nawet zaimki jakby celowo poopuszczał. I nie podawał już nawet powodu. Nie byłam warta chociażby tego, by mnie okłamać!

Tego wieczoru dostałam jednak swoją szansę. Przed drzwiami zatrzymała się taksówka, a ja zobaczyłam, jak wysiada i wchodzi do budynku.

Wstałam i przygotowałam się na podniesienie kurtyny.

Włożył do zamka klucz i otworzył drzwi, a ja wydałam krótki pisk przerażenia, jakby mnie zaskoczył.

– Och! – zawołałam. – Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie.

– A kiedy się mnie spodziewałaś? – spytał z kompletną obojętnością, bez krztyny zainteresowania.

Zauważyłam, że zupełnie nie zwrócił uwagi na pokój, tak samo jak nie zwracał jej na mnie, i wiedziałam, że niczego nie zauważy, jeżeli sama go nie naprowadzę.

Otworzyłam usta, wciągnęłam powietrze, zakryłam buzię dłonią, zerknęłam na końcówkę cygara, po czym szybko odwróciłam wzrok i starałam się wyglądać na zmieszaną. Zdawało mi się, że nieźle zagrałam. Nie było to łatwe zadanie odgrywać cały czas tę farsę.

Spostrzegł, gdzie padło moje spojrzenie, i sam się tam obejrzał, i wreszcie zauważył demolkę po rendez-vous.

Opowiadam ci dokładnie tak, jak było, krok po kroku. Gdybym miała w sobie choć odrobinę dumy, pewnie skłamałabym trochę, próbowałabym co nieco przyozdobić. Nie robiłam jednak tego wtedy i nie

zamierzam robić teraz, jeśli chodzi o niego.

Uśmiechnął się do mnie szeroko. Nie ironicznie. Nie złośliwie. Nic z tych rzeczy. Uśmiechnął się dobrodusznie, życzliwie, niemalże tak, jak uśmiechnąłby się do innego mężczyzny, którego przytapałby w niezręcznej sytuacji.

– Kim jest twój nowy przyjaciel? – zapytał. Po czym zaczął rozwiązywać krawat i ruszył do sypialni, nie tracąc więcej czasu. Dobiegł stamtąd jego okrzyk: – O kurczę! – A w jego głosie słychać było śmiech. – Cieszę się, że jesteś szczęśliwa – zawołał do mnie. – Bo ja też jestem szczęśliwy. W ten sposób jesteśmy szczęśliwi wszyscy, cała nasza czwórka.

I za moment puścił wodę i szybko się ogolił, by od razu móc do niej wrócić.

Stałam jak wryta, opadła z sił i pełna wstydu. A rumieniec, który mógł mi pomóc wtedy, gdy odgrywałam tę scenę, zalał mi całą twarz teraz, kiedy go już nie potrzebowałam. Czułam, jak od niego płonę.

Gdy znowu zjawił się w sypialni, by założyć świeżą koszulę i krawat, zaczął pogwizdywać. To nie była zuchwałość, nie próbował się ze mnie natrzęsać, nie próbował drwić. Przychodziło mu to najzupełniej naturalnie. Dało się to poznać, dało się poznać po brzmieniu. Pewnie nie był nawet świadomy, że to robi. Zapomniał już, co widział, nic to dla niego nie znaczyło, nie istniało.

Wygwizdywał własne szczęście.

Założył marynarkę i rytmicznym, sprężystym krokiem podszedł do drzwi. Nie padło między nami ani jedno słowo, ani spojrzenie, nic. Drzwi się za nim zamknęły.

Moja głowa pochylała się wtedy i pochylała tak coraz bardziej, po centymetrze, coraz niżej i niżej, jak w jakimś ustrojstwie, w którym popsuła się sprężyna.

Byłam do niczego jako wierna żona. I tak samo byłam do niczego jako żona niewierna... – Rozłożyła szeroko ramiona, a w jej głosie rozbrzmiała nieprawdopodobna żalność. – Do czego ja się w ogóle, cholera, nadawałam?

Znów wrócił bardzo późno i położył się obok mnie. Leżałam z twarzą wciśniętą w poduszkę. Włączył lampkę nocną, dosłownie na sekundę,

pewnie żeby zobaczyć, która godzina. A zimny niedopałek cygara wciąż leżał tam w popielniczce, tak jak go położyłam.

Wyłączył światło, lecz w ciemności usłyszałam, jak w jego gardle rodzi się rechot, niski, głęboki rechot.

Umiąłem poznać, kiedy z nią był. Żona zawsze umie. Drobne znaki, znamienne drobne znaki, które wydają mężczyznę, jeśli wiesz, czego szukać. Zmęczony, niemrawy, wyczerpany, bez wigoru, leżał przy mnie jak kłoda, nieświadom nawet mojego istnienia. Wyostrzone rysy, zapadnięte policzki i skronie, które wypełniały się na powrót w ciągu dwudziestu czterech godzin. By zapaść się znowu w ciągu następnej doby. Podkowy pod oczami, które na pewno nie ja mu zafundowałam. – Uśmiechnęła się, patrząc wstecz. Był to smutny uśmiech, smutne wspomnienie. – Po co było mówić cokolwiek? Czy to by coś powstrzymało? Czy to powstrzymało cokolwiek kiedykolwiek? Ale ja wiedziałam, wiedziałam... Całkiem tak, jakby mi pokazał zdjęcia.

Początkowo miało to charakter dosyć spontaniczny, przypadkowy, jak to na początku każdego romansu. Potem nabrało regularności, prawie jak w małżeństwie. Trzy razy w tygodniu. Bez pudła. To *oni* byli małżeństwem, a ja obcą osobą noszącą jego nazwisko. Dlaczego ma to takie znaczenie – skierowała swe retoryczne pytanie do Madeline – że twój mąż śpi z inną kobietą? Zastanawiałam się nad tym wtedy i zastanawiam teraz. Sypiał z innymi kobietami, zanim ciebie spotkał, wiesz, że to robił, i nie spędza ci to snu z powiek. Pewnie to dlatego, że ta inna kobieta odbiera coś, co należy teraz do ciebie, jest twoje. Przedtem nie należał do nikogo, nikogo tym samym to nie krzywdziło. I chodzi o coś znacznie ważniejszego niż tylko bliskość fizyczna, z której jesteś okradana. Chodzi o te intymne, poufne słowa, które padają przy tej okazji i żadnej innej. To ona ich teraz słucha, nie ty. Plany, które snuje się w takich chwilach, najskrytsze myśli, które się wtedy wyjawia, miłosne nazwania i słowa miłości, wszystko to dostaje teraz ona, nie ty.

A ty tylko stoisz. Pomiędzy wami zamknęły się drzwi. On został po jednej stronie, ty po drugiej. I nie możesz się przedostać. Żadne klucze tego świata, żadne grzmocenie pięściami, żadne młoty ani siekiery nie zdołają ich otworzyć.

Co zatem robisz? Powiem ci, co robisz. Żyjesz z tym. Żyjesz z tym najlepiej, jak potrafisz. Niektóre z nas kończą ze sobą. Ale takich jest niewiele. To rozwiązanie dla nerwowych młodych pańienek wkraczających dopiero do gry, nie posiadających jeszcze siły wewnętrznej, która pomogłaby im przetrwać.

Aż przychodzi do ciebie któregoś dnia. To *on* przychodzi, nie ty.

Któregoś dnia przychodzi. A raczej którejś nocy. Leżysz, nie śpiąc, przy zgaszonym świetle. Zawsze leżysz teraz, nie śpiąc, przy zgaszonym świetle. *On* leży i myśli. Ty leżysz i myślisz. Ale wasze myśli już nie spotykają się tak jak dawniej.

On pyta cicho: – Dell, śpisz?

A ty równie cicho odpowiadasz: – Nie, Vick, nie śpię.

– Chcę z tobą porozmawiać.

Serce zaczyna ci odmierzać sekundy. Przyszedł ten czas. Nareszcie. W końcu. To już koniec.

– Problem w tym – mówi – że nie wiem, od czego zacząć.

I co na to odpowiadasz? Nic. Leżysz tylko i czekasz, aż *on* zbierze myśli. Żywiąc nikłą nadzieję, że jednak o tamtym zapomni.

Ale *on* nie zapomina. Mówi:

– Dell, przeżyliśmy ze sobą miłe chwile. Mam rację?

Nie odpowiadasz. Jest to jedno z tych pytań, które nie wymagają odpowiedzi.

– Ale coś się zmieniło – mówi dalej. – Nie wiem, jak to wyjaśnić. Nie mówię, że to przez ciebie. To nie twoja wina. Jeśli już kogoś można obwinie, to mnie. Chociaż nie wiem, czy można winić kogokolwiek, gdy coś takiego się zdarza. Nie wydaje mi się, by ludzie mieli tu jakikolwiek wybór. Uważam, że pewne rzeczy się zdarzają i jedyne, co wtedy można zrobić, to się z nimi pogodzić.

Do rzeczy, chcesz krzyknąć. Daj już spokój tej swojej taniej filozofii i przejdź do rzeczy. Zamiast tego jednak leżysz tylko i czekasz, co powie dalej.

– Dell, nie mogę tu dłużej mieszkać.

– Dlaczego?

– Bo coś było między nami – mówi – ale to się skończyło.

– Nie dla mnie – mówisz, nienawidząc się za to, nienawidząc się za to, że musisz to powiedzieć. – Dla mnie wciąż jest tak samo.

– Dell, zamierzam się wyprowadzić.

- Kiedy?
- Teraz, jeśli chcesz.
- To szaleństwo – mówisz. – Jest środek nocy. Wcale nie chcesz teraz wychodzić.
- Cóż, jeśli na pewno nie masz nic przeciwko...
- Oczywiście, że nie mam.
- A zatem z samego rana.

Tak więc zdejmuję ubranie i kładzie się do łóżka. I leży znowu po swojej stronie, a ty po swojej, i tak bardzo chciałabyś móc po prostu zasnąć, lecz oczywiście nie możesz. I tak bardzo chciałabyś móc pozostać po swojej stronie łóżka, ale też nie możesz.

Kulisz się zatem przy nim. On też nie może spać, a ty wiesz, co robić, jak go dotykać, a on reaguje, tak jak tego oczekujesz. Z początku niechętnie. Tak jakby będąc z tobą, zdradzał tamtą. Ty jednak wiesz, co robisz, a on nie może się oprzeć.

Ale przez cały czas myślisz tylko o jednym, myślisz, że to ostatni raz, ostatni raz...

Potem on zasypia. Ty próbujesz spać, ale nie możesz i po jakimś czasie przestajesz próbować. Wstajesz i chodzisz po pokoju, po czym wracasz i siadasz na brzegu łóżka, a w głowie ci huczy.

Obudził się. Ja cały czas siedziałam, wyglądając przez okno w drugim pokoju. Wstał z łóżka, poszedł do łazienki i puścił wodę pod prysznicem. Pomyślałam: Pewnie ostatni raz słyszę, jak bierze prysznic. I klepie się po torsie, jak ma to w zwyczaju. I prycha, żeby pozbyć się wody z nosa.

Przyszło mi do głowy, że to strasznie głupia myśl w takiej chwili. A może wcale nie? Może w takich chwilach to naturalne myśleć o takich sprawach.

Ubrał się i podszedł na chwilę do drzwi sypialni; patrzył na mnie, mierząc jednocześnie dwa końce krawata.

- Nie wrócę dzisiaj na noc – oznajmił. – W ogóle już nie wrócę. Przyślę kogoś po moje rzeczy, jeszcze dzisiaj. – Po czym dodał, jakby czekał na moje pozwolenie: – Dobrze?
- Dobrze – odparłam. I siedziałam dalej.
- Zachowujesz się jak zombie – zauważył.

– Też byś się tak zachowywał – odrzekłam smutno.
Skończył wreszcie, odszedł od drzwi i przygotował się do wyjścia.
– Na pewno chcesz to zakończyć? – spytałam.
– Daj spokój – odparł z wyrzutem.
To było najdziwniejsze rozstanie, o jakim słyszałam.
Zapytał: – A co z pieniędzmi? Najlepiej powiedz mi od razu.
– Nie zależy mi na nich – powiedziałam. – Zawsze jakoś mogę je zdobyć. Pieniądze akurat zdobyć najłatwiej.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

A ja siedziałam dalej.

Wyszedł z budynku na ulicę, odwrócił się i spojrzał w okno. Zobaczył, jak na niego patrzę.

Zdjął kapelusz i uniósł go w moją stronę w pożegnalnym geście. Następnie wsiadł do taksówki, którą zawołał dla niego portier. Taksówka odjechała i moje małżeństwo się skończyło.

Nie miałam wcześniej pojęcia, jakie to może być ponizające, jakie bolesne, jakie dręczące, kiedy własny mąż tak teatralnym gestem uchyla przed tobą na pożegnanie kapelusza.

W apteczce stała fiolka tabletek uspokajających. Wyjęłam je. Następnie przyniosłam szklankę wody. Usiadłam i brałam na zmianę: tabletkę i łyk wody, aż skończyło się jedno i drugie. Woda miała dziwny smak, może dlatego, że nigdy nie piłam jej bez żadnych dodatków.

Ledwo to zrobiłam, olśniło mnie nagle. Wrzasnęłam na siebie: Dlaczego robię *coś takiego*? Dlaczego mam mu jeszcze bardziej wszystko ułatwiać? Mam zamiar żyć! Mam zamiar żyć, żebym mogła się z nim policzyć, odpłacić mu pięknym za nadobne, dać mu porządnie popalić! Złapałam słuchawkę telefonu i krzyknęłam: – Jezus, Maria, Józefie święty! Szybko, zróbcie mi płukanie żołądka, na miłość boską!

Spotkałam go pewnego dnia na ulicy. Niczego nie planowałam, to był zupełny przypadek. Coś, co przydarza się dwojgu ludziom może raz na dziesięć lat w mieście wielkości Nowego Jorku.

Spojrzał na mnie i mnie poznał. Pewnie, że mnie poznał, czemu miałby nie poznać? Widziałam, że nie zamierza przystanąć, więc zatrzymałam się pierwsza i tym samym zmusiłam go, by stanął wbrew własnej woli.

Dobrze wyglądał, wydawał się szczęśliwy, a ja przez to wcale nie poczułam się ani dobrze, ani szczęśliwie.

Powiedział: – A więc?

Ja na to: – A więc?

Wtedy rzekł: – No co?

A ja: – No co?

Niezbyt fascynujący początek rozmowy, choć kryły się w nim tysiące niewypowiedzianych słów. Nadzieja i obojętność, i drwina, i błaganie.

Wreszcie rzekł: – Nie ma sensu tak tutaj stać. Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Na co ja odpowiedziałam: – Jeśli myślisz, że oddam cię tak bez walki, to się mylisz.

– Już mnie oddałaś – odparł. – To koniec. Nic nie możesz zrobić. – I ruszył w swoją stronę.

– Nie? – zawołałam za nim. – Nie? No to uważaj. Uważaj, bo zobaczysz.

Ale on nawet się nie odwrócił.

I to był punkt zwrotny. Wtedy coś we mnie pękło, w chwili tego odtrącenia na ulicy. W tym momencie skończyła się miłość. Nie było już od tej pory miłości, była tylko nienawiść. Nienawiść i obmyślanie, jak go zranić.

Myślałam nad tym bez przerwy. Myślałam, zarabiając śpiewem na życie. Myślałam, kiedy kochali się ze mną inni mężczyźni. Myślałam rano i po południu, myślałam wieczorem.

W końcu doszłam do wniosku, że wiem już, jak go zrobić, jak przypisać mu zrobienie czegoś, czego w ogóle nie zrobił. Szczegóły nie mają znaczenia. Ale potrzebowałam pomocy. Zwróciłam się więc do jednego ze starych przyjaciół, który wciąż miał powiązania z dawnymi czasami, choć już trochę minęło, odkąd zaczął żyć w zgodzie z prawem, jak to przeważnie z tymi bystrzakami bywa.

Ku mojemu zdumieniu nie chciał nawet o tym słyszeć i odwiódł mnie od tego pomysłu, radził go poniechać. Takie sprawy zawsze obracają się przeciwko tobie, mówił. Nigdy nie są wolne od błędów. To ty odniesiesz rany w tej walce, Dell, nie on. Opuść sobie tego faceta.

Nie próbuj go odzyskać. Postawił sprawę jasno. I niech tak pozostanie. Daj mu spokój.

Taki był punkt widzenia mężczyzny. Ale nie kobiety. Miałam też świadomość, że sam nie jest bezinteresowny; kochał się we mnie, a Vick stanowił dla niego zbyt silną konkurencję. Musiałby grać drugie skrzypce przez cały czas, kiedy byłabym kobietą Vicka. Nic dziwnego, że wołał, by Vick zniknął bezpiecznie z pola widzenia.

Cóż, poniechałam tego akurat rozwiązania, skoro okazało się niewykonalne, lecz nie poddałam się ani na minutę. Jeśli myślał, że przestanę próbować, to się mylił.

Ponieważ nie mogłam dostać się do niego osobiście, uznałam, że może zdołam dopieć mu przez nią. Prawdę mówiąc, im więcej o tym myślałam, tym bardziej mi się to podobało. Stwierdziłam, że tak będzie nawet lepiej. Zrobię coś jemu, a ona nadal będzie go kochała. Zrobię coś jej i nie będzie już nikogo, kto by go kochał. Z tych dwóch wyjść, to było bardziej bolesne.

Ona była wierząca, ot, tyle o ile. Wiedziałam, jak zdobywać informacje. Dowiedziałam się, że w niedziele zawsze chodzi na poranną mszę. Mszę o siódmej. On nigdy z nią nie chodził, a ona sama nie szła nigdy innego dnia tygodnia czy o innej godzinie. Zawsze szła do tego samego kościółka, a żeby tam dotrzeć, musiała pokonać pustą boczną uliczkę. We wczesne niedzielne poranki ta uliczka wydawała się w zasadzie wymarła, nie było na niej ani żywej duszy. W pobliżu budowano nowe osiedle, a stare budynki, których jeszcze nie wyburzono, wszystkie były opuszczone i zabite deskami. Sama widziałam. Wiesz, jak to robią, najpierw malują wapnem na szybach białe ikсы. A później, kiedy ta nowa budowa była już bardziej zaawansowana, powstało rusztowanie z desek, które miało ochronić chodnik. Zawsze je stawiają, w razie gdyby coś spadło z góry. Idąc pod nim, szło się prawie jak w tunelu, tak było ciemno i ciasno. A w niedzielny poranek nie byłoby żadnych robotników. Zostałaby tam uwięziona, nie mogłaby się ruszyć naprzód, nie mogłaby się cofnąć, gdyby ktoś zdybał ją mniej więcej pośrodku tej ciasnoty.

Zdobyłam adresy kilku spelunek znanych z tego, że przesiadują w nich byli więźniowie, drobne oprychy i im podobni. Przez niemal

tydzień noc w noc po występie zamiast jechać do domu, zmywałam makijaż, zakładałam prostą, czarną sukienkę, by nie rzucać się w oczy, i ciemne okulary. Wybierałam się w jedno z tych miejsc i siedziałam. Och, słyszałam wiele propozycji, lecz kiedy zrozumieli, że nie po to przyszłam, poddawali się.

Wreszcie udało mi się nawiązać kontakt, jakiego szukałam. Cóż, to był powolny proces. Musiałam być ostrożna. On też. Musiałam przygotować jego, a on mnie. Ale po trzech spotkaniach byliśmy w końcu gotowi przejść do rzeczy. W międzyczasie kazałam go dokładnie sprawdzić, wiedziałam, gdzie mieszka, wiedziałam, jaką ma za sobą przeszłość, prawdę mówiąc, wiedziałam więcej, niżby kiedykolwiek przypuszczał, a wszystko to, żeby nie miał szans mnie wykiwać.

Kiedy już raz się porozumieliśmy, reszta poszła szybko. Trzeba się było tylko dogadać co do ceny.

– Robię to dla przyjaciółki – powiedziałam.
– No – odparł – a ja dla przyjaciela.
– Moja przyjaciółka dałaby wszystko, żeby poznać kogoś, kto poczęstowałby czymś jedną taką, która co niedziela o wpół do siódmej rano przechodzi przez pewne miejsce.

– Wszystko? – spytał. – Ile to jest wszystko?
– Cóż, powiedzmy pięć setek.
– To jest nic – odrzekł. – To ćwierć niczego.
– Będę musiała to z nią uzgodnić – powiedziałam.
– A czym to trzeba by ją poczęstować? – spytał wtedy.
– Cóż, problem polega na tym, że ona jest za ładna. Pięść ani kamień tego nie zmienia. Uroda powróci, gdy tylko rany się zgoją. To musi być coś, co *weźre* się powoli. A wtedy ona pozostanie już taka na zawsze.

– Kwas – wycedził, czytając w moich myślach.
– Czy *twój* przyjaciel zechce go zdobyć, czy powinna się o niego postarać *moja* przyjaciółka?

– Mój przyjaciel zdobędzie, co trzeba. Wie gdzie. Nie ma problemu.

– To ja zadzwonię i zapytam o to „nic”.

Poszłam do budki telefonicznej, przeliczyłam to, co ze sobą przyniosłam, i wróciłam do niego.

– Moja przyjaciółka mówi, że teraz dostaniesz tysiąc – oznajmiłam. – Robotę wykonasz w niedzielę. Kolejne pięć setek dostaniesz tutaj, w tym samym lokalu, przy tym samym stoliku w poniedziałek.

– Sprawdzę, co ona na to – odparł. Nie chciało mu się nawet udawać, że gdzieś dzwoni. Poszedł do męskiej toalety, pobył tam chwilę i wyszedł, wkładając do kieszeni grzebień i mówiąc: – Drugi tysiąc w poniedziałek i umowa stoi.

Cóż, faktycznie *był* w męskiej toalecie drugi telefon (tak mi się zda-je), jakby już uczeplić się szczegółów.

– No to umowa stoi – rzekłam. Tu i teraz podałam mu pod stołem pierwszy tysiąc.

– Co to jest? – spytał i odczytał karteczkę, którą położyłam na wierzchu.

– To prawdziwe nazwisko i obecny adres twojego „przyjaciela” – powiedziałam. – Wiem, że do niedzieli bez trudu może ten adres zmienić, ale również bez trudu podąży za nim w nowe miejsce każda informacja. W przeszłości siedział w więzieniu. Jest więc na niego hak.

Patrzył na mnie długo. Nie był urażony ani wystraszony, raczej mnie podziwiał. Wreszcie ukazał zęby w słabym uśmiechu.

– Sprytnie – rzekł.

– Tak – przyznałam. – Moja przyjaciółka jest bardzo sprytna. Bardzo.

Wszystko poszłoby idealnie, bez najmniejszych przeszkód, tylko że troszkę za wcześnie i zbyt hucznie zaczęłam świętować. Wróciłam do domu po sobotnim występie i zaczęłam pić. Był ze mną tutaj, w mieszkaniu, tamten stary przyjaciel, o którym już wspominałam. Co rusz podnosiłam szklankę i mówiłam coś w rodzaju: „Za osobę, którą znam i która jutro o tej samej porze nie będzie już tak piękna dla kogoś innego, kogo też znam”. I zaczynałam śpiewać: „Cóż może sprawić dzień, maleńka jedna doba...” Aż zupełnie straciłam świadomość.

Ostatnie, co pamiętam, to że on poszedł skorzystać z mojego telefonu i zamknął za sobą drzwi. Nie podpadło mi to, bo był człowiekiem, który wydzwaniał po ludziach i w południe, i o trzeciej czy czwartej nad ranem.

Kiedy się obudziłam, było wczesne popołudnie. On nadal u mnie był. Urządziliśmy sobie długi weekend. Ziewnęłam, przeciągnęłam się radośnie i stwierdziłam:

– No, już po wszystkim. Ciekawe, jak podoba się jej nowa twarz, którą dzisiaj dostała? A jeszcze ciekawsze, jak *jemu* się podoba? Założę się, że nie może na nią patrzeć, nie blednąc jak ściana.

– Nie dostała żadnej nowej twarzy – oznajmił mi mój przyjaciel. – Wciąż ma tę samą, którą miała wczoraj i przedwczoraj, i zachowa ją na zawsze.

Usiadłam, nagle całkiem rozbudzona. – Skąd to wiesz? – spytałam ostro. – Co masz z tym wspólnego?

Poruszył ręką, w której trzymał szklankę soku pomidorowego, żeby go zamieszać. – Wysłałem paru znajomych chłopaków, wcześniej rano, o piątej trzydzieści, szóstej, żeby sprawdzili miejsce, gdzie miał na nią czekać. Zrobili to, co im kazałem: wywieźli go spory kawałek za miasto, spuścili łomot i powiedzieli, że jak się tam jeszcze raz pokaże, to z nim skończą.

– Moje tysiąc dolarów! – krzyknęłam i zakryłam dłonią oczy.

– Tutaj masz swoje tysiąc dolarów – rzekł, po czym wyjął je z kieszeni i podał mi, wciąż zapakowane w kopertę, w której dałam je temu oprychowi. Znaleźli je przy nim. Najwyraźniej nie ufał bankom ani materacom... – Następnym razem, jak będziesz chciała tyle wydać – dodał – to może wydaj je na coś bardziej konstruktywnego?

– I wtedy przestałaś próbować – wtrąciła się Madeline.

– Nie znasz mnie – orzekła kategorycznie Dell. – W ogóle mnie nie znasz.

Boże, nie chciałabym, żeby się kiedyś na mnie zawzięła! – pomyślała Madeline.

– Drugi raz zmieniłam podejście. Tak jak na początku przerzuciłam się z niego na nią, teraz poniechałam prób wyrządzenia krzywdy fizycznej. Zrozumiałam, że to się nie uda. Postawiłam tym razem na szkodę moralną.

Wynajęłam prywatnego detektywa. Znalazłam go w ogłoszeniach drobnych na ostatniej stronie jakiejś szmatławej gazety. Wiesz, jak

takie wyglądają: „Nie masz pewności, czy partner jest ci wierny? Zadzwoń do nas. Dyskrecja gwarantowana”.

To był kawał łotra. Nie wiedział, co to etyka. Nie przeszkadzałyby mi to nawet za bardzo, gdyby tylko dbał o czystość. Koszuli nie zmieniał tygodniami, a skarpetek miesiącami. Wiadomo było, w której części pokoju przebywa, nawet przy zgaszonym świetle. Ale zawsze powtarzam: do brudnej roboty najlepszy jest brudas. Porządny człowiek w ogóle nie podjąłby się takiego zadania. Widzisz, nie chodziło o ocalenie małżeństwa, o uchronienie go przed intruzem, przed trzecią osobą. Płaciłam mu, żeby z rozmysłem rozbić idealny związek, i to nie mój, lecz kogoś innego. Do tego właśnie go wynajęłam.

Wyłożyłam mu wszystko kawa na ławę. Moja pięść wyglądała jak główka kapusty, gdy spomiędzy palców sterczały brzegi banknotów. Nic dziwnego, że ludzie tak mówią na pieniądze: kapusta.

Wymieniłam nazwę tego zapyziałego przemysłowego miasteczka, w którym się urodziła. I objaśniłam: – Chcę, żeby pan tam pojechał i został, dopóki czegoś pan na nią nie znajdzie. Czegoś, co sprawi, że okaże się tak brudna, jak to jej miasteczko. Jeżeli uda się panu wygrzebać coś wielkiego, tym lepiej. Jeżeli wygrzebie pan tylko jakiś drobiazg, nic nie szkodzi, rozdmuchamy to do należytych rozmiarów. Proszę wywrócić wszystko do góry nogami...

Ja też to zrobiłam, pomyślała na marginesie Madeline, tylko z inną intencją. Robiłam wszystko w dobrej wierze, ona – w złej.

– Zapłacę, powiedziałam – ciągnęła Dell. – Zapłacę za wszystko. Poniosę wszelkie koszty. Choćby nawet siedział pan tam pół roku. Nieważne, jak wysoki wystawi mi pan rachunek. Zapłacę. Nieważne, czy co noc będzie pan brał sobie do pokoju dziwkę, czy będzie zama-wiał skrzynkę wódki. Zapłacę. Zapłacę każdą cenę. Jeżeli tylko coś pan na nią znajdzie. Nigdy jeszcze wydawanie pieniędzy nie sprawiło mi takiej przyjemności, jaką sprawi teraz. Niech pan pyta dokoła. Niech pan odnajdzie ludzi, z którymi chodziła do szkoły, sprawdzi lekarzy. Może kiedyś poroniła. Może w jej rodzinie ktoś miał syfilis. W dawnych czasach, kiedy był to wielki problem. Może ktoś był wariatem albo przestępcą. Proszę sprawdzić jej metrykę urodzenia, musi być w aktach, może z niej czegoś się pan dowie...

Niech pan coś na nią znajdzie. Nieważne co, niech pan tylko coś znajdzie!

Nawet podczas tej opowieści jej głos brzmiał okropnie, tak okropnie, jak Madeline jeszcze nie słyszała. To nie był głos, to była nienawiść wcielona.

Przemówiła znowu spokojniej:

– Jakies trzy miesiące po tym, jak tam pojechał, zadzwonił do mnie któregoś wieczoru. Na mój koszt, oczywiście. Gdy usłyszałam, co ma do powiedzenia, byłam w siódmym niebie. W najśmielszych wyobrażeniach nie spodziewałam się czegoś takiego. Miałam nadzieję, że znajdzie najwyżej trochę błota, którym będę ją mogła obsmarować. Zamiast tego znalazł całe bagno. Przetaczałam się po łóżku ze słuchawką przy uchu, aż zatrzymał mnie kabel. Wtedy zaczęłam toczyć się w drugą stronę, aż znowu byłam wolna.

Było tak, jakbym spuściła pomiędzy nich jakąś bombę. Rozrzuciła ich w przeciwnie strony na taką odległość, że już nigdy nie mogli się zejść, nie w tym życiu. Założę się, że od tamtej pory, kiedy tylko się gdzieś zobaczyli, uciekali od siebie, jakby ich diabeł gonił.

– Ale co? – spytała Madeline. – Co to było?

Dell spuściła wzrok, chytra i zadowolona z siebie.

– Już wystarczy – odrzekła kategorycznie. – Nic więcej na ten temat w tym domu ci nie powiem.

Któregoś kolejnego dnia, gdy była tam Madeline, zadzwonił telefon. Dell wstała i poszła go odebrać. Stał tuż za drzwiami. Madeline robiła swoje, wystukując pojedyncze dźwięki na klawiaturze i zapisując je na pięciolinii.

Po kilku szeptanych zdaniach czułości usłyszała, jak Dell mówi: – Znajoma. – Po czym dodała: – Oczywiście, że dziewczyna. Chyba nie myślisz, że zabawiam tu za twoimi plecami innych mężczyzn? Nie pociągnęłabym długo w ten sposób. – I mówiła dalej: – Co to znaczy: skąd masz wiedzieć? – Aż zakończyła: – Bo ja tak mówię, czy to nie wystarczy? – Nagle zawołała: – Mad, pozwól tutaj na chwilę!

Madeline wstała i podeszła.

Dell wyciągnęła w jej stronę rękę ze słuchawką, lecz jej nie wypuściła:

- Powiedz halo – poleciła.
- Halo? – odezwała się niepewnie Madeline.

Dell natychmiast cofnęła słuchawkę, tak iż Madeline nie miała możliwości usłyszeć, co padło w odpowiedzi. Powróciła do pianina.

- Zadowolony? – mówiła Dell. – Strasznie trudno cię przekonać.

Wróciła do Madeline po kilku chwilach, z urazą pokazując za siebie kciukiem.

– Ten gość! – burzyła się. – Straszny mam z nim kłopot. Zaczynam się bać wychodzić z nim na ulicę, bo nie daj Boże będzie przechodził mój agent i uchyli kapelusza albo minie nas kierownik klubu, rzucając krótkie „witam”, albo ukłoni mi się ktoś, z kim pracowałam gdzieś dziesięć lat temu. Tylko tyle wystarczy, żebym potem musiała przez cały wieczór się tłumaczyć. I nawet kiedy już przez to przejdę, on i tak wydaje się mi nie wierzyć. – Przyłożyła dłoń do policzka, jakby ją bolał, i zrobiła kilka krótkich kroków w tę i z powrotem. – Musiałoby mnie być cztery i wszystkie cztery musiałybyśmy pracować na dwie zmiany, żeby dopuścić się wszystkich tych zdrad, które mi zarzuca.

Madeline popatrzyła tylko na nią poważnie, słuchając przemowy. Nie zapytała, kto to taki, a Dell nie powiedziała. Domyślała się, że nie powiedziałyby, nawet gdyby ją zapytała, i był to jeden z głównych powodów, dla których tego nie zrobiła.

Kilka tygodni później, kiedy już miała włożyć klucz otrzymany od Dell do drzwi mieszkania, powstrzymała się, gdyż skądś w środku dobiegł chyba jakiś głos. Nastawiła ucho, ale dźwięk się nie powtórzył. Wrodzona ostrożność kazała jej jednak schować klucz i zadzwonić. Nie chciała, by ktokolwiek niepowołany wiedział, że ma w swoim posiadaniu ten klucz, choć sama nie umiałaby powiedzieć dlaczego. Ostatecznie doszła do wniosku, że nikomu nic do tego, że to sprawa tylko jej i Dell.

Głos Dell zapytał z drugiej strony drzwi kto tam. Brzmiał czujnie, ostrożnie, jakby Dell bała się odpowiedzi, którą może otrzymać.

- Mad – odparła Madeline.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Napięcie właśnie zniknęło z twarzy Dell, ustępując miejsca uldze. Mimo wszystko konspiracyjnie zniżyła głos.

– Nie mogę cię teraz wypuścić. To jedna z tych Ważnych Chwil. Rozumiesz, prawda?

– Ależ oczywiście. W porządku. Wpadnę lepiej jutro.

– Bardzo proszę.

Nagle rozbrzmiał męski głos: – Z kim tam rozmawiasz?

– To tylko znajoma – odparła Dell, nie odwracając głowy.

Dłoń większa niż jej chwyciła za krawędź drzwi powyżej miejsca, gdzie spoczywała dłoń Dell, i otworzyła je nieco szerzej. I wtedy na Madeline spojrzała twarz mężczyzny, lekko w bok od Dell i trochę wyżej.

Niekiedy widzisz jakąś twarz ze dwadzieścia razy, a potem ją zapominasz. Niekiedy widzisz twarz tylko raz, a potem we wspomnieniach możesz ją przywoływać co rusz, aż do końca swych dni.

Ta pozbawiona ciała twarz wyzierająca na nią teraz zza drzwi miała się stać jak bezoka maska, jedna z tych symbolizujących tragedię i komedię w teatrze, przyczepiona do kurtyny jej pamięci od tej chwili już na zawsze.

Ta twarz była kiedyś przystojna. Przystojność wyblakła już nieco, lecz regularność rysów wciąż odznaczała się pod powłóczką lat i doświadczeń. Ciemne, lśniące, śródziemnomorskie włosy i ciemne, lśniące, śródziemnomorskie oczy. Dołek w podbródku, który po latach golenia wyglądał jak sinawy, wydrążony w marmurze rowek.

Oczy jednak nie patrzyły tak, jakby dostrzegły w Madeline osobę. Jedyne to, że jest kobietą, a nie rywalem, nie intruzem. Nie obchodziło ich, czy jest szpetna, czy piękna, wysoka czy niska, gruba czy chuda. Były to oczy nienawiści, czystej zaborczości.

Twarz cofnęła się, nie rzekłszy ani słowa do żadnej z kobiet. Jednak to milczenie nie było oznaką spokoju, a tylko gburowatości.

Chwilę później dobiegł z mieszkania warkliwy głos: – Wracaj tutaj, kończ już to wymienianie przepisów na ciasto czy co tam robicie.

Dell powiedziała udreżonym szeptem: – Nigdy nie wpada bez zapowiedzi po południu. Nigdy. Dzisiaj jest pierwszy raz. – Po czym

dodała pospiesznie: – Cóż, lepiej już wróć, żeby mnie nie zrugał bardzo.

Madeline odeszła. Pomyślała sobie, gdzieś w tym tkwi jakiś dynamit.

Zdobywała informacje po trochu, lecz ważne, że stale je zdobywała.

- Jaka ładna bransoletka.
- Dostałam od Ange'a.

Dell była już tak wstawiona, że nie mogła jej zapiąć, nie kładąc najpierw ręki na toalecie i nie opierając się całą sobą o ten mebel, by powstrzymać kołysanie.

- To ten makler?
 - Nie, makler to Walter. Chodź tutaj, zobacz, może ty to zapniesz.
- Po czym innym razem, odbierając telefon, zawołała: – Witaj, Jack.

A kiedy wróciła, posłała Madeline znaczący uśmiech i z drwiną wskazała kciukiem za siebie. – Ange mnie sprawdza. Nie miał nic do powiedzenia, chciał się tylko przekonać, czy mnie na czymś nie przyłapie.

- Ale mówiłaś do niego chyba Jack.
- Tak ma na imię. – Dell zbyt była zajęta wrzucaniem lodu do szklanki, by zważać na to, co mówi. – W dawnych mafijnych czasach wołali na niego „Mały Angie”.

– Ach, to dlatego czasem mówisz na niego Ange. Podoba mu się, gdy tak się do niego zwracasz?

– A czemu miałyby się nie podobać? Tak się nazywa. – Dell spróbowała świeżego drinka. A raczej zostawiła go w szklance jak na spróbowanie, wypijając resztę. – Jack d'Angelo.

Jednego z nich więc już знаła.

Innym razem przy okazji takiej popołudniowej sesji zaczęła „zwierzać się” Dell. To znaczy, zwierzać się jej w temacie własnych finansów.

– Wiesz, Dell, tak się zastanawiałam. Mam odłożone trochę pieniędzy. Nie tyle, ile ty zdołałaś zgromadzić za sprzedawaną biżuterię. Ale nie mogę ścierpieć myśli, że leżą zwyczajnie w banku. Dają tam

marne trzy i trzy czwarte procenta. Myślisz, że dobrze bym zrobiła, inwestując je w te akcje, o których mi mówiłaś?

– Kotku. – Dell odradziła jej machnięciem ręki. – Nie dobierzesz się do nich, jeśli nie stoi za tobą naprawdę gruba kasa. W tej chwili giełda pnie się w górę jak szalona.

Madeline postarała się, by na jej twarzy odmalował się wyraz niepokieszenia, jak gdyby legły właśnie w gruzach wszelkie nadzieje na finansową niezależność.

– Ale czy wszystkie akcje stoją tak wysoko? Czy nie ma jakichś, które stałyby trochę niżej od innych?

Dell postanowiła być miłą, jak przyjaciółka dla przyjaciółki. Chciała się też troszkę popisać. Poza tym w grę nie wchodziła miłość, więc nic jej nie zagrażało.

– Zaczekaj chwilę – rzekła wielkodusznie. – Zadzwoń do Waltera i spytam. Załatwię to tak, by myślał, że pytam we własnym imieniu.

Budynek miał centralkę na dole, więc nie mogła wybrać numeru bezpośrednio.

Madeline słuchała uważnie.

– Siedem, cztery, dwieście. – Po czym: – Z panem Shillerem proszę.

Teraz miała też drugiego.

Wróciła do siebie i poprosiła o połączenie z numerem siedem, cztery, dwieście.

Odezwał się głos: – Warren, Shiller, Davis i Norton, słucham...

Odłożyła słuchawkę. Sprawdziła w książce telefonicznej i znalazła adres biura.

Usiadła, by napisać list. List o zdradzie.

Dlaczego do niego, a nie do tego drugiego? Ten drugi wydawał się lepszym kandydatem, lecz czy był nim w istocie? Może jej logika była wywrócona do góry nogami, lecz ona widziała to inaczej.

Był szaleńczo zazdrosny. Fakt. Żył dawniej z przemocy, a przynajmniej z tego, co nie do końca zgodne z prawem. Fakt. Wyłonił się z podziemnej dżungli, w której karanie śmiercią nie było niczym niezwykłym. Fakt.

Kiedy jednak już to wszystko wzięła pod uwagę, włączyła się jej wywrócona logika. Jako że z tych właśnie powodów wydawał się mniej prawdopodobnym kandydatem z nich dwóch. Nie miał wpływów, przynajmniej w powszechnie szanowanych instytucjach, które zaopiekowałyby się nim po wszystkim. Miał ciemną przeszłość, tak więc wszystko było przeciwko niemu. Nie ośmieliłby się zaryzykować swojej z trudem uzyskanej prawowitości, wychylając się w ten sposób.

Makler tymczasem był niezagrożony, szanowany, miał przeszłość bez zarzutu i zapewne wszelkie potężne wpływy w ważnych instytucjach i z powodu samej tej nietykalności wydawał się z nich dwóch znacznie bardziej gotowy podjąć takie kroki, jakich jego zdaniem ta zdrada jego osoby i miłości by wymagała.

Tak przynajmniej uważała Madeline, która zgłębiła teorię, ale nie praktykę.

To do niego zatem napisała.

List numer jeden: „Szanowny panie Shiller. To nie jest żaden ohydny anonim...” A właśnie że tak. Bo niby co to było?

List numer dwa: „Szanowny panie Shiller. Jako Pańska przyjaciółka uważam, że powinien Pan się dowiedzieć...” Przecież nie byli przyjaciółmi.

List numer trzy: „Szanowny panie Shiller. Nie mogę patrzeć, kiedy ktoś jest za plecami oszukiwany...” Co za fałsz! To, co robiła, było nawet bardziej obłudne niż to, co robiła Dell.

List numer ostatni: „Szanowny panie Shiller. Niektóre dziewczęta nie mają nawet jednego mężczyzny. Inne, takie jak Dell Nelson, mają dwóch w tym samym czasie. To dosyć niesprawiedliwe, nie sądzi Pan?”

Poszła do automatu ze znaczkami na korytarzu, wrzuciła monetę, wyjęła znaczek. Nakleiła go na kopertę i wsunęła ją do skrzynki. Postukała w nią nawet grzbietem dłoni, by mieć pewność, że list wpadł tam, gdzie powinien.

Wyrównywanie rachunków zostało rozpoczęte.

Od tej chwili wszystko poszło szybko.

Dell zadzwoniła do niej, a jej głos podszyty był zdenerwowaniem. Było to około piątej po południu nazajutrz.

– Jestem w opałach! – oznajmiła z tchem tak zapartym w piersiach, jakby właśnie wbiegła na dziesiąte piętro.

– Co się dzieje? – spytała Madeline, zaskoczona, ale nie za bardzo. Nie spodziewała się po prostu, że lawina ruszy tak szybko.

– Nie wiem. Ale nie podoba mi się to, jak mówił. Chyba zbyt długo grałam na dwa fronty. A teraz ty możesz odegrać pewną rolę. Musisz mi pomóc.

– Ja? A cóż ja mogę zrobić?

– Musisz interweniować.

– Co to znaczy?

– Musisz przyjść tutaj i być obecna. Bóg raczej wie, co on może zrobić. Może mnie pobić do nieprzytomności.

– Chwileczkę – przerwała jej Madeline. – To twoje życie. Nie mogę w nie wchodzić z butami tak z byle powodu. Przez cały czas się z nim kryłaś. A teraz, gdy potrzebujesz pomocy, nagle jest jak otwarta księga z zakładką znaczącą miejsce specjalnie dla mnie. Wielkie dzięki, nie skorzystam. – Nie mogła się jednak powstrzymać, by przy okazji nie spytać: – Który z nich dzwonił?

– Walter. To Walter zadzwonił. Był o coś zły. Jeszcze nigdy go takim nie słyszałam. Za każdym razem, gdy próbowałam go ugłaskać i powiedzieć coś miłego, naskakiwał na mnie i pytał: „Ilu innym mówisz to samo?”

– No to miałaś jakieś wyjście. Dlaczego nie odłożyłaś po prostu słuchawki i nie pozbyłaś się go w ten sposób?

– Bałam się. Nie chciałam go tak zupełnie stracić. Czasami oni nigdy nie wracają. Bywa tak, że można się dąsać i odgrywać nieprzystępną, a bywa tak, że trzeba zacisnąć zęby i milczeć.

– A co z klubem? Nie możesz się tam przed nim schronić?

– Jest poniedziałek. W poniedziałek nie występuję.

– No tak, zapomniałam.

– On też o tym wie.

– Może nie będzie tak źle – próbowała pocieszyć ją Madeline.

Dell wydała z siebie jęk wyrażający przecucie nieszczęścia. – Będzie strasznie. On należy do tych cichych. Znam go.

– Zaskakujące dla mnie jest nie to – snuła rozważania Madeline – że w końcu do tego doszło, ale to, że doszło do tego dopiero teraz, biorąc pod uwagę te twoje gierki.

– Nie potrzebuję teraz kazania – odparła Dell. – Potrzebuję kogoś, kto ze mną pobędzie, kogoś, kto stanie u mego boku.

– Zadzwoń może na policję, skoro tak się go boisz – powiedziała Madeline z nutą pogardy w głosie.

– Nie robi się tego, kiedy było się dla siebie nawzajem tym, kim my byliśmy. Jeśli kiedyś dowie się, że zadzwoniłam do przyjaciółki, z łatwością mi to wybaczy. Lecz gdyby dowiedział się, że zadzwoniłam na policję, tego nigdy by mi nie wybaczył. Wiesz, jak jest, moja droga.

Nie, pomyślała ponuro Madeline. Pewnie nie bywałam zaganiana w kozi róg tak często jak ty.

Madeline sama do tego doprowadziła, wszystko zmierzało do cudownej, idealnej katastrofy, a teraz została poproszona, by wkroczyła po raz drugi i broniła skóry swej potencjalnej ofiary.

– Musisz przyjść! Musisz! Jesteś jedyną przyjaciółką, jaką mam na tym świecie! Przypomnij sobie wszystko, co dla ciebie zrobiłam. Moje drzwi zawsze stały dla ciebie otworem. Mogłaś liczyć na poczęstunek. Korzystałaś z mojego pianina.

Wypchaj się ze swoim pianinem, pomyślała Madeline. Wyrażenia tego nauczyła się od tej właśnie osoby, do której teraz je kierowała.

– Zdoływałam nawet dla ciebie informacje giełdowe. A ty wypniesz się na mnie teraz, kiedy cię potrzebuję?

– No doooobrze – zgodziła się Madeline niechętnie, przeciągając samogłoski. – Powiem ci, co zrobię. Zadzwoń do ciebie za jakąś godzinę. Jeśli będzie się rzucał i nie będziesz mogła sobie z nim poradzić, to popędzę do ciebie, żeby cię wesprzeć. Jeśli wszystko będzie pod kontrolą, nie będę ci potrzebna. Co ty na to?

Pomyślała: Jeśli nawet wybawię ją od tego dziś wieczór, to któregoś innego wieczoru i tak się nie wywinie, skoro już raz ziarno podejrzenia zostało zasiane, a za drugim razem nie będę pod ręką, żeby ją ratować.

Dell omal nie skamlała z wdzięczności: – Dzięki ci, skarbie najdroższy! Och, dzięki! Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć, wiedziałam, że się nie zawiodę. Któregoś dnia odwdzięczę ci się tym samym.

A kto by cię tam potrzebował? – pomyślała z pogardą Madeline. Ja nie zabawiam się z mężczyznami na kopy.

– Mam nawet lepszy pomysł. Pamiętasz to futerko z kun, które tak ci się podobało, to, które dostałam od Ange'a? Jest twoje, daruję ci je w tej chwili.

Madeline wydała gardłowy dźwięk, który mógł być wzięty za wyraz wdzięczności, lecz naprawdę oznaczał drwinę.

– No, to świetnie, wykupię się teraz szybko i ubiorę. A ty zadzwoń do mnie za godzinę. Albo za godzinę i kwadrans, to da mi więcej czasu, żeby się ogarnąć.

– Tylko się nie upij – przestrzegła ją bez skrępowania Madeline. – Musisz teraz myśleć trzeźwo i wiedzieć, co robisz.

– Zrozumiano – odpowiedziała posłusznie Dell.

Nie minęły dwa miesiące, a Madeline zyskała nad nią przewagę. I to wyłącznie za sprawą siły charakteru. Przecież nie próbowała w żaden sposób, czy to czynnie, czy biernie, jej zdominować.

Nadeszła szósta. O tej właśnie godzinie obiecałam do niej zadzwonić, pomyślała Madeline, a jednak tego nie robię.

Wpół do siódmej, a ona jeszcze nie zadzwoniła. Może zwyczajnie pozostawić ją własnemu losowi? Niech wypije piwo, którego nawarzyła?

Za piętnaście siódma w końcu nie wytrzymała, podniosła słuchawkę.

– Emerson osiem, osiemnaście, zero, zero. – Po czym, gdy odezwał się telefonista w budynku Dell, powiedziała: – Osiemnaście A poproszę.

Telefonista odezwał się ponownie: – Nikt nie odpowiada.

O siódmej znów to samo: – Emerson osiem, osiemnaście, zero, zero... Osiemnaście A poproszę.

– Nikt nie odpowiada.

Piętnaście po siódmej po raz trzeci: – Nikt nie odpowiada.

Po chwili czy dwóch niezdecydowania zesłała na dół, wyszła na ulicę, wsiadła do taksówki i pojechała tam, by przekonać się, jaki sprawy przyjęły obrót.

Portier Dell był zajęty, pomagał zapakować się do taksówki dwóm frakom, jednym karakułom i jednym gronostajom. Stał do niej plecami, więc Madeline weszła do budynku bez jego asysty.

Wcisnęła guzik z numerem 18 w samoobsługowej windzie, a drzwi zasunęły się z cichym pomrukiem i pojechała w górę.

Wysiadła i zadzwoniła do drzwi. Nikt nie podszedł.

Zadzwoniła raz jeszcze, dźgając przycisk ze złością. Wciąż nikt nie podchodził. Najpierw wypłakuje mi się, błagając o pomoc, pomyślała urażona, a potem zamyka się i mnie ignoruje. Pewnie pogodzili się i poszli gdzieś razem na kolację.

Wyjęła klucz, który dała jej Dell, i otworzyła drzwi. Pomyślała, że może Dell zostawiła jej jakąś karteczkę z wyjaśnieniem na pianinie, jak to często robiły w minionych dniach wspólnej pracy nad piosenkami.

– Dell? – zawołała.

Nikt nie odpowiedział. Nikogo tu nie było. Nie było też żadnej karteczki z wiadomością na pianinie ani nigdzie indziej.

Dell wypila whisky z lodem – może jedną, może pięć, a może i dziesięć – w nieokreślonym czasie pomiędzy tym, jak się obudziła, a jak wyszła. W użyciu była tylko jedna szklanka. Dell nigdy nie zmieniała szklanek, kiedy piła sama, bo po co? Jej własne zarazki nie mogły jej przecież zaszkodzić. To jednak zdawało się dowodzić, że on wcale się nie pojawił.

Na pianinie stały nuty. Pewnie była to ostatnia rzecz, na jaką spojrzała przed wyjściem. Z jakiejś nieodgadnionej przyczyny do końca jej dni – tak długo jak pamiętała, że знаła kiedyś Dell Nelson – gdy

tylko zmrużyła powieki, tytuł tej piosenki miał zawsze stać Madeline przed oczami: „I niebo spuści na me serce swą kurtynę”.

Przed wyjściem zerknęła jeszcze do sypialni. Stanik, który Dell zdjęła zapewne przed kąpielą, leżał w nogach łóżka. Z miejsca, gdzie stała, Madeline mogła dostrzec wąski klin łazienki, a w nim zielononiebieski paseczek tuż za brzegiem wanny. Dell wychodziła w takim pośpiechu, że zapomniała spuścić wodę.

Madeline podeszła bliżej i zajrzała do środka. Woda stała tam, zielononiebieska, gładka i nieruchoma jak lód, oddawszy swą ciepłość powietrzu dookoła.

Pochyliła się i przyjrzała bliżej.

Dell wciąż tam była. Martwa.

Papieros, ostatni papieros, jakiego wypaliła, damski papieros ze śladem szminki na ustniku, wciąż leżał na brzegu umywalki, gdzie położyła go, wchodząc do wanny. Kropla wody z kranu nie pozwoliła mu wypalić się dalej jak do jednej czwartej.

Jej głowa spoczęła na dnie twarzą w górę. Mogła sama tam opaść lub mogła zostać wepchnięta, przytrzymana pod wodą. Mógł to być zawał serca, poślizg i upadek z uderzeniem głową o wannę, senność wywołana alkoholem w połączeniu z gorącą wodą, której skutkiem było utonięcie, lub mogło to być... zabójstwo. Madeline nie potrafiła stwierdzić.

Popatrzyła z bliska na dłonie. Ciągle jeszcze zwiślały luźno ponad krawędzią wanny; nie utonęły wraz z resztą ciała. Zatrzymały się na nadgarstkach. Tuż przy nich na emalii znalazły się dwie małe czerwone kropki, nie większe niż plamka po rozgniecionym komarze, i cieniutka strużka znacznie bledszej czerwieni, która spłynęła do wody. W samej wodzie nie było po niej śladu. Zbyt mało spłynęło krwi, by ją zabarwić.

Wiedziała już wszystko. To było morderstwo. Dell została przytrzymana pod wodą, aż się utopiła.

Madeline przykucnęła i przyjrzała się dokładnie dłoniom z odległości dosłownie paru centymetrów, niczego nie dotykając. Nie było na nich żadnych śladów, żadnych zadrapań czy zadraśnień. Obejrzała nawet spody dłoni, wyciągając się na podłodze i patrząc w górę.

Krew nie należała do Dell. Ale pod paznokciami wszystkich dziesięciu palców, tam gdzie kończył się lakier i powinno być widać odrobinę bieli, zamiast niej jawiła się cienka kreska zakrzepłej czerwieni. Podrapała kogoś, po twarzy albo po przedramionach, po rękach, walcząc o życie.

Madeline wstała na nogi i stała, patrząc na nią z góry. Patrzyła w te przerażone błękitne oczy, chłodniejsze teraz niż kiedykolwiek, wyglądające spod powierzchni zielononiebieskiej wody. Adelaide Nelson brała udział w grze na własnych zasadach i ją przegrała.

A jednak czy któraś z nas kiedykolwiek ją wygrała? – rozmyślała Madeline. To gra, w której nie sposób zwyciężyć. Jeśli śmierć nie odbierze ci żetonów, tak jak tutaj, to nadejdzie starość i sprzątnie ze stolika wszystkie twe zakłady z równą bezwzględnością. Może ona jednak najlepiej na tym wyszła. Przynajmniej zeszła z tego świata piękna. Wciąż dość atrakcyjna, by ktoś gotów był za jej urodę zabić.

Mężczyzna powinien umierać dzielnie. Kobieta – pięknie.

Odruchowy strach, który do tego momentu dziwnie powstrzymywała (pewnie przez gorączkowe podniecenie wywołane odkryciem), dopadł ją teraz, błyskawicznie mroząc krew w żyłach. Muszę się stąd wydostać, powtarzała sobie z wielkimi oczami. Co ja tu robię, stojąc tak, zwlekając? Ktoś może wejść.

Jej strach dotyczył nie tyle oskarżenia o popełnienie samego przestępstwa – prawdę mówiąc, to jej nawet nie przyszło do głowy – ile tego, że zostanie w to wplątana, udręczona do granic wytrzymałości. Będzie zatrzymana, bez końca przesłuchiwana, a co najgorsze, stanie się powszechnie rozpoznawalna, co uniemożliwi ewentualne wypełnienie misji, która na wypełnienie to wciąż jeszcze czekała.

Nie miała zamiaru w żaden sposób w tym uczestniczyć.

Pospieszenie wyszła z łazienki, wyszła z niej tak, jak ją zastała – szeroko otwarte drzwi, zapalone światło; przeszła przez sypialnię jak niema błyskawica. Później przez salon, zahaczając wzrokiem o to i owo, rejestrując z dziwną nostalgią pożegnalne migawki. Koniec z podlewaniem drinkami oleandra w doniczce. Koniec z liścikami zostawianymi

na pianinie. Zamiast tego wszystkiego pogrzebowa pieśń: *I niebo spuści na me serce swą kurtynę...*

Nasłuchiwała uważnie przez moment, po czym uchyliła drzwi i wyszła bokiem. Na korytarzu było pusto. Nie kłopotą się wycieraniem klamki. Zdawało się, że częściej robi się to w książkach niż w życiu, choć sama nie wiedziała dlaczego. Zresztą i tak po niej będą jej dotykały rzesze innych ludzi.

Wskaźnik nad windą pokazywał „0”. Kabina stała na parterze. Wcisnęła guzik i wciągnęła ją na górę. Wsiadła i wtedy wdusiła „1”, nie „0”. Miała szczęście, bo nikt nie dosiadł się przez całe siedemnaście pięter jazdy w dół. Nikt jej w tej windzie nie widział.

Wysiadła na pierwszym piętrze i zeszła spokojnie po schodach kończących się w holu obok windy. Widziała je nie raz, przychodząc tu i wychodząc. Przystanęła w niewidocznym miejscu, tuż przed ostatnim zakrętem, i zaczęła, aż nadarzy się okazja, by wyjść niezauważenie. Postanowiła wcześniej się nie ruszać, choćby nie wiadomo co, choćby miała tam stać dwie godziny. Wystarczyłoby, żeby ktoś zerknął na nią przypadkiem, by w najmniej spodziewanym momencie obróciło się to przeciwko niej i ściągnęło katastrofę.

Urządzenie holu nawet jej pasowało. Centralka, przez którą goście zapowiadani byli w różnych mieszkaniach, znajdowała się po drugiej stronie pomieszczenia, z dala od schodów. Wypełniając swoje obowiązki, portier stał do niej tyłem. Musiała jednak dobrze wybrać moment, by nie odwrócił się zbyt szybko i nie zauważył jej, gdy będzie wychodziła na dwór (wtedy nieuchronnie zacząłby się zastanawiać, skąd wyszła). Hol był długi i miała do pokonania znaczną odległość.

Portier był akurat na dworze, kiedy zeszła na dół. W tej sytuacji nie sposób było uniknąć zauważenia jej. Musiał wejść do środka z jakimś przybyszem i ustawić się do niej plecami.

Jako pierwszy zjawił się młody mężczyzna. Portier wszedł razem z nim.

– Do panny Fletcher – oznajmił młodzieniec. – Moje nazwisko Larkin.

Panna Fletcher szybko zaprosiła go na górę. Byli pewnie umówieni na kolację i czekała na niego. Niósł ze sobą przezroczyste pudełko z orchideą w środku.

Pojedynczy przybysz jej nie wystarczał. Zaanonsowanie go zajmowało zbyt mało czasu i zbyt szybko uwalniało portiera od obowiązków.

Zjawili się trio, dwaj mężczyźni i dziewczyna, przyszli po czwartą osobę, by stworzyć kwartet. Madeline już wykonała ruch, lecz odwaga ją opuściła; cofnęła się do kryjówki. Portier wyrzucił z siebie trzy nazwiska okropnie szybko. Zostałaby dostrzeżona w połowie drogi do celu, gdyby spróbowała.

Jeśli jednak czekasz dostatecznie długo na właściwą kombinację, to w końcu się jej doczekasz. Jeśli czekasz na właściwą pogodę, to w końcu taka się zrobi. Jeśli pracujesz nad sejfem dostatecznie długo, to w końcu się otworzy. Jeśli obstawiasz dostatecznie długo, to w końcu twój koń wygra.

Ludzie wchodzili i wychodzili. Nawet starsza pani na wózku inwalidzkim została wwieziona przez pielęgniarkę. Najwyraźniej lokatorka, bo nie została zapowiedziana.

Aż wreszcie się doczekała. Do budynku weszła cała grupa gości. W zasadzie było ich najwyżej pięcioro czy sześcioro, ale zdawali się wypełniać hol zgiełkiem głosów, ciągłym ruchem i beztróskim śmiechem. Wszyscy byli młodzi, tuż przed albo tuż po dwudziestce, i najwyraźniej wszyscy zostali zaproszeni na to samo przyjęcie, może urodziny, a może zaręczyny, bo większość chłopców niosła zapakowane prezenty.

Portier został osaczony. Zniknął w tłumie, a Madeline ze spokojem i pewnością siebie płynącą z zupełnej anonimowości zeszła po schodach i przeszła przez hol, nie wykonując choćby jednego nerwowego ruchu.

Akurat gdy mijała drzwi na dwór, usłyszała, jak portier oznajmia balowiczom:

– Siedemnaście A.

Po plecach przemknął jej dreszcz. Przyjęcie odbywało się pod mieszkaniem, w którym leżał trup.

Mając dość rozsądku, by nie stać przed budynkiem, ruszyła różnym krokiem ze spuszczoną głową, pragnąc uniknąć wszelkiej możliwości rozpoznania, do najbliższego rogu, gdzie przywołała taksówkę i wsiała.

Jeśli tylko nie urodziłam się pod naprawdę pechową gwiazdą, mówiła sobie, to ani żywa dusza nie widziała mnie wchodzącej ani wychodzącej z tego budynku. Przesądnie ścisnęła kciuki i trzymała je tak całą drogę.

Pierwsze, co zrobiła po powrocie do domu, to napiła się, żeby się uspokoić. Ona, która tak gardziła pijaństwem Dell. Ale to była terapia.

W głowie nie mieściło jej się, by mogła usiąść teraz przy stole i coś zjeść po tym, co niedawno zobaczyła. Chodziła w tę i z powrotem, bez końca chodziła w tę i z powrotem, czasami ściskając się za nos w kciukach oczu, czasami przykładając dłoń do szczęki, jak gdyby nękał ją ból zęba. Bo też nękał ją ból – ból sumienia.

Chodziło o coś więcej niż tylko widok zwłok – nawet zwłok przyjaciółki – i ona o tym wiedziała. Docierało to do niej powoli, lecz kiedy już dotarło, nie dawało spokoju.

Zabiłam ją. Zabiłam ją bez dwóch zdań, zupełnie tak, jakbym sama tam była i trzymała ją pod wodą zamiast tego mężczyzny. On był tylko narzędziem w moim ręku. Winna tej śmierci jestem ja.

A zatem w ten sposób uwalniam się od ciężaru śmierci Starr. Posuwając się do kolejnego, jeszcze gorszego zabójstwa. Takiego, które *naprawdę* jest zabójstwem. Oto, co osiągnęłam. Oto, co dla siebie zrobiłam.

Około dziesiątej – nie zauważyła, która dokładnie jest godzina, ale coś około dziesiątej – napiła się jeszcze. Po czym stanowczo odstawiła butelkę i przewróciła szklankę do góry dnem. Fatalnie było reagować tak na emocjonalny kryzys. W ten sposób wszystko tylko przybierało większe rozmiary, rozmazywało się, nie sposób było myśleć logicznie i łatwo było popaść w daleką od realizmu melancholię. Taka terapia pomagała tylko na wstrząs związany z widokiem ciała Dell, ale nie na cierpienie psychiczne i metafizyczne.

Drugi drink nic jej nie pomógł, ale przynajmniej przestała w końcu chodzić po pokoju i usiadła. Zorientowała się już, że rozbudza w sobie kolejne poczucie winy, tak jak po śmierci Starr. Tylko że tym razem miało być znacznie gorzej.

Z Dell nie było nic dobrego. Nie będzie jej światu brakować, mówiła do siebie. Ale nie miałam prawa jej zabijać. Nie mnie było ją sądzić, odpowiadała sama sobie.

Trwałoby to pewnie całą noc, nabierałoby tempa i gorączkowości, lecz nagle coś wdarło się w jej myśli i położyło kres takim rozważaniom. Mało tego: wyplenilo je zupełnie z jej ducha i z jej ciała.

Ktoś zadzwonił do drzwi, a kiedy podeszła i otworzyła, zobaczyła stojących tam dwóch mężczyzn.

– Panna Madeline Chalmers? – spytał jeden, uprzejmie dotykając palcem rónda kapelusza.

Był średniego wzrostu, a ten drugi nieco ponad to, a przy tym znacznie tęższy. Obaj należeli do tego typu ludzi, których nie sposób opisać już w minutę po tym, jak się ich zobaczyło. Chyba można by to nazwać zawodową niewidzialnością.

– Tak, to ja – odparła bezbarwnym głosem.

– Chcielibyśmy z panią pomówić. Możemy wejść?

– Nie teraz – odparła z niechęcią i odwróciła głowę. – Jestem bardzo zmęczona i nie mogę teraz przyjmować gości.

– Obawiam się, że będzie pani musiała, panno Chalmers – odparł grzecznie, lecz rzeczowo. – To sprawa policyjna. – Po czym pokazał jej stosowne dokumenty.

Tak szybko! – przeszło jej przez myśl. Niecałe trzy godziny – i już!

Najgorsze jednak było to, że poczuła, jak jej twarz blednie, gdy stała z boku, by ich wpuścić. To blednicie dało się niemal odczuć fizycznie jako naciąganie, napinanie się skóry.

Oni też to widzieli. Na pewno, a nie oznaczało to nic dobrego.

Usiadła pośrodku kanapy. Ten większy rozsiadł się obok, zwrócony twarzą do niej. Drugi przyniósł sobie krzesło i usiadł od niej na ukos. Utworzyli coś na kształt miłego, intymnego trójkąta. Tyle tylko, że jej nie było miło.

Zaczęło się od razu. Spokojnie, ale od razu, bez żadnych wstępów i bez przestanków. Każde pytanie brzmiało nieskazitelnie uprzejmie. Bardziej uprzejmie niż typowa rozmowa na prozzonej kolacji czy balu.

– Czy zna pani niejaką Adelaide Nelson?

– Owszem, znam.

– Jak dobrze ją pani zna?

Pierwszy haczyk, już przy drugim pytaniu.

– Trudno coś takiego dokładnie ocenić – wymigła się.

– Doprawdy, to nic trudnego. Zna ją pani dobrze czy nie zna jej pani dobrze?

– Znam ją średnio dobrze.

Uważaj teraz na każdy krok, ostrzegała się w duchu. Uważaj. Jedno niewłaściwe słowo i utkwisz w tym po szyję. Ci panowie to fachowcy.

– Jak długo ją pani zna?

– Poznałyśmy się we wrześniu.

– Około dwóch i pół miesiąca temu, czy tak?

– Około dwóch i pół miesiąca, zgadza się.

– Czy była pani kiedykolwiek w jej mieszkaniu?

– Tak, wielokrotnie.

– Bywała tam pani często czy raczej rzadko?

Portier widział mnie, jak wchodziłam i wychodziłam co rusz. Ciekawe, czy już go przepytawali. Co, jeśli opowiem „rzadko”, a on zezna inaczej?

– Na początku dosyć często, potem coraz rzadziej. – W zasadzie była to prawda.

– Czy istnieje jakiś powód tych coraz rzadszych wizyt? Czy wasze relacje się ochłodziły?

– Nie-ee – odparła ostrożnie po chwili namysłu. – To nie było zamierzone. Tak się po prostu czasem zdarza w... w... – przez moment nie mogła znaleźć słowa – związkach międzyludzkich.

– Jak pani poznała pannę Nelson?

– Wyszukałam ją. – Opowiedziała im o swoich kompozytorskich aspiracjach. – Wydawcy muzyczni nie chcieli ze mną rozmawiać, więc pomyślałam, że gdybym związała się z jakąś artystką, to może dokądś by mnie to zaprowadziło.

– Wykorzystywała panią? Czy to dlatego musiała pani tak często się z nią widywać?

Co oni kombinowali w tym momencie, czy próbowali dopatrzeć się zawiści w jej relacjach z Dell?

– Ależ skąd. Widzicie, panowie, była tak miła i pozwoliła mi korzystać ze swojego pianina. Nie mam własnego, przy którym mogłabym popracować.

– I zawsze była w mieszkaniu, kiedy ją pani odwiedzała?

Klucz! – pomyślała, ogarnięta paniką. Chodzi im o klucz! Mój Boże, ale się wrobiłam!

Na jej twarzy znów zagościła ta obciążająca bladeść. Jeden z nich wyciągnął rękę i przytrzymał ją za ramię. Nie było w tym chwycie zachęty ani życzliwości; służył jedynie podtrzymaniu. Jak wtedy, gdy chcesz uchronić kogoś przed upadkiem.

Bezczelne kłamstwo wydawało się najbezpieczniejsze, mimo że bardzo ryzykowne. Jej słowo przeciwko słowu portiera. Nie mogła sobie pozwolić na to, by „umieścili” ją w mieszkaniu samą. Bóg raczej wiedzieć, jakie niebezpieczeństwa mogłyby z tego wyniknąć.

– Zawsze. Bez wyjątku. Widzi pan, za każdym razem pamiętałam, żeby wcześniej zadzwonić i upewnić się, czy będzie w domu. Jeśli nie odbierała, po prostu tam nie szłam.

– A propos chodzenia tam, kiedy widziała się z nią pani ostatni raz?

Zmierzali do sedna, przestrzegła sama siebie. Uważaj.

– Niech pomyślę. Dziś mamy poniedziałek. Ostatni raz byłam tam w piątek, ponad tydzień temu.

– Nie chodziła tam pani dzisiaj?

– Nie.

– Nie zajrzała tam pani ani na chwilę?

– Nie, nie zajrzałam.

Widzisz, jak drżą? – pomyślała. Stąpasz po bardzo kruchym lodzie. Pierwszy raz zmusili mnie do tego, bym powtórzyła swe zaprzeczenie.

– A czy rozmawialiście przez telefon?

Oj, niedobrze. Czy centrala w hotelu prowadziła rejestr rozmów przychodzących, jeżeli zostały odebrane? Pewnie nie, ale któraś z telefonistek mogła pamiętać, że dzwoniła do niej kobieta. Głos Dell brzmiał tak gorączkowo, że mógł przykuć uwagę.

Nie chciała dopuścić do tak krytycznych skojarzeń. Było to zbyt niebezpieczne. A słowo „krytyczne” pasowało tutaj jak ulał. Zamiast tego zaryzykowała wierutne kłamstwo. Nie byli w stanie udowodnić, że dzwoniła Dell. Z całą pewnością nie mieli podsłuchu, skoro jeszcze za życia Dell jej rozmowami nie zajęła się policja.

– Nie.

Odezwał się ten wielki, niczym potężny, niemy tygrys lądujący na swej ofierze wszystkimi czterema łapami: – A kim była kobieta, która dzwoniła do pani około siedemnastej dziś po południu?

Z każdym słowem coraz bardziej się pogrążam, myślała z przerażeniem. Jak, na Boga, się o tym dowiedzieli? A może wcale się nie dowiedzieli, tylko strzelają w ciemno? Tak czy owak, musiała trwać w swoim kłamstwie, była już na nie skazana. Szukała desperacko. Fryzjerka? Sprawdź to. Krewna? Sprawdź. Pielęgniarka od lekarza? Nie była u żadnego lekarza.

– Pewna pani, z którą parę lat temu chodziłyśmy do tego samego kościoła. Straciła córkę, a ja byłam w tamtym czasie dla niej miła. Dziś właśnie minął rok od tej śmierci. To niejaka pani Bartlett. – Czy mogła sprawie, by zabrzmiało to bardziej wiarygodnie? – pomyślała zaraz.

Nie drążyli głębiej. To ciekawe, pomyślała. Czasami jakiś banał drażą i drażą, wręcz bez końca. A wtedy, gdy coś naprawdę istotnego czeka tylko, żeby to wydobyli, odstawiają fuszerkę. Może to dlatego, że są ostatecznie tylko ludźmi i głupotą jest tak się ich bać.

- Czy poznała pani kiedyś innych przyjaciół panny Nelson?
- Nie, ani jednego.
- Czy kiedykolwiek rozmawiała o nich z panią?
- Nie. Była strasznie skryta.

Czego tutaj próbowali się dopatrzeć, motywu zazdrości z jej strony, zazdrości o kogoś z mężczyzn?

– Czy słyszała pani kiedyś, jak rozmawiała z kimś z nich przez telefon?

– Raz czy dwa telefon zadzwonił, ale się nie przysłuchiwałam. Wszystko zagłuszyła muzyka.

- Czy pokazywała pani jakieś swoje rzeczy?
- Raz pokazała mi futro. I jakąś biżuterię.
- Nie zastanowiło pani, od kogo je dostała?
- To nie była moja sprawa – odrzekła świętoszkowato.
- Czy choć przez chwilę nie pragnęła pani, by należały do pani? – sprytnie podsunął tygrys.

Zerwała się na nogi, rozzłoszczona, po czym usiadła gwałtownie, nadal pałając furią.

– Co pan insynuuje? – spytała łamiącym się z wściekłości głosem.
– Że coś mi się spodobało? Że wzięłam coś bez pozwolenia? Tam stoi moja szafa. Niech pan idzie i zajrzy. Niech pan sam sprawdzi.

Ku jej kompletnej konsternacji, a potem absolutnej wściekłości, mężczyzna wziął ją za słowo, wstał i podszedł do szafy.

Kiedy wrócił, nie zważając na pioruny, jakie ciskała w niego wzrokiem, zwrócił się beztrząsco do swego partnera:

– Nie ma tam ani jednego futra.

Gdy jednak dostatecznie ochłonęła, rozumiała, dlaczego to zrobił. Nie spodziewał się tak naprawdę, że cokolwiek tam znajdzie. Była to taka psychologiczna sztuczka, żeby nią wstrząsnąć, zburzyć jej pewność siebie, jeśli się dało. Żeby umieścić ją na pozycji obronnej.

Miała wrażenie, że to ich przesłuchanie ciągnie się bez końca. Dawało o sobie znać zmęczenie, zwłaszcza że nie zdążyła nawet do końca otrząsnąć się z szoku wywołanego odkryciem zwłok. Dręczyło ją też przecucie, że nie wyszła z tej próby tak dobrze, jak powinna. Przede wszystkim, nie pytając już na początku, co właściwie stało się Dell, co byłoby naturalną reakcją każdego, kto znalazłby się w jej sytuacji. Powstrzymała ją prawdopodobnie przepojona winą świadomość, że już wie, i strach, że jakoś się z tym zdradzi, jeżeli w ogóle zapyta. Teraz było za późno, by takie pytanie zabrzmiało wiarygodnie.

– Czy dziś wieczorem wychodziła pani z hotelu?

Jak mogła zaprzeczyć? Windziarz, recepcjonista, odźwierny, wszyscy ją widzieli.

– Wyszłam około siódmej.

– I dokąd pani poszła?

Wsiadła do taksówki kilka metrów od drzwi. Zaryzykowała, mając nadzieję, że tych kilka metrów ją uratuje. Ponieważ taksówka oznaczała cel, bez celu się jej nie bierze.

– Donikąd. Poszłam po prostu na spacer. Potrzebowałam trochę ruchu i świeżego powietrza.

– Czy co wieczór chodzi pani na spacer o tej porze? Czy jest to w pani zwyczaju?

– Nie, dziś byłam pierwszy raz.

– I gdzie pani spacerowała? – padło z ust tygrysa, który stał się jej osobistym wrogiem.

– Po ulicy – warknęła.

Ten drugi wydał stłumiony gardłowy dźwięk i mruknął ledwo słyszalnie: – Jeden zero dla niej, Smicik.

– A co to była za ulica? – spytał słodkim głosem.

Wymieniła sześć po kolei. – Wystarczy? – spytała z przekąsem.

– Jak na spacer, tak – odparł, nieporuszony, insynuując: „O ile był to spacer, a nie był?”. – I wróciła pani o...

– Około ósmej.

Wiedziała, skąd to wszystko. Był to ten przedział czasu, w którym zamknęła się śmierć Dell.

– Kolację zjadła pani przed czy po?

– Ani przed, ani po. Obyłam się dzisiaj bez.

Tygrys mruknął: – Czy stało się coś, co sprawiło, że straciła dziś pani apetyt?

Tym razem nie wytrzymała. – Wtedy nie. Ale teraz tak.

I posłała mu piorunujące spojrzenie, którego oszczędziła jego partnerowi. Doprowadzał ją wprost do szafu, co nie służyło najlepiej prześluchiwanej osobie.

Nagle podniósł się i jakby to był umówiony sygnał, podniósł się też ten drugi.

Madeline wydała długie, nieskrywane westchnienie ulgi i opuściła bezwładnie głowę na oparcie kanapy. I w tej chwili usłyszała:

– Przykro mi, ale będzie pani musiała nam towarzyszyć.

Jej głowa wyprostowała się gwałtownie. – Ale dlaczego? – jęknęła płaczliwie. – Czy nie odpowiedziałam na wszystkie panów pytania?

– Owszem – odparł krótko.

– Czy nie odpowiedziałam na nie zadowolająco?

– To to już pani wie najlepiej. – To znaczy, czy odpowiedzi są prawdziwe, czy nie.

Ten drugi, stojąc przy drzwiach, spytał: – Idziemy, Smicik? – lecz ona wiedziała, że chodzi mu raczej o nią niż o partnera.

– Panna Chalmers przodem – odrzekł znacząco i zamknął koro-wód.

Nie mogła zapanować nad drżeniem, kiedy szła pomiędzy nimi długim, wyłożonym chodnikiem korytarzem hotelowym, który wydawał się ciągnąć kilometrami.

– Okropnie się czuję – wyszeptwała lękliwie. – Nigdy nie prowadzono mnie jeszcze w policyjnej eskorcie.

– Nie? – rzucił lakonicznie ten Smicik.

Kryształowe żyrandole, lustra po bokach, fotele z haftowaną tapicerką. Konsola przeznaczona co najwyżej na zaproszenia i podziękowania. Nie chodziło się tędy w towarzystwie dwóch śledczych, kiedy miało się coś wspólnego z jakimś przestępstwem. Zmierzając na ich polecenie do wyznaczonego przez nich miejsca. Chodziło się tędy w futrach, z brylantami na palcach i szyi, mając u stóp cały świat. Jedyne, co mogło cię tu zaboлеć, to może palec u nogi, gdybyś szła w przyciasnych włoskich pantoflach.

I wtedy, zdecydowanie poniewczasie, w końcu spytała:

– O co właściwie chodzi? Co jej się stało?

– Czy nie powinna pani była zapytać o to wcześniej?

– To mogło być cokolwiek, skąd miałam wiedzieć? – broniła się. – Ona dużo pije. Czasem, jak ktoś jest pijany, może rzucać na innych najprzeróżniejsze oskarżenia.

– Najgorsze zaś wtedy – odrzekł – kiedy nie żyje.

– Nie żyje? – sapnęła przerażona, i miała tylko nadzieję, że dobrze jej to wyszło.

– Oskara to pani nie zdobędzie. – Posłał jej takie spojrzenie, jakie posyła się kotu, który właśnie uciekł przed deszczem. Jest przemoczony i brudny, lecz jest ci go żal, masz serce. Chcesz nawet dać mu miskę mleka.

Przejście z hotelu na ulicę i do samochodu dokonało się w zasadzie bezboleśnie. Nikt się za nią nie obejrzał, a jeśli nawet, to zobaczył jedynie ładną dziewczynę w towarzystwie dwóch młodych mężczyzn w garniturach. Zatrzymanie przez policję byłoby ostatnim skojarzeniem, jakie przyszłoby komukolwiek do głowy na widok jej kołyszących się swobodnie, z wdziękiem ramion.

Samochód był nie oznakowany. A przynajmniej nie był to żaden z tych typowych czarno-białych radiowozów. Jadąc nim w ich towarzystwie, próbowała analizować własne odczucia. Strach właściwie był minimalny. Doświadcziała jednak innego rodzaju dyskomfortu. Po raz

pierwszy w życiu czuła się nieporadna, skrępowana, niepewna siebie. Chyba to dlatego, że wszelka inicjatywa należała teraz do nich; nie była już dłużej panią samej siebie.

Na posterunku wprowadzono ją do pustego pokoju i zapytano tak uprzejmie, jakby była tutaj gościem, czy zechce chwileczkę poczekać.

– Zaraz do pani wracamy – obiecał jeden z nich, kiedy obaj znikali w drzwiach obok tych, przez które właśnie weszli.

Pokój był przygnębiający, ale nie jakoś szczególnie złowieszczy czy groźny. Ściany pomalowano do połowy na paskudną ciemną zieleń, a powyżej zostawiono biały gipsowy tynk. To, dlaczego zieleń kończyła się w tym akurat miejscu, stanowiło zagadkę. Zabrakło pewnie farby albo pieniędzy. Albo ktoś ukradł drabinę malarską. Okno miało staromodne proporcje okien sprzed sześćdziesięciu lat, było wysokie i wąskie. Szyby zabezpieczono wtopioną w nie drucianą siatką. Nie była w stanie pojąć po co – przecież chyba nikt nie byłby tak głupi, żeby rzucać kamieniami w okno komisariatu, prawda? Wychodziło ono – to akurat okno – na podwórze i na tył czarnej od sadzy kamienicy. W niektórych jej oknach widać było ludzi zajętych codziennymi sprawami, nie zwracających najmniejszej uwagi na to miejsce kaźni po drugiej stronie podwórza, tak przywykli do niego przez lata sąsiedowania. Przynajmniej mogło to świadczyć o tym, że podejrzani nie byli bici czy w inny sposób poniewierani w tych pomieszczeniach na tyłach komisariatu. Chociaż... czy rzeczywiście? Lokatorzy kamienicy mogli uodpornić się także i na to.

W pokoju stało też kilka obdrapanych i poobijanych krzeseł ustawionych w rzędzie pod ścianą oraz stolik, tak samo obdrapany i tak samo poobijany, z całym mnóstwem śladów po gaszonych papierosach znaczących mu brzegi, i tak samo stojący pod ścianą.

Madeline odwróciła głowę, a do pokoju weszła kobieta w mundurze, strażniczka. Skinęła do niej grzecznie, acz obojętnie, i usiadła na jednym z krzeseł, rozłożyła gazetę i zatopiła się w lekturze.

Madeline odkryła, że jej obecność wywołuje w niej wielki niepokój. Zdawała się zapowiadać czekające ją brutalne przesłuchanie, może nawet uwięzienie; obecność strażniczki była konieczna w świetle przepisów, jako że zatrzymana sama była kobietą.

Jak gdyby czytając w myślach Madeline, strażniczka mruknęła zyczliwie, nie odrywając wzroku od gazety:

– Spokojnie, kotku. To pewnie rutyna. Będzie po wszystkim, zanim się obejrzysz. – Nagle, jakby znalazła coś, czego szukała, wykrzyknęła: – Waga! To ja! Zobaczymy, co mnie dzisiaj czeka.

Co ją czekało, jednak nie zostało już powiedziane, gdyż w tej chwili znowu otworzyły się drzwi i wrócił Smicik ze swoim kolegą i jeszcze dwójką innych, z czego jeden miał gęste siwe włosy i najwyraźniej przewyższał rangą wszystkich pozostałych. Drugi zaś był tylko stenografem; Madeline zauważyła, że przyniósł ze sobą notes z kartkami poprzekładanymi kalką.

Nieoczekiwanie została przedstawiona kapitanowi, co zdjęło znaczny ciężar z czekającego ją przesłuchania i przywróciło jej częściowo pewność siebie. Osoba, która ma zostać aresztowana, zazwyczaj nie jest wcześniej oficjalnie przedstawiana oficerowi, który ma ją aresztować, ani jego przełożonym.

– Panie kapitanie, to panna Chalmers. Kapitan Barry.

Podał jej nawet rękę, a gdy ona podała swoją, przytrzymał ją chwilę, jakby żał mu było się z nią rozstać.

Stolik odsunięto od ściany, by ze wszystkich stron był do niego dostęp, i ustawiono krzesła, po czym wszyscy usiedli, łącznie z Madeline, która poszła za milczącym skinieniem głowy mniejszego z dwóch policjantów z hotelu, tego nie-tygrysa, i też zajęła jedno z krzeseł. Wierzchnie kartki z notesu stenografa zaszeleściły wstępnie, kiedy przewracał je, by dotrzeć do pierwszej czystej.

Strażniczka pozostała pod ścianą, pochłonięta lekturą szmatławca, jakby o bożym świecie zapomniała.

Cały koszmar zaczął się od nowa z tą różnicą, że było ich trzech zamiast dwóch. (I że znacznie skróciła się odległość do celi, od której to smutnej myśli nie mogła się opędzić Madeline). Siłą rzeczy znaczna część pytań, które jej zadawano, była powtórką tych, które padły w hotelu. Nie stanowiło to zagrożenia samo w sobie. Miała doskonałą pamięć. Pamiętać zaś musiała, by cały czas zaprzeczać trzem wciąż tym samym rzeczom: posiadaniu klucza do mieszkania Dell, wiedzy o dwóch mężczyznach w jej życiu i tej ostatniej rozmowie telefonicznej, kiedy Dell prosiła ją o pomoc na godzinę przed śmiercią.

Przesłuchanie zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Były chwile, gdy przypominało jej pojedynek na szpady, kiedy musiała odpierać ich ataki i uchylać się przed zadawanymi ciosami. Były też takie chwile, kiedy cała trójka niby to dyskutowała, niby to szukając prawdy.

Oczy kapitana, gdy napotkały jej oczy, błyszczały po ojcowsku. W domu czeka na mnie córka w twoim wieku, zdawały się mówić. A ona wiedziała, jak łatwo byłoby dać się tym oczom utulić, uspokoić, pod ich spojrzeniem się rozluźnić, lecz czuła jednocześnie, że właśnie na taką jej reakcję kapitan czeka. Nie mogła sobie pozwolić na uśpienie czujności, choćby nie wiadomo jak czule patrzył na nią jakikolwiek mężczyzna.

Wzięła się w garść i grała swoją rolę dalej.

Jakiś posterunkowy, trochę później, wetknął głowę i oznajmił: – Kapitan Barry mówi, że panna Chalmers w każdej chwili może iść do domu.

Z miejsca poderwała się na nogi, pragnąc, by owa „każda chwila” była właśnie teraz.

Jeden z tamtych rzekł: – Dobranoc. Mam nadzieję, że nie potraktowaliśmy pani zbyt brutalnie.

Wiedziała, że powinna odpowiedzieć. Nie miała ochoty, ale odwzajemnianie uprzejmości to nawyk, z którym trudno zerwać. – Panom też życzę dobrej nocy – powiedziała bez odrobiny ciepła.

Zamknęła za sobą drzwi. Zaraz jednak otworzyła je znowu i wetknęła głowę do pokoju, pytając:

– Czy nie zostawiłam tam, przy stoliku, swojej torebki?

Smicik spojrzął na krzesło, które przed chwilą zajmowała, i pokręcił głową. – Nie widziałem, by pani ją miała, gdy opuszczaliśmy hotel. Chyba wyszła pani bez torebki.

Przyłożyła dłoń do czoła pomiędzy oczami. – I jak ja teraz zapłacę za taksówkę? – wypaliła bez namysłu. Sekundę później uświadomiła sobie, że może przecież za nią zapłacić hotelowa recepcja.

Kolega Smicika jednak, który wydawał się porządniejszym człowiekiem z nich dwóch, już sięgał do kieszeni.

– Pożyczę pani – zaproponował.

Ku swemu zdumieniu zobaczyła, że Smicik podnosi rękę, by go powstrzymać. Nie miała pojęcia dlaczego.

Odrzucił się do niej i rzekł: – Podrzucę panią, jeśli zechce pani czekać na mnie parę minut przy dyżurce. O dwunastej kończę służbę.

Wolałaby, aby ta propozycja wyszła od kogoś innego, ale ferwor walki minął, a wraz z nim jej uraza. Była zbyt zmęczona nawet na to, by nie lubić go nadal tak serdecznie jak przedtem.

Usiadła na ławce. Sierżant z dyżurki przyglądał się jej z zaciekawieniem, lecz w końcu zajął się własnymi sprawami.

Z „paru minut” zrobiło się dziesięć, przeszło dziesięć, piętnaście, przeszło piętnaście, dwadzieścia. Znowu zaczęła się w środku gotować. Nosiło ją, ale tkwiła uparcie na ławce. Cały czas miała nadzieję, że wydobędzie z niego jakąś podpowiedź, na czym tak naprawdę w tej sprawie stoi. „Panna Chalmers w każdej chwili może iść do domu” nie pewnego tak naprawdę nie znaczyło. Musiała wiedzieć: była podejrzana w tej sprawie czy nie?

Gdy wreszcie wyszedł do niej dwadzieścia po dwunastej, pogorszył jeszcze i tak już przykrą sytuację, klepiąc się z przerażeniem w czoło i wykrzykując:

- Na śmierć o pani zapomniałem!
- Właśnie widzę – odrzekła chłodno, podnosząc się z ławki.

Posłała mu tak ostre spojrzenie, że gdyby przesunął palcem przed jej oczami, mógłby się dotkliwie skaleczyć.

Wsiedli do tego samego wozu, którym została przywieziona, lecz tym razem zdążyła się upewnić, że nie jest w żaden sposób oznakowana.

– Kapitan wezwał nas w ostatniej chwili na odprawę – oznajmił, ruszając. – To mnie właśnie zatrzymało.

Zastanawiała się, czy miało to związek z nią i czyby jej odpowiedział, gdyby o to zapytała. Zanim zebrała się na odwagę, jakiś nerwowo kierowca na sąsiednim pasie ruszył na skrzyżowanie, zanim zmieniło się światło.

– Czekaj na światła, koleś. Od tego są – warknął niskim głosem Smicik.

Mężczyzna zatrzymał się, obejrzał i popatrzył na niego. Madeline wstrzymała oddech, pamiętając, że samochód nie ma oznaczeń. Wreszcie

mężczyzna znowu spojrzął przed siebie i odjechał, tym razem jak należy. Nie wiedział nawet, jak niewiele brakowało, pomyślała. Jedno niewłaściwe słowo i...

Gdy dotarli do hotelu, Smicik wysiadł, zamknął za sobą drzwi, obszedł wóz i otworzył drzwi po jej stronie. Nim spostrzegła się, co robi, zamknął także za nią i oboje byli już poza autem.

– Pozwoli pani, że wejdę na chwilę? – spytał niepewnie.

Obróciła się szybko i stanęła z nim twarzą w twarz. – Nie sądzi pan, że mam dość jak na jeden dzień? Nie sądzi pan, że mogę być zmęczona? Czy kapitan nie mówił, że mogę iść do domu?

– Jest pani w domu – odparł.

– Tak, ale chcę w nim być sama, bez żadnego... – zmierzyła go pełnym urazy wzrokiem – ...nadzoru.

– Jestem po służbie.

– Pan *nigdy* nie jest po służbie. Założę się, że nie przestaje pan podpuszczać ludzi, nawet kiedy pan śpi.

– Zostanę tylko chwilę. Nie mógłbym napić się kawy? – Po czym przypomniał jej: – Ja przecież kupiłem pani kawę.

– A teraz chce pan odzyskać swoje dziesięć centów, o to panu chodzi? A zatem proszę bardzo. – Pod nosem zaś mruknęła: – Mam nadzieję, że udławi się pan nią...

– Postaram się – odparł usłużnie i podążył za nią do budynku.

Na górze włączyła urządzenie w aneksie kuchennym, naląła wodę i nastawiła, po czym przeszła do pokoju. Rzuciła się na kanapę z jękiem autentycznego wyczerpania, nie zdejmując nawet płaszcza.

– Nic dziwnego, że ludzie pod czymś takim pękają w końcu. To znaczy, ci winni.

Odszedł od okna i usiadł nieproszony, jakby to było miłe spotkanie towarzyskie. – A wie pani co? Ci niewinni pękają szybciej niż ci winni. Nie odczuwają tak desperackiej konieczności obstawania przy kłamstwach.

– Dlaczego on podał mi rękę? Kapitan. Zwykle nikt nie wita się tak z ludźmi przyprowadzanymi na przesłuchanie, prawda?

– Poznał pewnie, że nie jest pani taka zła – odpowiedział gładko.

- Nie, on chciał przyjrzeć się moim dłoniom.
- Zgadła pani – przyznał z chytrym uśmiechem.

Sięgnęła po papierosa z papierośnicy dla gości, umyślnie nie proponując jemu. A kiedy podał jej ogień, też udawała, że tego nie widzi.

– Nie może pani znieść mojego widoku, prawda? – rzekł spokojnie. – Ale gdyby kobieta, która straciła życie, była pani siostrą, traktowałyby mnie pani inaczej. Wówczas byłaby to moja powinność, mój obowiązek. Byłbym zbyt pobłażliwy, gdybym każdemu podejrzanemu nie połamał ręki co najmniej w trzech miejscach.

– Cóż, to nie była moja siostra. I Bogu dzięki. – Wstała i poszła zająć się wodą na kawę. – Jaką pan pije? – spytała gniewnie.

– Jakąkolwiek.

Chętnie nalałabym ci czegoś innego, pomyślała złośliwie.

Zachichotał, gdy wróciła z dwiema filiżankami. – Założę się, że wiem, co pani sobie wtedy pomyślała.

– Więc inwigilacji podlegają nawet moje myśli.

– Och, niech pani nie traktuje tego tak poważnie – rzekł ze znużeniem. – Dziewczyna bez poczucia humoru jest nudna. – Jednym haustem wychylił pół filiżanki. Był w stanie to zrobić, bo miał bardzo dużą gębę – i bardzo wyszczekaną, dorzuciła w duchu.

– Jak właściwie wplątała się pani w znajomość z kimś jej pokroju? – spytał, wpatrując się w swoją kawę, jak gdyby próbował się zdecydować, czy zostało jej dość na jeszcze jeden porządny łyk.

– Dwa razy już to przerabiałam. Myślałam, że pomoże mi zaistnieć jako twórczyni pio...

– Och, niech pani już da spokój – powiedział znacząco. – Pisanie piosenek interesuje panią nie bardziej niż moja... – zmienił słowo, którego pierwotnie chciał użyć, mówiąc: – ...lewa ręka. Założę się, że nawet dwóch nut nie potrafi pani sklecić. To, co jej pani pokazała, zostało pewnie ściągnięte z czegoś, co ktoś inny napisał i opublikował. Wziąłem do ręki jedno z tych pani dzieł, które były w jej mieszkaniu. Tak się składa, że któryś z obecnych tam policjantów umiał grać na pianinie. Prawda jest taka, że ślady po szklankach z whisky na pięcioliniach tworzyły sensowniejszą melodię niż pani nuty. Wiem, że to dziwne grać na pianinie przy trupie w mieszkaniu, ale jeśli *to* jej nie obudziło,

to mogliśmy być pewni, że nie żyje. Połowa chłopaków zatykała sobie uszy, błagając go, żeby przestał, zanim jeszcze dobrnął do końca...

– Proszę mówić dalej – rzekła z zabójczą uprzejmością. – Coś jeszcze?

Spostrzegł, jak Madeline zerka na to, co trzymała w dłoni. – Proszę nie rzucać. Skutkiem może być koszmarnie poparzenie.

Odstawiła parującą filiżankę na bok, jakby chciała mieć pewność, że nie straci panowania i jednak w niego nie ciśnie.

– Cóż, jeśli o mnie chodzi, to myślę – ciągnął bardziej na poważnie – że jest pani jedną z tych osób, które próbują uszczęśliwić świat. Czuje się pani winna jakiegoś prawdziwego lub wymyślnego zła, które we własnym mniemaniu pani wyrządziła, i usiłuje pani je po swojemu naprawić, zadając się z takimi jak ta cała Nelson.

Chociaż prawie się nie poruszyła, to wrażenie miała takie, jakby otrzymała ogłuszający cios, który rzucił ją plecami na ścianę.

Zaledwie cztery godziny temu zobaczył ją pierwszy raz na oczy, a już znał ją tak dobrze! Cały czas kręciła lekko głową. Nawet łzy wzbierały jej w oczach, ale nie popłynęły. Łzy zdumienia, łzy upokorzenia. Pomyśleć, że ktoś ją tak rozgryzł!

Ciekawe, czyjego koledzy zdawali sobie sprawę, kto z nimi pracuje w osobie tego człowieka, jeśli chodzi o instynkt, intuicję i zdolność rozpracowywania ludzkiej natury. Wszystko to u śledczego było równie ważne, jeśli nie ważniejsze niż znajomość technik detektywistycznych i zabawa w kotka i myszkę. Miał wrodzony talent do tego zawodu.

A przy tym wszystkim ten sam człowiek, zdążyła się już o tym w jakimś stopniu przekonać, po służbie potrafił być hałaśliwy, frywolny, nie obojętny na niewybredne żarty, miał duszę młodzieniaszka, czasem bezmyślnego czy wręcz niemądrego.

Jednakże wiele elementów, jak sobie uświadomiła, składa się na kompletnego człowieka.

Wrócił znowu do sprawy. – Ta sztuczka z zasłonką w łazience, zaciągniętą, by spróbować ukryć fakt, że jest w wannie... to było bardzo głupie – stwierdził w zadumie. – Gdy tylko ją zobaczyłem, wiedziałem, że miał miejsce akt przemocy. Osoba biorąca prysznic zaciąga zasłonkę,

żeby woda nie chlapała na podłogę, lecz osoba biorąca kąpiel nigdy tego nie robi.

– Ta zasłonka... – nie była zaciągnięta. Zamilkła w samą porę. W przerwie na oddech pomiędzy dwoma słowami. Ta zasłonka... – ona mogła zostać zaciągnięta przez nią samą, kiedy poczuła przeciąg, na przykład. – Tylko ta nieco przydługa przerwa między słowami...

Ale on był śledczym. I to jakim śledczym! – Wiedziałem, że pani tam była – ucieszył się. – W każdym razie przez cały czas miałem mocne przeczucie. I teraz wiem na pewno. Bo usłyszałem to, czego pani właśnie *nie* powiedziała.

– A zatem to się ciągnie dalej! – wybuchła. – Czy po to pan tutaj przyszedł?

Podniósł się. – A czemu nie? Tak dla własnej satysfakcji. Nie mogłem wyciągnąć tego z pani, kiedy się pani pilnowała. Pomyślałem, że może mi się uda, gdy będzie pani bardziej rozluźniona, gdy uśpi pani czujność.

Popatrzyła za nim, a on otworzył już drzwi i miał wyjść – bez niej.

– Czy to, że uważa pan, iż byłem tam wieczorem, włącza mnie z powrotem do sprawy? – spytała.

– Nie ma już żadnej sprawy – odparł – do której moglibyśmy panią włączyć. Sprawa jest zamknięta. Była zamknięta, już kiedy wychodziliśmy z posterunku. To mnie właśnie zatrzymało.

– Ale kto to... kto to był? – wołała za nim.

On już jednak zamknął za sobą drzwi i wyszedł.

Radio podało informację dopiero dwadzieścia godzin później. Najpierw pojawiła się w wiadomościach o ósmej wieczorem i była powtarzana co pół godziny przez całą noc. Innymi słowy wydział zabójstw musiał celowo wstrzymywać się z ujawnieniem czegokolwiek, dopóki nie zyskano pewności, że nie będzie mowy o żadnej pomyłce. Smicik powiedział jej, że sprawa jest zamknięta, już o wpół do pierwszej minionej nocy. Ale to było, jak to się mówi, nieoficjalnie.

To właśnie zamknięcie sprawy mroziło jej krew w żyłach, przerażało ją bardziej niż wiadomość sama w sobie. Sprawa morderstwa pojawiała

się w serwisach informacyjnych przez cały dzień, lecz bez żadnych konkretów na temat aresztowania. Słuchała i słuchała, zmieniając stacje, lecz stale słyszała to samo, zmieniały się tylko wyświechtane określenia. „Wspaniała artystka klubowa” znaleziona martwa w wannie. „Piękna gwiazda rozrywki” znaleziona martwa w łazience. „Nieziemska piosenkarka klubowa” zamordowana. „Sława nocnego życia” odkryta bez życia w kąpieli.

– Utopiona lafirynda – podsumowała wszystko Madeline z obcesowością, której nauczyła się od samej Dell.

Przez cały dzień nie jadła. Przez cały dzień nie wychodziła z pokoju, bo tam było radio. Dlaczego jej to powiedział? Czy żartował? Ale dlaczego miałby sobie z niej żartować? Odniosła wrażenie, że nie ma w zwyczaju żartować na temat prowadzonych spraw, zwłaszcza z osobami postronnymi. A zatem na co czekali, co ich wstrzymywało?

Dwanaście razy usłyszała, że jakiś pies w jakiejś kapsule okrążył po orbicie Ziemię, i nie mogło jej to mniej obejść. Dwanaście razy zacytowano słowa senatora Jakiegoś tam, lecz nie zainteresowały jej nawet za pierwszym razem. Dwanaście razy podano dokładną lokalizację huraganu Hilda. Dwanaście razy Kuba, Kongo, Algieria, Wietnam i cała ta farmakopea chorych i cierpiących lat sześćdziesiątych zostały wymienione od A do Z i z powrotem. I dwanaście razy biedna Adelaide Nelson utonęła w wannie, aż na wiadomości o jej śmierci nie została dosłownie jedna sucha nitka.

Wiadomości radiowe były jak krążące wokół Madeline latające spodki, odlatywały i wracały.

Aż wreszcie nadeszła i ta. Nadeszła i przeszła, i było po wszystkim.

– Dokonano aresztowania w sprawie zabójstwa Adelaide Nelson. Zatrzymany został mężczyzna o nazwisku Jack d'Angelo, który jest obecnie przesłuchiwany przez policję.

Wykrzyknęła na głos, wyszło to z niej z tak druzgocącą gwałtownością:

– Mój Boże! Mają niewłaściwego człowieka! Przecież wysłałam list do Shillera!

Minęło trzydzieści minut. Nie odchodziła od radia. Omal nie podniosła go i nie potrząsnęła niczym spóźniającym się zegarkiem, by tylko

szybciej wydobyć z niego tę informację. Tym razem zmienili kilka słów:

– ...i przez większą część dnia był przesłuchiwany.

A za następnym razem:

– Policja jest przekonana, że ma właściwego człowieka.

I za następnym:

– Został postawiony w stan oskarżenia i osadzony w areszcie...

A potem raz za razem:

– ...jedno z najszybciej przeprowadzonych w historii wydziału policji. Od znalezienia ciała nie zdążyła upłynąć nawet doba.

Zbyt szybko, pomyślała, wzdrygając się. To śledztwo przeprowadzono zbyt szybko.

I już trzymała w dłoni słuchawkę.

– Posterunek czterdziesty piąty – odezwał się męski głos.

– Czy jest tam ktoś o nazwisku... hm... zdaje się, że to było Smith?

Głos zarechotał, pewnie z sympatii albo dlatego, że był zmęczony, przez cały dzień odbierając tylko drętwe służbowe telefony.

– Ach, sam On. Ten cichutki. Jak myszka. John Francis Xavier Smith. Tak, znamy tu jednego takiego.

Jakoś jej to nie rozbawiło. Przecież bycie zawodowym śledczym, zastawianie pułapek na ludzi, stosowanie na nich sztuczek, łapanie za słówka, posyłanie ich na śmierć na oczach publiki (zamiast w odosobnieniu) nie oznaczało jak dla niej nic innego jak przerost okrucieństwa i skłonności do dręczenia, których można się dopatrzeć w niemal każdym dorosłym mężczyźnie. Z tą tylko różnicą, że zawodowy detektyw dostawał za to pensję. A gdy się zestarzał, nawet emeryturę.

Kiedy tak stała przy telefonie, czekając, aż będzie mogła im powiedzieć, że mają niewłaściwego człowieka, całkowicie trzymała stronę tamtego mężczyzny, tego wyrzutka prawa, jednego przeciw milionom. Tylko trzy zbrodnie mogły być gorsze niż kara, która mu groziła, tylko trzy zbrodnie na ową karę zasługiwały: zbrodnia przeciwko dziecku, gwałt na niewinnej dziewczynie i zbrodnia przeciwko całej społeczności, zagrażająca tej społeczności wyginięciem (na przykład, szpiegostwo w czasie wojny). Reszta stanowiła jedynie blade widma przestępstw wobec okrutnego majestatu prawa wyznaczającego dzień i godzinę i orzekającego: „Umrzesz”.

Dom Smicika znajdował się na niezbyt zamożnym osiedlu na przedmieściu – nic szczególnie luksusowego, ale był schludny i czysty. Okazało się potem, że nie należy tak naprawdę do niego, ale o tym jej nie powiedziano.

Podszedł do drzwi, by ją wpuścić.

– Widzę, że dotarła pani bez problemu.

Jego partner siedział już w salonie, kiedy tam weszła. Mieli dwie puszki piwa z kształtnymi dziurkami w wieczkach, dwie puszki bez dziurek i dwie szklanki. Ale nie byli pijani i nie zabawiali się, tyle mogła stwierdzić; po prostu się relaksowali. Jakaś tajemnicza kobieta postawiła na stole duży, masywny talerz w niebieski wzór, na którym leżały małe solone krakersy i trójkąciki pomarańczowego sera. Żaden mężczyzna nie pokroiłby sera na tak małe kawałeczki. Obaj byli bez marynarek i bez krawatów.

– Znowu się spotykamy, panno Chalmers – odezwał się partner raczej chłodno, jak gdyby wolał spędzać swój czas wolny pośród ludzi, których sam by wybrał.

Wyrzuciła to z siebie, nie tracąc więcej czasu:

– Powód, dla którego tak bardzo chciałam się z panami zobaczyć, powód, dla którego musiałam tutaj przyjść, jest taki... musicie mnie wysłuchać, musicie mi uwierzyć... w sprawie Nelson macie niewłaściwego człowieka.

Dotarło to do nich dopiero po chwili.

– Ach – wydusił w końcu Smicik.

Spojrzał na swojego partnera.

Popatrzył znowu na nią.

– Ach tak? – rzekł tym razem. Umieścił jeden mocny jak skała pośladek na krawędzi wielkiego okrągłego stołu. Założył ręce na piersi i patrzył badawczo. – Z czego to pani wnioskuje? – spytał.

Przeszkodził im nagle kobiecy głos i ocalił ją od tego pytania, na które trudno byłoby odpowiedzieć, nie wbijając samej sobie noża w plecy wzmianką o wysłanym liście.

– Smicik – zawołał ów głos gdzieś ze szczytu schodów. – Mała Evie czeka na buziaka na dobranoc.

Wstał, wyszedł z pokoju i ruszył na górę, wprawiając cały lichej konstrukcji domek w drżenie niczym w febrze. Łańcuchy, na których powieszono były lampy, dygotały. Deski podłogowe, po których stąpał, zdawały się lekko pulsować. Nawet powierzchnia wody w małym zielonkawym akwarium zaczęła falować, wspinając się odrobinę po jednej stronie, opadając po drugiej.

– Nie wiedziałam, że jest żonaty – powiedziała bez żadnego udawania. Czy może raczej doskonale udając, że nie udaje.

– Bo nie jest – odparł jego kolega. – Mieszka z siostrą i szwagrem. To ich dom. Chętnie gościliby go u siebie za darmo, tak bardzo go cenią, ale on upiera się, żeby płacić za utrzymanie. Cały Smicik. Mała szaleje za nim bardziej niż za własnymi rodzicami.

Uśmiechnęła się lekko. – Ciekawe przezwisko jak na takiego wielkoluda.

– Przyłgnęło do niego już pierwszego dnia w przedszkolu i ciągnęło się przez całe życie. Nie potrafił wymówić poprawnie własnego nazwiska, gdy go zapytano.

Powrót w dół po schodach był równie dynamiczny jak wejście, może nawet bardziej. Cieniutka strużka białego proszku spłynęła na podłogę z sufitu w kącie, zupełnie jak talk. Ryby w akwarium popatrzyły przerażone, po czym nagle zmieniły kierunki.

– Zawsze jest taki hałaśliwy? – spytała, krzywiąc się.

Kolega posłał jej urażone spojrzenie. – Chyba nie spodziewała się pani, że będzie chodził na paluszkach jak baletnica.

– Nie, ale *mógłby* stąpać trochę delikatniej – zasugerowała.

Lojalność partnera nie przygasła ani o jotę. – Przynajmniej zawsze wiadomo, gdzie się znajduje – bronił twardo kolegi. – Nie skrada się potajemnie, jak to robią niektórzy.

Wszedł, rzucając mimochodem do partnera: – Ta mała z dnia na dzień robi się coraz fajniejsza. – Po czym zwrócił się do niej: – Na czym to stanęliśmy? Ach tak, mamy niewłaściwego człowieka.

– Tak, zatrzymaliście d'Angela, prawda?

– Mamy d'Angela, to fakt.

– Ale był w jej życiu jeszcze jeden mężczyzna. – *I jeśli teraz zapyta mnie, skąd o tym wiem, zwyczajnie będę musiała się przyznać, że zataiłam informację, i ponieść zasłużoną karę.*

Nie zapytał jednak. – Shiller? Ten makler? Wiemy o nim. Przesłuchaliśmy go na samym początku i wypuściliśmy. Miał niepodważalne alibi. Był gospodarzem uroczystej kolacji dla czterdziestu osób z okazji urodzin żony, kolacji wydanej w jednej z najelegantszych restauracji w mieście. Byli tam reporterzy kolumn towarzyskich wszystkich gazet.

– Ale... ale... – jąkała się.

– D'Angelo, niewłaściwy człowiek? – spytał z rozbawieniem.

– Ależ tak! Na pewno – wykrzykiwała gorączkowo.

Wyprowadził ją z błędu w czterech zdaniach, wprawiając w czyste osłupienie.

– W takim razie, co ślady jej paznokci robią na grzbietach jego dłoni i przedramionach? Dlaczego drobinki skóry tkwiące pod jej paznokciami pasują na podstawie badań laboratoryjnych do próbki skóry, którą pobraliśmy od niego? Dlaczego sam do nas zadzwonił, zaczekał na nas w umówionym miejscu, czyli we własnym domu, sam wydał się w nasze ręce i bez oporu udał się z nami na komisariat? I wreszcie, co najważniejsze, dlaczego z własnej, nieprzymuszonej woli podyktował i podpisał pełne zeznanie? Że zabił ją nie z nienawiści, ale z miłości. Kochał ją zbyt mocno, by dalej żyć z własną zazdrością. Przede wszystkim zaś kochał ją zbyt mocno, by móc żyć bez niej po tym, jak ją zabił. Czytała pani *Otella*? To taki sam dramat, tyle że przeniesiony we współczesność. Mógł przeżyć setki miłości w swych gangsterskich czasach, ale prawdziwe uczucie dopadło go w jesieni życia. Uczucie prawdziwe na tyle, że warto było dla niego żyć, warto było i umrzeć.

Westchnął prawie tak, jakby to rozumiał. Ale jak mógł, jak mógł zrozumieć on czy ktokolwiek inny poza tym, który tak kochał, który to kochanie przeżył? Kto kochał to, co dla innych było pospolitym mosiądzem, jakby to było bezcenne, najczystsze złoto...

To tajemnica ludzkiego serca, której nie rozwiąże nigdy żaden detektyw.

Opadła, oszołomiona, na najbliższy fotel, wciąż nie do końca rozumiejąc, a w głowie zabrzmiał jej niczym odległe echo tytuł piosenki widzianej na pianinie Dell. „I niebo spuści na me serce swą kurtynę”.

*

Kiedy weszła z powrotem do hotelu i mijala recepcje, recepcjonista powital ja i wyciagnal w jej strone list. Odebrala go i wpatrywala sie w koperte w poczuciu nierealnosci, jakie czasem ogarnia kazdego z nas, gdy zobaczymy gdziez wlasne pismo. Adresatem byl: „Sz. P. Walter Shiller, Warren, Shiller, Davis i Norton”. W gornym lewym rogu widniala blyszczaca plamka po znaczku, ktory wysechl pewnie, zbyt dlugo tkwiac w automacie, odlepil sie i odpadl. W prawym gornym rogu pyszniala sie czerwonym tuszem urzedowa pieczatka: „Nie doręczono z powodu braku opłaty pocztowej”.

– Wrócił jakiś czas temu – przeproszał recepcjonista. – Dzwoniłem, żeby zapytać, czy chce pani, bym nalepił znaczek i wysłał raz jeszcze, ale pani nie było. Włożyłem go chyba potem do pani przegródki i zapomniałem. W ostatnich dniach byliśmy bardzo zajęci...

Urwał i wpatrywał się w nią, kiedy przyciskała kopertę do ust namiętnie, zachłannie, bez końca, niczym liścik od kochanka, niczym zwrot podatku z urzędu skarbowego.

– Myślałem, że chciała go pani wysłać – rzekł niepewnie.

– Ja też tak myślałam – odparła. – Ja też. Och, jakże człowiek może się mylić!

– Panno Chalmers, proszę! – sprzeciwił się żałośnie, kiedy darła list na setki maleńkich kawałeczków i rozrzucała wokół siebie. – Niech pani pomyśli o biednym portierze, który będzie tu potem musiał posprzątać.

Na górze, przy swoim biurku wyjęła tani, mały notes w linie, gdzie zapisane było:

1. Policzyć się z kobietą.

I przekreśliła to.

Ktoś inny jednak wyrównał ten rachunek, pomyślała nieuchronnie, nie ja.

A teraz zabić mężczyznę.

Jakież to były proste słowa. Jak łatwo było je wypowiedzieć czy pomyśleć. Lecz jakież były straszne, przerażające, gdy przemieniło się je w czyn, wprowadziło w życie. A raz w czyn przemienione, jakież były nieodwracalne, jak niemożliwe stawało się przywrócenie stanu poprzedniego.

Tak zwyczajnie przemienić kogoś takiego... Jej wzrok błąkał się niespiesznie po hotelowej sali restauracyjnej, ogarniając ją całą i wychwytyjąc po kolei wszystkich mężczyzn, ale tylko mężczyzn (jako że to mężczyzna miał umrzeć, nie kobieta. Choć umierały i kobiety, nie były pod tym względem wcale inne):

Jeden uśmiechał się do siedzącej przed nim dziewczyny, chciwie spijając z jej ust szybko płynące słowa, z aprobatą kiwając głową, wbijając w nią pełen uwielbienia wzrok w pierwszym ataku młodzieńczej miłości.

Jeden patrzył na zegarek, gdy Madeline na niego spojrzała, mówiąc pozostałej trójce przy stole (najprawdopodobniej), że pora już wyruszyć do teatru.

Jeden siedział sam, lecz całkiem zadowolony z siebie, z pustym kieliszkiem koktajlowym, jeśli nie liczyć maleńkiej białej cebulki, przed sobą, myśląc zapewne o czymś, co sprawiało mu wielką przyjemność, sądząc po niemalże debilnym wyrazie twarzy.

Jeden wrócił właśnie od telefonu, do którego został wcześniej wezwany, i samozadowolenie było ostatnim odczuciem, jakie by mu można przypisać. Twarz miał czerwoną od złości i zranionej dumy, a kiedy już usiadł, by poczekać jeszcze trochę, zaczął bębnić gniewnie palcami o stół.

Jeden rozkładał bułkę, by posmarować ją masłem.

Jeden trzymał rękę w kieszeni, szukając pieniędzy, a drugą dłonią machał dobrodusznie na swego przyjaciela, który też próbował zapłacić.

Jeden trzymał nad stołem połyskującą jaskrawo zapalniczkę, podając ogień swojej towarzyszce...

...przemienić kogoś takiego czy takiego, czy może takiego, w coś, co się już nigdy nie poruszy. I wkrótce zgnije. Co nie uśmiechnie się już nigdy do dziewczyny, nie spojrzy na zegarek. Ani nie zapali zapalniczki. Ani nie wyjmie pieniędzy z kieszeni.

No, co w tym było takiego okropnego? Bóg w swej nieskończonej mądrości – lub nieskończonej obojętności – robił to co dzień, zakańczył życie setek, tysięcy ludzi. Czyniła to też Ślepa Natura na całe mnóstwo sposobów, jeżeli istniała między tych dwojgiem jakakolwiek różnica.

Tak, lecz ona nie była Bogiem ani nie była Naturą. I to właśnie było w tym takie okropne.

Śmierć trwała moment, sekundę. Nie mogła trwać więcej przez samą swoją naturę. Nawet powolne konanie wciąż było życiem aż do tej ostatniej sekundy. A zatem zniszczyć w mniej niż sekundę to, co przez dwadzieścia pięć lat, trzydzieści, czterdzieści kształtowało się i wzrastało... Zetrzeć, zmieść z powierzchni ziemi to, co jakaś matka karmiła i pieściła. Co jakaś młoda kobieta kochała, z czym wiązała swe życie... Wymazać zgromadzoną w tym umyśle wiedzę, umiejętności, talenty, zdolności i braki, które już nigdy nie zostaną odtworzone w identycznym składzie, stopniu, stosunku i proporcji.

Jedyny w swoim rodzaju, każdy jeden umysł pośród milionów innych. Niezastąpiony. Wspomnienia, doświadczenia, zawody, nienawiści, miłości, plany, nadzieje...

Wszystko to w ułamku sekundy – wymazane, zniszczone, unicestwione.

A jednak tak musiało być. Miało być. Tak będzie.

Chciała odzyskać własny spokój ducha. Miała do tego prawo. Nie mogła bez tego żyć – takie życie byłoby nie do zniesienia.

Podniosła nieużywany nóż i powoli narysowała niewidzialną linię na obrusie.

To jego ścieżka życia z wolna zbliżająca się do mojej. Z upływem dni coraz bliżej, coraz bliżej z każdą godziną każdego dnia.

Narysowała drugą linię zmierzającą ku tamtej pierwszej, lecz urwała ją, zanim się spotkały.

To moja ścieżka życia z wolna zbliżająca się do jego. Spotkają się nieuchronnie. A gdy się spotkają, moja poprowadzi dalej. Jego nie. Jego zostanie przerwana.

Cień męskiej głowy i ramion przyćmił nieco biel obrusa i kelner spytał, czy chce czegoś jeszcze.

W zamyśleniu pokręciła głową, nie podnosząc nawet wzroku, i patrzyła, jak ledwo widoczny rysunek znika z obrusa.

Tak zwyczajnie opuszczało, uchodziło z człowieka życie. Niczym błąd ślad znikający z pustki czystego obrusa. Tak zwyczajnie.

Jest to zarazem najprostsza i najtrudniejsza rzecz na świecie dla dziewczyny, poznać konkretnego, wyznaczonego mężczyznę, który jest jej zupełnie obcy i do kręgów którego ona zwyczajnie nie przynależy – nie mają wspólnych znajomych, nie łączą ich interesy czy sprawy zawodowe. Łatwo jest, kiedy jej celem na dłuższą metę jest małżeństwo lub na krótszą metę romans. Czy choćby nawet szybki numerek. Wtedy bowiem wystarczy, że stanie mu gdzieś na drodze, zjawi się tam, gdzie on będzie i gdzie będzie musiał ją zobaczyć, a dalej już pójdzie jak z płatka. Albo da mu się poderwać, albo sama go poderwie i pozwoli mu myśleć, że to jednak jego inicjatywa.

Jeśli jednak jej motyw jest inny, jeśli w grę nie wchodzi najmniejsze prawdopodobieństwo miłości z jej strony, a tym bardziej z jego, tak iż nawet fałszywa obietnica miłości, która dopiero ma się narodzić, nie może być wykorzystana jako zachęta czy pomoc w przełamaniu lodów, i jeśli nie mają wspólnych znajomych ani nie wywodzą się z podobnych kręgów, wówczas owa trudność staje się niemal nie do przewyciężenia.

Motywy Madeline było morderstwo, ni mniej, ni więcej. Była dostatecznie uczciwa, by się przed sobą przyznać, że koniec końców tylko tak można to nazwać, choćby nie wiadomo jak starała się rzecz całą upiększyć, nazywając ją zadośćuczynieniem, pokutą, odkupieniem czy czym tam jeszcze innym. Była to śmierć na skutek aktu przemocy, śmierć z jej ręki, morderstwo.

Musiały zostać nawiązane jakieś relacje, które by ów akt poprzedziły. Nie mogła go tak zwyczajnie raz zobaczyć i zastrzelić. Pierwszym ważnym powodem było to, że nie wiedziała, jak wygląda. Musiała wiedzieć, że on to on, musiała mieć pewność. Skoro w rachubę nie wchodziła miłość ani porozumienie na gruncie zawodowym, mogła ich połączyć jedynie przyjaźń. Nieważne, jak fałszywa, byle przyjaźń.

I na tym właśnie polegał problem. Kobieta nie może nagle zapoznać się i zaprzyjaźnić z obcym mężczyzną ot tak, po prostu.

A nawet poza tym, poza sposobem na wniknięcie w jego kręgi, miała jeszcze do rozwiązania niewielki problem z identyfikacją.

Nie bardzo miała na czym się oprzeć. Charlotte w życiu go nie widziała. Ona sama, Madeline, nie posiadała żadnego opisu zewnętrznego. Listy Starr do matki pełne były podszytych emocjami epitetów, lecz ani słowem nie wspominały o wyglądzie. Może być gruby, może być chudy, może być wysoki, może być niski. Włosy może mieć jasne, może mieć ciemne. Musiała wyodrębnić go z całego świata mężczyzn.

Tylko dwie informacje na jego temat dotarły do niej od Charlotte, obie tak naprawdę pochodzące jeszcze od Starr. Dwa strzępy informacji, które stanowiły absolutne minimum wiedzy o kimkolwiek: były to jego imię i nazwisko. „Vick” i „Herrick”. I nic poza tym. A nawet to niepełne, bo to pierwsze było najprawdopodobniej zdrobnieniem. Bardzo możliwe, że „Vick” oznaczało „Victora”, lecz absolutnej pewności mieć nie mogła.

Nie wiedziała nawet, jaki ma zawód, jak zarabia na życie. Starr, co ciekawe, nigdy nie powiedziała tego Charlotte, tak więc Charlotte nie mogła powiedzieć jej. Dell używała tylko słowa „praca”, które mogło oznaczać wszystko. „Czasami szedł po nią prosto z pracy”.

Madeline zrobiła podsumowanie. Wiedziała zatem tyle: „Vick Herrick”. Jednego mogła się domyślić: Dell przyznała, że był od niej młodszy, a ponieważ sama była najwyżej tuż po trzydziestce, on musiał mieć wciąż mniej niż trzydzieści.

Nie było tego wiele. Bardzo niewiele. Vick Herrick, lat dwadzieścia osiem, dziewięć albo trzydzieści. Bez twarzy, bez wzrostu, bez koloru

włosów. I trzeba go było wyodrębnić, wyizolować z całej ogromnej populacji.

Przez wiele dni beznadziejność tego zadania nie dawała jej działać, nie pozwalała nic zrobić. Tak obawiała się porażki, że lękała się nawet zacząć. W końcu musiała sobie powiedzieć:

– Weź się w garść. Nie ulegaj zniechęceniu. Jeśli nawet ci się nie uda, zawsze to lepsze niż siedzieć i nic nie robić. Za późno już, by się cofnąć, więc trzeba iść do przodu.

Wzięła głęboki wdech i nie wiedząc, od czego zacząć, zaczęła mimo wszystko.

Oczywiste było, że przede wszystkim musi sprawdzić w książce telefonicznej. Nie mogło jej to w żaden sposób ułatwić nawiązania z nim przyjaźni, ale mogło przynajmniej wskazać, z kim ową przyjaźń powinna nawiązać. Kiedy już wykombinuje, jak tego dokonać.

Zdumiała się liczbą wymienionych Herricków. Zdawało jej się dotąd, że to mało powszechne nazwisko. Tymczasem naliczyła osiemnaśtu. Wśród nich było tylko troje, których imiona zaczynały się na *V*, więc nie było tak źle, jak się mogło wydawać. Jedno imię należało do kobiety: *Vivian*. Pozostałych dwoje Herricków miało po nazwisku tylko początkowe *V*. Madeline z miejsca wyeliminowała *Vivian*, tak iż została jej tylko dwójka. Przynajmniej w granicach administracyjnych miasta. Rzecz jasna, nic nie stało na przeszkodzie, żeby był mieszkańcem przedmieścia, jednym z hordy napływającej do miasta co rano i co wieczór z niego wypływającej. W którym to przypadku zadanie przybrałoby takie rozmiary, że mogłoby zabrać nawet większą część roku. Zamknęła oczy i wzdrygnęła się, jakby chciała strząsnąć z siebie tę koszmarną perspektywę.

Miała zatem swoich dwóch *V*. Herricków: jednego na Lane Street, drugiego na St. Joseph. Teraz musiała nawiązać kontakt.

Uznała, że fałszywy telefon i próba wyciągnięcia informacji nie tylko nic jej nie dadzą, ale same w sobie mogą okazać się ryzykowne i zakończyć się porażką. Ludzie niechętnie porzucają czujność i otwierają się przed obcym głosem obcej osoby w słuchawce. A jak niby miała by ujść za kogoś innego? Oszustwo polegające na tym, by udawać kogoś, kogo on już znał i kto znał jego, w ogóle nie wchodziło w grę. Przede wszystkim nie wiedziała, w czyją rolę mogłaby się wcielić, a po

drugie całe oszustwo wyszłoby na jaw już po jednym czy dwóch wypowiedzianych przez nią zdaniach.

Wizyta, konfrontacja twarzą w twarz lub naoczne sprawdzenie było jedyną sensowną metodą działania.

Gdy już to ustaliła, natrafiła na kolejną przeszkodę, którą była konieczność wymyślenia jakiegoś wiarygodnego pretekstu. Taka wizyta, odwiedziny musiały mieć jakiś powód. Nie mogła zwyczajnie tam pójść i zadzwonić do drzwi.

Kolejne dni mijały, a ona wciąż myślała. Każdy nowy pomysł, jaki wpadł jej do głowy, wydawał się świetny, doskonały – na pierwszy rzut oka. Potem, kiedy go analizowała, pojawiały się braki, coraz więcej i więcej. Aż cała idea zaczynała się wydawać dziurawa jak siatka na ryby.

Nie raz i nie dwa, krocząc po pokoju, ciągnąc za sobą dym papierosowy formujący się w znaki zapytania, mówiła sobie:

– Gdybym tylko była mężczyzną. O ileż byłoby mi łatwiej.

Mogłaby się przemycić jako inspektor z gazowni, hydraulik, elektryk, majster do telefonu, inspektor budowlany. Mogłaby nawet wypożyczyć rower i jakieś pudło i udawać dostawcę ze sklepu spożywczego, który przypadkiem zadzwonił pod niewłaściwy numer. Można by wyliczać takie możliwości bez końca, byle tylko znaleźć do niego dojście, móc go sobie przynajmniej obejrzeć. Ale czy ktoś kiedyś słyszał, by którąś z tych prac wykonywała dziewczyna?

I wtedy, jak to się często w tym nieprzewidywalnym świecie zdarza, kiedy najmniej się tego spodziewała i w miejscu najmniej, zdawałoby się, prawdopodobnym, spadło na nią natchnienie. A właściwie zostało jej podane do rąk. Gotowy, kompletny pomysł, w zasadzie nie do sparczenia.

Któregoś wieczoru zeszła na kolację do hotelowej restauracji, jak prawie co dzień. Jednakże tym razem odkryła, że zostawiła na górze, w pokoju, swoją torebkę. Nie byłaby to jakoś szczególnie kłopotliwa sytuacja, bo posiłek zawsze dopisywano do jej rachunku, gdyby nie jedno. W torebce został jej klucz, tak iż odkryła, że nie ma jak wejść do pokoju. To też nie było nic strasznego, bo w recepcji zawsze trzymano zapasowe klucze na taką ewentualność.

Dlatego też zatrzymała się przy recepcji, czego zazwyczaj nie robiła, bo nigdy nie było dla niej żadnej poczty ani wiadomości, i ku jej zaskoczeniu recepcjonista wręczył jej nie zaklejoną kopertę z jej nazwiskiem i numerem pokoju.

Był to list z prośbą o datki na fundację na rzecz chorych na stwardnienie rozsiane, a patrząc na stojak na korespondencję, Madeline spostrzegła, że podobna koperta tkwi w każdej jednej przegródce. Wszystkie były jednakowo białe, jednakowo pochylone, jak gdyby w recepcję uderzyła z ukosa śnieżna zamieć.

Na skrzydełku koperty, częściowo wydrukowany, a częściowo odręczny widniał napis: „Prosimy o zwrot koperty z datkiem do przedstawicielki fundacji, pani Fairfield, pokój 710”.

Madeline miała to, czego szukała, i rozpoznała to już na pierwszy rzut oka. Wzięła *to* ze sobą na górę, zapasowym kluczem otworzyła drzwi, z odzyskanej torebki wyjęła dwadzieścia pięć dolarów i włożyła je do koperty. Następnie, uznawszy, że rzeczą najwyższej wagi jest wkraść się w łaski pani Fairfield i zdobyć jej jak największe zaufanie, dodała drugą dwudziestkę piątkę, w sumie darowując na fundację szczodre i imponujące pięćdziesiąt dolarów.

Nie zakleiła koperty, żeby w najmniejszym stopniu nie utrudniać pani Fairfield niemal natychmiastowego odkrycia jej hojności, najlepiej kiedy jeszcze będzie przy niej obecna. Następnie przyglądała nieco włosy i ruszyła korytarzem do pokoju 710. Zastukała i za moment stała przed nią dziwnie niejednorodna postać. Była zarazem młodzieńczo stara i starczo młoda, stanowiła niezwykle połączenie podstarzałej chłopczycy z lat dwudziestych i żwawej matrony. Połączenie nie całkiem gładkie; jedna bowiem nie potrafiła podporządkować się drugiej. Umiejętnie ułożone falowane srebrzystej barwy włosy. Potrójny sznur pereł wielkości orzechów laskowych, tak wielkich, że musiały być prawdziwe. Jakiś taki ciągnący się strój z mnóstwem satyny i mnóstwem koronek. Miała nawet papierosa w krótkiej jadeitowej lufce, jakiej Madeline nie widziała u nikogo od czasów własnego dzieciństwa za czwartej kadencji prezydentury Roosevelta. Była zupełnie nie z tej ziemi, zdawało się, że wyszła wprost z karykatury w *The New Yorker*. Madeline miała niemal ochotę rozejrzeć się po podłodze u jej stóp w poszukiwaniu podpisu rysownika.

– Pani Fairfield? – spytała z uśmiechem. – Pozwoliłam sobie przy-
nieść to pani osobiście, ponieważ...

– Panna Chalmers – rzekła pani Fairfield, odczytując nazwisko z
koperty. – Witam panią. To bardzo miłe z pani strony.

Strategia Madeline okazała się skuteczna. Opłaciła się wielce. Pani
Fairfield zdołała sprytnie i prawie niezauważalnie podliczyć pieniądze,
dotykając je ledwo paznokciami, podobnie jak wytrawny karciarz oce-
nia karty po samych tylko różkach, trzymając je tuż przy sobie.

Madeline wdarła się w jej łaski jak burza, potraktowana została z
serdecznością graniczącą niemal z nieposkromionym entuzjazmem.
Pani Fairfield obdarzyła ją olśniewającym, elektryzującym uśmiechem,
ukazując zęby, które musiały kosztować fortunę.

– Może wejdzie pani na kilka minut i krótką pogawędkę? – zapro-
siła ją.

– Jeśli nie będę przeszkadzać – odparła skromnie Madeline, wcho-
dząc do środka, już kiedy to mówiła.

– Oczekuję męża, który ma mnie zabrać na recital skrzypcowy –
oznajmiła jej pani Fairfield, gdy siadały – lecz on się spóźnia. W takich
chwilach zawsze zdaje się spóźniać. – Po czym dodała filuternie: –
Zastanawiam się czasem, co go zatrzymuje.

Madeline nie interesowało otoczenie, nie po to tutaj przyszła, więc
w ogóle go nie zauważała. Nie mogła jednak uniknąć niewyraźnego,
marginalnego wrażenia dekoracyjności wszędzie dokoła i przynajmniej
jeden detal ukazał się jej wyraźnie: wielki portret olejny samej pani
Fairfield sprzed dwudziestu pięciu lat. Nieskazitelnie pięknej, choć
nieodwracalnie staromodnej przez tę płaską fryzurę typową dla lat trzy-
dziestych z przedziałkiem z boku, tak jak go sobie robią mężczyźni.
Madeline знаła tę fryzurę z filmów, które oglądała.

Pani Fairfield spostrzegła jej spojrzenie wędrujące w górę i w dół po
ścianie.

– Mój mąż nalegał, żebym pozowała – oznajmiła, zadowolona z
siebie. Po czym wyjaśniła z pewną pikanterią: – Nie ten obecny. Któryś
z poprzednich. Nie pamiętam który.

Chce, bym wiedziała, że wychodziła za mąż więcej niż jeden raz,
uświadomiła sobie Madeline. Żebym czasem nie pozostała nieświadoma,
jaka atrakcyjna była kiedyś dla mężczyzn. Każdy może wziąć ślub

więcej niż jeden raz, zauważyła. Wystarczy do tego kłótlive usposobienie.

– Raz czy dwa widziałam panią z daleka, wchodzącą i wychodzącą – wyznała pani Fairfield. – Pytałam wszystkich: „Kim jest ta śliczna młoda dziewczyna?” Zdawało się, że nikt nie wie. Nikt nie umiał mi o pani niczego powiedzieć...

– Bo nie ma o czym mówić – mruknęła Madeline.

– ...zawsze sama. Bez żadnego kawalera u boku. Ha, kiedy ja byłam w pani wieku, nie mogłam prawie zrobić kroku bez obawy, by któregoś nie rozdeptać.

Chce sprawić na mnie wrażenie, że zawsze miała ich wokół siebie na pęczki, że zawsze płaszczyli się u jej stóp.

– Nie interesują mnie zbytnio – odparła oschle Madeline. – Zawsze gdzieś tam się kręcą, w tle. Traktuję ich jak element otoczenia.

Po bladej jak bita śmietana twarzy pani Fairfield przemknął wyraz autentycznej grozy. Natychmiast porzuciła ten temat, o co właśnie chodziło Madeline.

– Nie podejrzewam, by większość osób przynosiła pieniądze osobście... – rzekła.

– Domyślam się, że chciała pani mieć pewność, iż do mnie trafią...

– To tylko jeden z powodów – odrzekła Madeline. – Przyszło mi do głowy, że mogłabym zrobić dla tej sprawy coś jeszcze poza ofiarowaniem gotówki w takiej ilości, na jaką mnie stać.

– Co pani ma na myśli?

– Pomyślałam, że mogłabym zbierać datki. Jestem pewna, że nie każdy budynek w mieście ma tyle szczęścia, by gościć ochotniczkę, która rozdaje koperty i gromadzi datki. Mogłabym pochodzić po innych domach, opowiedzieć ludziom co nieco o stwardnieniu rozsianym i w ten sposób może skłonić ich do złożenia datków.

– To dosyć żmudne zadanie – stwierdziła kobieta. – Jeśli po prostu zostawi pani ludziom koperty, nigdy potem już pani o nich nie usłyszy. Jeśli będzie pani domagać się datku na miejscu, za każdym razem pokażą pani drzwi. Tak czy inaczej, może się to okazać okropną stratą czasu.

– To mój czas – powiedziała spokojnie Madeline. – Mogę go trochę stracić w słusznej sprawie.

– Nie wiem... Nie jestem upoważniona wyznaczać pani na przedstawicielkę ani nic w tym rodzaju...

– Proszę dać mi tylko trochę literatury i kopert na datki – zasugerowała. – Niepotrzebne mi żadne oficjalne upoważnienie. Wszelkie otrzymane datki przekażę bezpośrednio pani, a pani będzie mogła je oddać wraz z całą zgromadzoną resztą.

Kobieta myślała przez chwilę. Wreszcie pokręciła gwałtownie głową. – Zapiszę panią jako ochotniczkę – rzekła. – Może to troszkę nie regulaminowo, ale tak będzie lepiej.

Godzinę później z plikiem kopert na datki w torebce stała na chodniku przed budynkiem, w którym według książki telefonicznej mieszkał pierwszy z V. Herricków, ten z Lane Street.

Była to skromna, mała kamienica, prosta, bez żadnych luksusów, nieco już podniszczona, lecz ogółem ciągle wyglądająca całkiem porządnie. Była nowsza niż te wszystkie budowle bez windy z początku wieku – mogła dostrzec samoobsługową windę, ciasną jak regał na akta, otwartą w głębi korytarza – lecz daleko jej było do współczesności. Pochodziła prawdopodobnie, jak domyśliła się Madeline, z okresu tuż przed Pearl Harbor, kiedy wszelkie tego typu konstrukcje były byle jak klecone z powodu braku środków i dla niskich czynszów. Pewnie została oddana do użytku, zanim rozpoczęły się kontrole, wszelkie prywatne budowy zostały wstrzymane, a hordy robotników wojennych zaczęły napływać z całego kraju, aby żebrać, przekupywać i walczyć o każdy centymetr kwadratowy wolnej podłogi. A dzisiaj – komu była potrzebna?

Drzwi Herricków oznaczone były jako pierwsze po lewej, gdy znalazła się w korytarzu na parterze. Wyczuwało się tam dziwne wibracje, jakby gdzieś w pobliżu chodziła jakaś maszyna, lecz Madeline nie mogła stwierdzić, co było ich źródłem. Wyjęła z torebki koperty, wzięła głęboki, lecz niezbyt heroiczny wdech i zastukała.

Nic się nie wydarzyło. Zastukała znowu. I znowu nic. Rozległ się jakiś koszmarny ryk i zamilkł.

Spostrzegła mały guzik przy drzwiach. Umknął wcześniej jej uwadze, bo jakiś niedoceniany, lecz nad wyraz dokładny (lub nad wyraz niechlujny) malarz zamalował go tą samą jasnozieloną farbą, którą pokryta była boazeria dokoła.

Nic nie usłyszała, gdy go wcisnęła, dzwonek jednak najwyraźniej działał, bo w ciągu dosłownie chwili drzwi się otworzyły, a bębni w jej uszach zaatakował jazgot setek krzykliwych głosów, omal nie zwalając jej z nóg samą swoją siłą i nagłością. Gdzieś pośrodku tego wszystkiego jakiś mężczyzna wrzeszczał, jakby go obdzierano ze skóry:

– ...sam środek lewej trybuny! Bob Allen, numer dwadzieścia trzy! Leworęczny zawodnik z Teksasu!

A gdzieś bliżej, inny mężczyzna zapiszczał przeraźliwie: – Jasna pogoda, niech mi nikt nie mówi, że nie umieją grać!

Patrząca na Madeline kobieta była nieco zaniedbana, lecz na całej jej szerokiej, dobrotliwej twarzy malowała się życzliwość.

Przyzwyczała się najwidoczniej do tak koszmarnego poziomu decybeli i hałas nie miał na jej łagodność większego wpływu. W jednej ręce trzymała butelkę z oranżadą, a w drugiej otwieracz. Madeline odczytała z jej mile uśmiechniętych ust:

– Tak?

– Czy zechciałaby pani wspomóc fundację na rzecz walki ze stwardnieniem rozsianym? – wytrajkotała Madeline. – Każda kwota, którą zechce pani podarować, będzie mile widziana.

– Nic nie słyszę – odkrzyknęła kobieta.

– Chodzi o walkę ze stwardnieniem rozsianym! – wykrzyczała Madeline.

– Dalej nic nie słyszę! – zaskrzeczała kobieta.

Madeline zwiesiła bezwładnie ramiona. – Głośniej już nie mogę. Krzyczałam z całych sił.

– Chwileczkę – rzekła kobieta. A przynajmniej poruszyła wargami. Obróciła głowę. – Vince!

– Będzie rzut – zadudniło głucho w odpowiedzi.

– Vince, mówię do ciebie! Ktoś przyszedł. Ścisz to, żebyśmy mogła się dowiedzieć, o co chodzi.

Tym razem przez barierę hałasu przebił się urażony, stentorowy baryton: – Prawie koniec meczu, dwóch ludzi na bazie, a ta mi każe ściszyć!

Madeline nie czekała na więcej. Cicho, lecz pewnie zamknęła drzwi i odeszła.

Był to umebłowany pokoik w suterenie i już kiedy schodziła z chodnika, żeby tam wejść, ogarnęło ją złe przeczucie. Zatrzymała się nawet na moment i obróciła lekko, jakby chciała wrócić na chodnik. Wreszcie jednak przemogła się i podeszła do obłożonego brunatnym piaskowcem wejścia pod wysokim gankiem i zadzwoniła. Usłyszała niewyraźnie, jak dzwonek rozbrzmiewa głucho gdzieś w głębi budynku. Jeśli miała ją odstraszyć ryzyko, pomyślała sobie, to nie powinna była w ogóle się do tego zabierać. Ryzyko musiało pojawiać się tu i ówdzie w całej tej grze. Ryzyka należało się spodziewać. Ze sprawą Dell Nelson też wiązało się ryzyko, a jednak jakoś przez to przeszła.

Słaba żarówka zapaliła się za żelazną bramą do sutereny i pojawił się mężczyzna.

Nie podobało jej się wrażenie, jakie dawała ta krata pomiędzy nimi. Przywodziła na myśl więzienie, zamknięcie, skrupowanie, coś, czego nie potrafiła dokładnie nazwać. Niebezpieczeństwo, to było to. Przywodziło na myśl jakieś ukryte niebezpieczeństwo, jak gdyby stało się twarzą w twarz z kimś odseparowanym od nas dla jego własnego dobra.

To nie jego twarz nie dawała jej spokoju. Nie było w niej nic, co sugerowałoby złe zamiary. Pokryta była głębokimi zmarszczkami, zmarszczkami nie wieku, lecz strasznego doświadczenia. Ogólnie jednak bił od niego ponury stoicyzm, który kazał brać to, co dawano, nie prosić o nic i nie szukać odwetu.

Można było o nim powiedzieć wiele, ale nie to, że był schludny. Miał na sobie wygniecioną koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, pulower, któremu już dawno przydałoby się czyszczenie, i parę wyświechtanych spodni proszących wręcz, żeby je wyprasować. Nie ogolił się tego dnia, a może i poprzedniego. Włosy miał jasnobrażowe i potargane, a oczy – też brązowe, ale ciemniejsze – wyglądały, jakby widziały wiele rzeczy, których wolałyby nie widzieć.

Jakiś wewnętrzny głos podszeptnął jej, że jeśli nie on jest człowiekiem, którego szuka, to na pewno jest najlepszym kandydatem, jakiego dotąd spotkała.

- Tak? – rzucił krótko.
 - Czy zechce pan wspomóc fundację na rzecz walki ze stwardnieniem rozsianym?
 - A dlaczego ktoś nie założy jakiejś fundacji dla mnie? – odparł cierpko. – Też by mi się przydała.
 - Cóż... – zająknęła się. – Nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że...
- Wyciągnął rękę i otworzył kratę. – Może pani wejdzie i mi o tym opowie?

Było to zaproszenie, które nawet siedemnastoletnia nowicjuszka potraktowałaby z nieufnością i uciekła gdzie pieprz rośnie. Nawet w tym, jak zostało wystosowane, nie było sprytu ani zręczności. Nie składało żadnych obietnic nietykalności, nawet tych fałszywych, które miałyby potem zostać złamane. Madeline spostrzegła nawet, jak mężczyzna zerka ponad jej barkiem, jakby chciał się przekonać, czy w pobliżu nie ma kogoś jeszcze.

A jednak, nie wiedzieć czemu, już sama zuchwałość jego metody wcale jej nie spłoszyła, a wręcz przeciwnie, wzbudziła w niej zainteresowanie. Był to taki typ człowieka, którego żona mogła życzyć mu śmierci. Może coś okropnego przydarzyło się z jego ręki Starr. A może innym kobietom, kiedy był mężem Starr, a ona musiała stać z boku i na to wszystko patrzeć. Nosił wszelkie znamiona gwałciciela.

- Pan Herrick, prawda?
- Herrick, zgadza się.
- W naszej siedzibie mamy listę ludzi, których odwiedzamy, panie Herrick. Na liście moich dzisiejszych odwiedzin figuruje pan jako ostatni – oznajmiła znacząco. – Więc jeśli niedługo tam nie wrócę...
- Co każe pani myśleć, że może tam pani nie wrócić?
- Nic... jak dotąd.

Przez chwilę mierzyli się nawzajem wzrokiem, każde próbując zdominować przeciwnika. Wreszcie jego oczy przegrały i umknęły w bok. Powróciły zaraz, lecz jej spojrzenie świętowało zwycięstwo. W tej chwili minęła go i skierowała się do korytarza w suterenie. Nie oglądając się za siebie, wiedziała, że wyciągnął rękę, by zamknąć kratę.

– Czy mógłby pan zostawić otwarte – rzekła – kiedy tu jestem?

Prychnął i parsknął śmiechem. – Nie będzie pani musiała uciekać w takim pośpiechu.

Pokój był mniej więcej taki, jak się spodziewała. Pod ścianą zarwana łóżko polowe, na którym spał. Dwa chwiejne drewniane krzesła. Stolik z kopącym papierosem wżerającym się w brzeg blatu, by dodać kolejny do dziesiątek innych przypalonych śladów ciągnących się dookoła. Na półce wylądował gazowy palnik. Kilka puszek po piwie w dwóch pozycjach, stojącej i leżącej. To znaczy: pełnych i pustych. Kalendarz na ścianie, ale nie na ten rok i z ostatnią kartą, która nie została nigdy zerwana: Grudzień 1960. Wczorajsza gazeta i przedwczorajsza, wciąż jeszcze nie wyrzucone. Stary numer czasopisma (*Tylko dla Mężczyzn*), to samo. Na ścianie naprzeciw kalendarza zdjęcie żołnierza w hełmie z dziewczyną, która opiera głowę o jego ramię.

Niewiele więcej.

I w takich pokojach, jak sobie uzmysłowiła, toczy się życie. Życie niektórych ludzi.

Była jednak pewna rzecz, która przykuła jej uwagę, choć sama jeszcze nie wiedziała dlaczego. W jednym kącie od podłogi aż po sufit biegła rura. Obok niej stał mały grzejnik parowy z przybitą na wierzchu cienką blachą. Na tej blasze leżał klucz nastawny. Zauważyła przycepioną do rury dziwną rzecz, której z początku nie umiała rozpoznać. Wydawała się złożona z kółka czy obręczy obłapującej rurę w jednym miejscu, od tej obręczy biegł krótki łańcuch, na końcu którego wisiała druga obręcz. Ta jednak była otwarta i nie obłapiała rury, lecz wisiała po prostu przy niej.

Nagle olśniło ją, co to za skomplikowany wzór. Była to para kajdaneek przymocowana za jedną obręcz do rury. A ta druga obręcz, ta otwarta, po co była? Z jakiegoś powodu poczuła wewnętrzny dreszcz.

– Ile mam dać? – spytał, wsuwając rękę do obwisłej kieszeni wiszącego na gwoździu stęchłego swetra. Był to rozpinany sweter z długimi rękawami, które na łokciach miały wielkie dziury, tak że dzianina wywijiała się na zewnątrz.

– Niech pan da, ile może – powiedziała. Po czym, uznając, że to dobry moment, wtrąciła pytanie: – Jest pan żonaty?

– Teraz nie.

Robi się coraz ciekawiej, pomyślała.

Podał jej banknot pięciodolarowy. – Proszę – rzekł z niechęcią, po czym dodał: – Żeby pani nie mówiła, że nic nie dałem.

– Ale jest pan pewien, że może się podzielić? – Nie mogła się oprzeć, by nie omieść raz jeszcze wzrokiem marnego pokoiku.

Przyłapał ją na tym. – Niech pani o to głowa nie boli – odparł. – Pieniądze to jedyne, czego mi nie brakuje. Mam ich przynajmniej dość, żeby przeżyć. Dostają rentę wojenną.

– Ach tak – rzekła i przyjrzała mu się. Nie wydawał się cierpieć z powodu żadnego urazu fizycznego.

– Byłem ranny na wojnie. Kara Coś-tam, tak to się chyba nazywało. Jakaś tam wyspa.

– Tarawa – dorzuciła ze zniecierpliwieniem. – Był pan tam, a nie zna pan nazwy. Uczyliśmy się o tym w liceum.

– My tam umieraliśmy, nie uczylimy się geografii – zbeształ ją delikatnie. – Wciąż to widzę – ciągnął żalonym tonem. – Kawalek piekła pośrodku oceanu. Nie wiem, dlaczego Japończykom tak na nim zależało ani dlaczego nam zależało, by im go odebrać. Niedobrze mi się robi, jak pomyślę o wszystkich chłopcach, którzy zginęli za wyspy, które nigdy nikomu nie przyniosły żadnego pożytku i nigdy go nie przyniosą. – Prowokował ją. – Zginęło tam wielu chłopaków – dodał.

– Wiem.

– Mieli szczęście – rzekł. – O tym też pani wiedziała?

– Co pan ma na myśli?

– To, że są gorsze rzeczy niż śmierć, ale pani pewnie w to nie uwierzy.

Pomyślała o Starr, o jej śmierci i o własnym życiu, którego resztkę musiała jakoś przeżyć. – Wierzę – rzekła cicho.

Zdawało się, że jej nie usłyszał. – Tarawa – mówił. – Chłopcy pozostawiali tam swoje ręce. Albo nogi. Albo powracali głusi, ślepi czy z pomieszaniem w głowie. Oni też mieli szczęście. Nie takie jak ci, co zginęli, ale większe niż inni.

– Jak pan może tak mówić?

– Bo ja nie miałem takiego szczęścia.

Wpatrywała się w niego. – Ma pan obie ręce i nogi – stwierdziła. – Widzi pan i słyszy. Co niby uczyniło z pana największego pechowca na Tarawie?

– Wie pani, na czym polega różnica pomiędzy buhajem a wołem?

– Niezupełnie. Wół jest większy, czy tak? I chyba silniejszy.

Roześmiał się z goryczą. – Musi być pani z miasta. Wiejska dziewczyna już by wiedziała, o co chodzi. A różnica pomiędzy trykiem a skopem? Kogutem a kapłonem?

– Nie...

– A może ogierem a wałachem?

– Chyba nie chce mi pan powiedzieć...

– Nie? Byliśmy na patrolu. Nagle nie wiadomo skąd Japonec poczęstowali nas granatem. Mój kumpel rzucił się, żeby cisnąć go z powrotem. Granat wybuchł mu w ręce i zabił go. Miał skurczybyk szczęście.

– A...

– A ja zachowałem ręce i nogi, słuch i wzrok. Straciłem tylko to, co czyni mężczyznę mężczyzną.

– Mój Boże – szepnęła.

– Kiedy wróciłem, żona ode mnie odeszła. Nie miałem do niej żalu. Zostałaby ze mną, gdyby to było cokolwiek innego, gdybym chodził o kulach, gdybym oślepl. Była dobra. żoną. Ale miała prawo do faceta.

Popatrzyła na zdjęcie na ścianie. Żołnierz w hełmie, dziewczyna wpatrzona w niego z uwielbieniem, z głową opartą o jego ramię. To nie mogła być Starr. Walki na Tarawie miały miejsce w 1944 roku. Ale może Starr, niczego nieświadoma, pojawiła się później. Kto wie, co ten okropny uraz mózgu z czasem przynieść?

– Na początku nie było tak źle. Umawiałem się na randki, tak jak zanim się ożeniłem. Mnóstwo randek. Mnóstwo dziewcząt. Niektóre chciały za mnie wyjść. Niektóre miały mniejsze wymagania. Zawsze jednak przychodzi wieczorem taki czas, kiedy zostajecie we dwoje sami. Wymyślałem różne kłamstwa, żeby się nie zdradzić. – Roześmiał się bez wesołości. – Raz powiedziałem nawet dziewczynie, że mam chorobę weneryczną.

– I co ona na to?
– Że jej to nie przeszkadza, że nie muszę się krępować, bo ona też ją ma.

Zbliżył się do umywalki i wyciągnął skądś, Madeline nie bardzo widziała skąd, butelkę z brązowego szkła.

– Pewnie nie powinienem proponować pani drinka? – spytał niepewnie.

– To by mogło tylko ściągnąć kłopoty.

– Kłopoty?

– Na mnie. A moje kłopoty oznaczają kłopoty dla pana – odpowiedziała mu chłodno. – Zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda?

Jego odpowiedź pasowała Madeline idealnie, idealnie wpisywała się w tok jej dochodzenia.

– Już wcześniej powinienem to wiedzieć – odrzekł, wzdychając ciężko.

Podniósł butelkę, wyciągnął korek zębami, przytrzymał go tak, bokiem wlał do ust trochę alkoholu, po czym wetknął korek z powrotem do butelki, wciąż używając tylko zębów. Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie widziała.

– To przyszło stopniowo, to, co najgorsze. Przyłapałem się na tym, że zaczynam je klepać, robię się brutalny, pomiatam nimi i próbuję bić. Jednej czy dwóm nawet to pasowało, ale na krótką metę. Większość uciekała. Z czasem okazjonalne klapsy i szturchnięcia przeszły w regularne pobicia. Pewnej nocy stłukłem jedną dziewczynę naprawdę mocno. Musiałem chlusnąć ją wodą z wiadra, żeby się ocknęła. Wcisnąłem jej do ręki pieniądze, wszystko, co miałem, pocałowałem ją i odprawiłem. Nie doniosła na mnie policji, ale od tej pory zawsze schodziła mi z drogi, gdy tylko ujrzała mnie na ulicy.

Spojrzała na niego z antypatią. – Nienawidził ich pan z powodu tego, co się panu stało. Czy dlatego tak pan nimi poniewierał?

– Nie, nie. Wszystko pani przekręciła. Robiłem to tylko dlatego, że je kochałem. Nie mogłem okazać miłości tak, jak robią to inni faceci. A człowiek *musi* ją okazać, musi ją wyrazić, ona musi ujawnić się światu, nie może być trzymana w ukryciu. Tymczasem ja potrafiłem ją okazać jedynie siłą własnych pięści. To były moje pieszczoty. Jedyne sposoby,

bym mógł osiągnąć spokój i spełnienie. Nie istniała żadna inna metoda, by doprowadzić sprawę do końca.

To ten, pomyślała nieugięcie. To on... znał Starr.

– Ale wiedziałem, że na tym się nie skończy. Wiedziałem, że prędzej czy później którąś zabiję.

– I zabił pan?

Odpowiedział z mrozącą krew w żyłach prostotą: – Jeszcze nie.

– Dlaczego wcześniej nie podda się pan leczeniu? Zanim do tego dojdzie?

– Tego się *nie da* wyleczyć. Chyba mnie pani nie zrozumiała. To nie jest sprawa psychiki, którą mógłby załatwić jakiś doktor od głowy. Na początku przeszedłem najróżniejsze badania i uznali mnie za normalnego. To kalectwo fizyczne. Tak samo fizyczne jak złamana ręka. Tylko że złamanej ręce można przywrócić jej funkcje. A temu nie... Który mamy rok? – spytał ni stąd, ni zowąd.

– Sześćdziesiąty pierwszy.

– To nie znaczy, że pamięć mnie zawodzi – bronił się. – Rzecz tylko w tym, że czasami się gubię. Na Tarawie miałem tylko dziewiętnaście lat. To znaczy, że dziś mam dopiero trzydzieści sześć. A w wieku trzydziestu sześciu lat człowiek mniej więcej raz w tygodniu wciąż staje się niespokojny. Nie chce tego, ale to od niego niezależne...

Skloniła głowę, dziwnie poruszona.

– Człowiek chce wyjść, pochodzić, znowu być częścią świata, świata, który kiedyś znał. Widzi innych facetów z dziewczynami. Też chce mieć dziewczynę. To nic zdrożnego czy niezdrowego. To najzupełniej normalne i naturalne. I tu właśnie zaczynają się kłopoty. – Kciukiem wskazał za swoje ramię, do tyłu. – Widzi pani tę rurę?

– Zauważyłam ją, gdy tylko tu wszłam.

– Opracowałem pewien system. Wie pani, coś jak ochrona przeciwpożarowa. Dozorcą tego budynku jest Norweg, nazywa się Jansen, silny jak wół. Mieszka nade mną. Dawniej mieszkał tutaj, w suterenie, ale kiedy się pojawiłem, oddał ją mnie, a sam przeprowadził się wyżej. Widzi pani, on mnie lubi. Kumplowałem się z jego synem w czasie wojny. No i pewnego wieczoru wypiliśmy parę piw za rogiem i opowiedziałem mu o wszystkim: jak się boję, że popadnę w poważne

tarapaty, jeśli tak dalej pójdzie, może nawet kogoś zwyczajnie zabiję. Tak więc ustaliliśmy między sobą ten sygnał. Kiedy zaczyna mnie nościć i wiem, że zaraz wyjdę i zacznę rozrabiać, walę w tę rurę kluczem nastawnym, a on schodzi i mnie zatrzymuje. Siada, gra ze mną w karty, wypijemy razem parę drinków, a kiedy robię się senny, zamyka drzwi z zewnątrz i wraca na górę. Do jutra wszystko mi przechodzi.

– A po co te kajdanki?

– Słowne argumenty nie zawsze do mnie trafiają. – Zaczął zapalać papierosa, ale przerwał z płomieniem przy ustach i rzekł: – Dlatego jeśli zacznę za bardzo na panią nastawać, proszę wziąć ten klucz i z całych sił walić w rurę.

– To nie będzie konieczne – powiedziała nieco spięta – ponieważ właśnie wychodzę.

Podniosła się z lichego krzesła, na którym usiadła (i nawet tego nie zauważyła) sporo wcześniej, odwróciła się do niego plecami, podeszła do drzwi i przekreśliła gałkę.

Gałka przekreśliła się bez trudu, lecz drzwi pozostały zamknięte.

– Co pan zrobił? Zamknął na klucz? – spytała ostro. – Niech pan nie próbuje takich sztuczek! Niech pan lepiej otwiera, bo jak nie...

Ostatnim razem, gdy go widziała, stał po drugiej stronie stołu, w znacznej odległości, z dłońmi pod brodą i płomieniem zapałki malującym mu twarz niczym żółta kredka. Nagle, nim zdążyła choćby odwrócić głowę i dokończyć groźbę, poczuła, jak jego ramię oplata się ciasno wokół jej talii. I zaraz druga ręka przewiesiła się przez jej bark, splatając się z pierwszą. Jego twarz przycisnęła się mocno do jej twarzy nad drugim ramieniem, Czowała szorstką, często goloną skórę, sztywną jak karton, a jego pocałunki zaczęły wytyczać na jej policzku szlak, aż napotkały wargi.

Początkowo nie czuła strachu, tylko złość i gniew. Gdy jednak odkryła, że nie może się poruszyć, choćby drgnąć czy spróbować się wyrwać, bo uścisk jest jak żelazo, jak stal, niemal bolesny w swej sile, wówczas pojawił się i strach, lodowatą, obezwładniającą falą zalał ją jak psychiczne mdłości. Bez przerwy powtarzała sobie: nie panikuj, nie trać głowy, bo to by było najgorsze. A potem: Zwiotczej, udaj omdlenie, a wtedy on być może odruchowo rozluźni uścisk.

Kolana się pod nią ugięły i chociaż reszta ciała trzymana była zbyt mocno, by się osunąć, zawisła całym ciężarem na mężczyźnie, i to podziałało. Jego ręce odruchowo się rozluźniły, a jej udało się dać nura i wyswobodzić.

Stał zbyt blisko drzwi, blokował jej drogę, więc rzuciła się w drugą stronę, za duży okrągły stół, tam gdzie wcześniej stał on.

Przemówiła bez tchu, jakby szeptając coś w zaufaniu:

- Dość! Proszę przestać!
- Przekroczyła pani margines bezpieczeństwa.
- Każę pana za to aresztować!

Znowu ruszył za nią. Próbowwała przewrócić na niego stół, ale miał zbyt szeroką podstawę i nie był wywrotny. Wtedy przypomniała sobie, co powiedział jej o kluczu nastawnym, rzuciła się w ten kąt, chwyciła go i zamachnęła się potężnie, szerokim łukiem prowadząc ciężkie żelastwo ku rurze. Dźwięk, jaki się rozległ, był zuchwały w swojej mocy i wydawał się odbijać echem po całym domu ponad ich głowami, co rusz to się na siebie samego nakładając.

Zdażyła uderzyć tylko raz, on zbyt szybko do niej dopadł. Cisnęła w niego kluczem i trafiła, ale tylko w rękę, którą osłonił sobie głowę. Znowu uwięził ją w swoim uścisku, lecz tym razem przodem, nie od tyłu, tak iż czuła, jak jego gorący oddech porusza jej włosy niby morowy wiatr. Próbowwała kopnąć go w kostkę ostrym czubkiem buta i kopnęła, ale nie mogło go to mocno zboleć, ledwo się skrzywił, bo kopniak trafił pod złym kątem.

Kłamał, myślała gorączkowo. Mówił, że zjawi się tamten mężczyzna.

– Chcę tylko odrobiny miłości – przymilał się. – Tylko trochę miłości...

Zobaczyła papierosa, którego zapalił tuż przed tym, jak się to wszystko zaczęło; balansował czas cały na krawędzi stołu. Wyciągnęła ku niemu rękę za jego plecami, ale leżał dosłownie o palec za daleko, bo mogła użyć tylko przedramienia, gdyż reszta kończyny była przygwożdżona przez jego ramię. Popchnęła go nieoczekiwanie, zamiast wyrwać się, jak to dotąd robiła. Nie spodziewał się takiego ruchu i musiał zrobić kilka kroków w tył, by zachować równowagę. Jej

gibkie palce chwyciły papierosa i wepchnęły mu do ucha żarzący się koniec.

Nie krzyknął, ale odskoczył jak odbita piłka i puścił ją. Przechylił głowę na bok, jak gdyby skrecono mu kark, i walił w ucho dłonią, tupiąc parę razy o podłogę.

Nagle, nim zdążyła zorientować się, co się dzieje, zamachnęła się na nią i uderzył potężnie w policzek, obejmując dłonią połowę twarzy, od brwi aż po szczękę. Ból nie był tak straszny jak sama siła uderzenia, czy też może ona nie miała dość czasu, by go poczuć; poleciała tyłem na połówkę, wylądowała, przetoczyła się i spadła na podłogę u stóp łóżka, z jedną ręką wyciągniętą dla wyhamowania upadku.

Zobaczyła, jak on bierze do ręki klucz nastawny, podnosząc go z podłogi, gdzie go wcześniej rzuciła, i przez moment myślała, że ją zaatakuje, lecz zanim zdążyła poruszyć się czy zrobić cokolwiek, by się obronić, poza podkuleniem nóg, odwrócił się, ruszył w przeciwną stronę i zaczął walić w rurę – uderzył nie raz, nie dwa, ale trzy lub cztery razy, nagłaco.

Następnie odrzucił klucz i usiadł na krześle, schylił głowę i zacisnął na niej ręce. Nie z bólu, lecz w przypiływie skruchy.

W pokoju zapanowała cisza i dopiero po chwili dało się słyszeć pospieszne kroki w korytarzu i przekręcany w zamku klucz. Żadne z nich się nie poruszyło. Oboje byli emocjonalnie wykończeni. Już nawet na siebie nie patrzyli.

Wszedł mocnej budowy mężczyzna z szopą żółtawych włosów. Miał potężny kark, barki i ręce i całkiem pokaźny brzuch pod roboczą drelichową koszulą. Nosił okulary w niespotykanym kształcie – ni to kwadratowe, ni ośmiokątne – które nadawały mu dziwnie łagodny, prostoduszny wygląd.

– Co tu się stało? – zapytał. – Vern, coś ty nawyprawiał?

– Już po wszystkim – odrzekł apatycznie człowiek na krześle.

Starszy z mężczyzn podszedł i przyglądał się Madeline. – Co on pani zrobił? – spytał. – Cały policzek ma pani czerwony.

– Uderzył mnie – powiedziała i zaczęła wyplakiwać wstrzymywane dotąd napięcie. – W życiu nie uderzył mnie w twarz żaden mężczyzna. Nawet mój własny ojciec.

– Co tak długo to trwało? – rzucił wtedy oskarżającym tonem człowiek na krzesło.

– Byłem na dachu, musiałem coś napranie – odparł dozorca.

Pomógł Madeline wstać i ciężką, lecz dobroduszną ręką wygładził jej na plecach sukienkę.

– Ćśś, ćśś – próbował ją uspokoić, jakby była dzieckiem. – Już dobrze. Chce się pani napić fody? Przyniosę pani fody.

Od razu przestała płakać. – Nie chcę wody! – odparła ze złością. – Chcę stąd wyjść.

– To niech pani idzie – odpowiedział jej bez ceregieli. – Drzwi są otwarte. Nikt pani nie trzyma.

Podeszła i stanęła przy nich, lecz nie wychodziła.

Jansen zajął się teraz Herrickiem, który w ogóle już jej nie zauważał.

– Wstaffaj – rzekł szorstko. – Wstaffaj i chodź tutaj. – Madeline wychwyciła jednak w tej szorstkości ojcowską nutę.

– Już mi przeszło – rzekł potulnie Herrick, podnosząc na niego wzrok.

– To co, rób, co ci móffię – upierał się Jansen. – Chodź tu i siadaj. – Wziął krzesło, na którym siedział Herrick, i przysunął je do rury. Następnie dostawił do niego stół, nie ten wielki, okrągły ze środka pokoju, lecz mały, nie pomalowany, który stał pod ścianą. Wysunął płytką szufladę i wyjął talię poplamionych kart. – Zagramy parę rozdań – oznajmił, po czym przysunął drugie krzesło dla siebie i usiadł naprzeciw Herricka. Z kieszeni na piersi wyjął niewielki woreczek tytoniu do fajki i też położył go na stole. – Lepiej odczekajmy parę minut – rzekł. – Tak na wszelki ffypadek.

Herrick niepewnie wyciągnął rękę, a Jansen zatrzaskał wokół niej obręcz kajdanek. Po czym zaczął rozdawać karty.

Madeline obserwowała to wszystko, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

– On jest niebezpieczny! – wybuchła. – Taki człowiek nie powinien chodzić na wolności! Jest groźny. To maniak.

Jansen odwrócił się do niej tak gwałtownie, jakby to ona zrobiła coś złego, a nie ten człowiek.

– On nie jest żadnym maniakiem – orzekł srogo.

– Nie? A jak pan nazwie człowieka, który bije kobiety...

– Ma po prostu pecha, i tyle. Niech pani idzie na policję, jak pani chce. Niech go zabiorą, jeśli to popraffi pani samopoczucie.

Przygryzła wargę. – Z własnych powodów, które nie mają z tym wszystkim nic wspólnego, wolę tego nie robić. Ale nie ujdzie mu to na sucho, jeśli spróbuje znowu z kimś innym, musicie to wiedzieć.

– Sama jest pani sobie ninna – odpowiedział jej. – Nie musiała pani przychodzić do jego pokoju. Ma pani dość rozumu. Nie jest pani dzieckiem.

– Dlaczego tak zaciekle go pan broni?

Tym razem mężczyzna ze złością uderzył dłonią w stół.

– On ocalił życie mojego syna. Zasłonił go własnym ciałem, gdy leżał tam bezbronny, nie mogąc się poruszyć, z nogą uwięzioną w minie pułapkowej. Nie zadawał wtedy głupich pytań, tak? Nie pytał, czy tak jest źle czy dobrze, tak? To niby czemu ja miałbym teraz pytać? Dzięki niemu Harald z poffodzeniem proffadzi teraz interesy w San Francisco. Ma uroczą żonę, trójkę ślicznych dzieci, piękny dom i samochód. Wszystko za spraffą tego „maniaka”, jak go pani nazwała. Jestem ubogi, ciężko pracuję, ale mam skrupuły...

Pewnie chciał powiedzieć zasady, domyśliła się.

– Ffiem jedno. Jak ma się dług, to go trzeba spłacić. Jak ktoś ci zrobi coś dobrego, to dobrem mu trzeba odplacić.

Przez cały ten czas Herrick siedział ze spuszczonym wzrokiem.

– Ilu pijanych mężów wraca do domów i bije żony? Ilu zazdrośnych kochanków pomiata swoimi ukochanymi?

– To go jeszcze nie usprawiedliwia – powiedziała, broniąc swego stanowiska, ale dosyć słabo.

– Nie, nie uspraffiedliffia. Obaj to ffiemy. Dlatego ustaliliśmy pomiędzy sobą ten sygnał.

– A co, jeśli przyjdzie taki dzień, o jeden dzień za dużo, gdy nie zapanuje nad sobą, nie da panu sygnału, ucieknie? Taki dzień przyjdzie z pewnością. Sam pan wie. I jakaś dziewczyna przyplaci to życiu.

Nic na to nie odpowiedział. Patrzył tylko w dół.

– Czy wtedy go pan ukryje? – drążyła. – Czy nadal będzie go pan chronił?

– Fffemy, co robić, gdy taki czas nadejdzie. Rozmawialiśmy o tym. Ustaliliśmy coś. Załatwimy to... między sobą. Tylko ffe dwóch.

Zobaczyła, że wymienili między sobą spojrzenie, którego nie umiała zinterpretować. Tylko dreszcz przeszedł jej po plecach.

Wzięli do rąk karty i zaczęli grać, a ona nadal stała w tych drzwiach, nie mogąc się oderwać, choć oni jakby zapomnieli o jej istnieniu.

– Jak pan się do niego zwrócił – spytała Jansena – zaraz kiedy pan tutaj wszedł? – Brutalne zajście pomiędzy nią a Herrickiem sprawiło, że nie miała śmiałości zwracać się do niego bezpośrednio.

– Ma na imię Vernon – odparł starszy z mężczyzn.

– A jak miała na imię jego żona? Ta, która od niego odeszła?

– Miał tylko jedną żonę – odrzekł Jansen. – Marikę. Była Polką.

Madeline zrobiła: – Hhhhh – tym przeciągłym wydechem dając wyraz swojemu rozżaleniu.

– Nie winię jej – rzekł Herrick. – Dobrze zrobiła. Miała wtedy dopiero dwadzieścia lat. Lepiej było po prostu odejść, niż puszczać się na prawo i lewo tuż pod moim nosem. – Wyłożył kartę.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało – powiedział do Madeline, nie patrząc na nią. – Przepraszam.

– W porządku – mruknęła ledwo słyszalnie. – Teraz już rozumiem.

Nagle podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy. – Dobranoc – rzucił bojaźliwie.

– Dobranoc – odpowiedziała. – Dziękuję za datek.

Dopiero poniewczasie zorientowała się, jak idiotycznie zabrzmiało to podziękowanie po tym, co między nimi zaszło.

Wrodzona prawość nie pozwoliła Madeline wyrzucić niewykorzystanych kopert i broszurek fundacji. Zostały jej przekazane w dobrej wierze i nieważne, jaki miała w tym swój własny cel. Dlatego też wsunęła do każdej koperty po kilka dolarów, wypisała na wierzchu nazwiska zmyślonych darczyńców i zamierzała zwrócić je, nie spotykając, o ile to możliwe, po raz drugi przedstawicielki fundacji. Było to bowiem spotkanie, na które wyjątkowo nie miała ochoty.

Wybrała jednak złą porę. Dziwnym trafem, którego nie sposób się ustrzec, akurat gdy prostowała się, wsunąwszy koperty pod drzwiami do jej pokoju, na końcu korytarza, wychodząc z windy, pojawiła się pani Fairfield i przyłapała ją na gorącym uczynku.

- Jak pani idzie zbiórka? – powitała Madeline wesoło.
- Właśnie skończyłam – odparła bez przekonania Madeline.
- Proszę wejść, to podliczymy.
- Niestety, spieszę się – zaproponowała Madeline.
- Ależ muszę wpisać kwotę i wydać pani pokwitowanie.
- Niech je pani zatrzyma dla siebie, nie mam nic przeciwko.
- Och, nie wolno nam tego robić! – sapnęła pani Fairfield przerażona, jak gdyby poproszono ją, by zdefraudowała pieniądze.

W międzyczasie otworzyła drzwi i ze stanowczością ujęła Madeline pod ramię, więc Madeline podążyła za nią, w duchu wzdychając z frustracji, gotowa poddać się z anielską cierpliwością opowiadaniu przez swą gospodynię o dawnych triumfach na niwie podbojów miłosnych i małżeńskiego życia.

Pani Fairfield, siadając przy biurku, by zająć się drobną buchalterią, spytała ją, czy chce kolejną partię kopert. Madeline podziękowała jej, odmawiając i tłumacząc, że wykorzystwała już cały swój wolny czas.

Wzdrygnęła się przy tym, gdy pomyślała o wydarzeniach ostatniego wieczoru przy Joseph Street.

A pani Fairfield, nosząc w sobie ponadprzeciętną dozę narcyzmu, podobnie jak wszystkie kobiety, które kiedyś były piękne, oznajmiła wtedy:

– Właśnie kazałam sobie zrobić kilka nowych zdjęć – wskazała na plik dużych, prostokątnych teczek ułożonych na biurku. – Pewnie uważa pani, że w moim wieku to niemądre.

Madeline posłusznie powiedziała to, co jak wiedziała, pani Fairfield chciała usłyszeć: – Nie jest pani tak stara, żeby przestać się fotografować.

– Przyjaciele nieustannie mnie prosili... – Pani Fairfield podniosła się i przyniosła dwa, by pokazać Madeline. – To podoba mi się najbardziej – rzekła. – Ale chciałabym poznać pani opinię. Na którym według pani wyglądam lepiej?

– Na tym – odparła Madeline zduszonym głosem. Jej wzrok nie spoczywał jednak na twarzy z fotografii. Utkwiony był w podpisie wykonanym atramentem w kolorze sepia, który biegł ukośnie w prawym dolnym rogu: Studio fotograficzne „U Vicka”.

– Vick – rzekła. – Czy to imię, czy nazwisko fotografa?

– Imię – odparła kobieta. – Choć pisownia jest dosyć niezwykła, prawda? Z K na końcu.

– Miałam kiedyś znajomego, który pisał swe imię w ten sposób – powiedziała Madeline. – Nie pamięta pani przypadkiem nazwiska tego fotografa?

– Niestety nie. – Kobieta w zamyśleniu zmarszczyła brwi. – Ale na pewno dostałam rachunek i na pewno go zachowałam. Zobaczę, czy uda mi się znaleźć.

I kilka minut później Madeline trzymała w dłoni rachunek. Studio fotograficzne „U Vicka” z adresem i numerem telefonu. Ana dole podpis: Vick Herrick.

Lokal wyglądał dokładnie tak, jak zakład usługowy wyglądać powinien, stwierdziła, z zaciekawieniem wchodząc z korytarza. Była nawet mała poczekalnia z biurkiem, z dziewczyną za biurkiem i stertą papierów, którymi musiała się zająć, na biurku. I z interkomem.

– Nazywam się Chalmers – oznajmiła Madeline. – Umawiałam się telefonicznie.

– Ach tak – przypomniała sobie dziewczyna. – Chciała pani być przyjęta jako ostatnia, jeśli to możliwe. No i udało się. Zechce pani usiąść? Pan Herrick będzie gotów panią przyjąć za kilka minut.

Parę jego oprawionych w ramki prac wisiało na ścianie. Przyglądała im się z uznaniem. Vick Herrick był kimś więcej niż sprawnym fachowcem, był artystą. Każde następne zdjęcie było ciekawsze od poprzedniego.

W fotografii portretowej był niemal surrealista. Wisiało tam jedno urzekające studium młodej dziewczyny, które raz dostrzeżone, nie pozwalało oderwać od siebie wzroku. Osiągnął to, co niemożliwe, przez złamanie wszystkich zasad fotografowania. Światło padało *zza* modelki, a nie z przodu. Oślepiająco jasne światło zdawało się wręcz eksplodować, jak gdyby zaszła jakaś gwałtowna reakcja chemiczna. Musiał mieć potężną gołą żarówkę ukrytą gdzieś za jej głową. Widać było niemal bijące od niej promienie niczym promienie słońca ukrytego w kłębowisku chmur. Skutkiem tego twarz pozostawała oczywiście w cieniu, widoczny był tylko zarys, kontur. Wziął też coś, co odbijało światło, może wąski pasek lustra, umieścił je z przodu i skierował prosto na twarz, tak iż oczy skąpane były w mglistej poświacie, wąska linia biegła grzbietem nosa i lekko zaznaczała krzywiznę dolnej wargi. Nic ponad to. Było to jak szkic twarzy wykonany kredą na czarnej tablicy. Jak negatyw, gdzie wszystko, co białe, wychodzi czarne. A jednak zdołała się przez to przebić delikatność rysów dziewczyny, a wraz z nią coś jakby samotność i lęki młodości. Było to wcielenie wdzięku zaklęte w płaskorzeźbę ze światła i cienia.

– Kto to jest? – spytała Madeline z otwartą z podziwu buzią.

– Każdy, kto tu przychodzi, o to pyta. – Dziewczyna uśmiechnęła się, po czym dodała: – Nie domyśla się pani? Trzeba prawdziwej miłości, by stworzyć takie dzieło, nie wystarczy tylko zręczność w posługiwaniu się aparatem. To jego żona.

Czy to te same oczy, które zamknęły się tuż przy moim sercu? – zastanawiała się Madeline. Czy to ta twarz, z której na moich oczach uszło życie? Te oczy, które jak teraz uwierzyła, znała, zdawały się posiadać wiedzę o nadchodzącej śmierci, zdawały się patrzeć na nią z daleka, czekając, czekając...

– Mógłby zdobywać za to nagrody na wszystkich pokazach – mówiła dziewczyna – ale nie chce wystawiać. Słyszałam, jak ludzie chcieli to od niego kupić, ale każdego mierzył tylko spojrzeniem...

– Czy tak właśnie wyglądała? – spytała Madeline, dodając w myślach: „za życia, zanim zginęła”.

– Nigdy jej nie widziałam – odparła dziewczyna.

– To zdjęcie nie było zrobione tutaj, w studio?

– Musiał je zrobić w domu. Albo gdzieś indziej. Przyniósł je któregoś dnia. Wie pani, są teraz w separacji...

– O – wydusiła Madeline.

– Tak mi się wydaje. – Po czym wyznała konspiracyjnym tonem, który przybierają kobiety, gdy tylko mowa jest o sprawach serca: – Któregoś ranka przyszedłam do pracy i zastałam go śpiącego w fotelu. O, w tamtym, naprzeciwko zdjęcia. W ogóle nie poszedł do domu. Tysiące niedopałków. Pusta butelka. Abażur lampy przekrzywiony tak, że światło padało dokładnie na portret. Przez całą noc... – Ze współczuciem pokręciła głową. – Udawałam, że niczego nie zauważyłam. A nie było to łatwe. Jednak to się nigdy nie powtórzyło. Podejrzewam, że robił to także później, ale w domu.

Madeline spuściła wzrok, zamyślona.

Dziewczyna rzekła: – Zaraz będzie gotów panią przyjąć. Chciałaby pani się odświeżyć przed wejściem? Za tymi drzwiami jest mała łazienka. Znajdzie tam pani chyba wszystko, co trzeba.

Madeline wstała i weszła.

W łazience stała podłużna toaletka z lustrem na całej długości. A na niej różnorakie buteleczki, brylantyny i takie tam.

Zdjęła zegarek i położyła go na blacie. Przeczesała lekko włosy. Następnie wyciągnęła kilka papierowych chusteczek z pudełeczka i przykryła nimi zegarek. Podniosła się i podeszła do drzwi. Obejrzała się, lecz fragment zegarka był jeszcze widoczny. Wróciła i poprawiła chusteczki, tak że przykryły go zupełnie, schowały całkowicie. I wtedy wyszła.

Miała być tego dnia ostatnią klientką. Nikt inny nie powinien tam wchodzić. Tylko ta dziewczyna, żeby pozamykać drzwi i pogasić

światła. Madeline miała nadzieję, że jest uczciwa. Przynajmniej miała własny zegarek, Madeline widziała go u niej na ręce, więc chociaż to mogła uznać za swoje zabezpieczenie.

– Może już pani wejść – powiedziała dziewczyna.

Drzwi do właściwego atelier stały teraz otworem.

Madeline przeszła przez nie, a tam stał i patrzył na nią mężczyzna.

Po raz pierwszy ujrzeni się nawzajem. Po raz pierwszy ich oczy spotkały się i patrzyły na siebie. Po raz pierwszy w życiu. Zabójczyni i jej przyszła ofiara.

Początkowo zyskała jedynie ogólne wrażenie, uproszczony obraz. Dwuwymiarowy, bez głębi. Nie było czasu na nic więcej, jej zmysły zbyt szybko były zaabsorbowane fizyczną bliskością spotkania, by mogła stanąć z boku i przyjrzeć mu się dokładniej. Miła twarz, niezbyt przystojna, ale i niebrzydka, proporcjonalna, bez żadnej wystającej szczęki czy czegoś takiego, i niczym się niewyróżniająca. Włosy bardzo jasnobrązowe, lecz nie całkiem blond, lekko pofalowane. Brwi nieco ciemniejsze i jeszcze ciemniejsze oczy. A w nich inteligencja i jakaś taka wrażliwość... Około metra osiemdziesiąt wzrostu, zgrabny, lecz niezbyt mocnej budowy, raczej szczupły.

A gdy po chwili się odezwał, głos miał delikatny, choć niewysoki, bez akcentu czy naleciałości, ot, zwyczajny, dobrze wychowany mieszkaniec wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych.

Krótko mówiąc: ktoś, kogo z łatwością można polubić... jeśli nie trzeba go zabić.

– Jest pani bardzo ładna, panno Chalmers. – Oto, jak ją powitał.

Przemawiał przez niego zawodowy obiektywizm, nie żadne osobiste zainteresowanie, tyle wiedziała.

– Pewnie pani o tym wie – dodał – nie muszę pani mówić.

– Takie rzeczy się wie – odparła zwyczajnie. – Trzeba być głupcem, żeby nie wiedzieć. Albo kłamcą.

Posłał jej szybkie spojrzenie, jakby mu się to spodobało. Jakby uznał to za miłą odmianę.

– Czy to pańska żona jest na tamtym zdjęciu? – spytała. – Też jest piękna.

– Asystentka już pani powiedziała, kto to jest – rzekł cicho.

Przyjęła ten przytyk niewzruszona. – Chciałam się upewnić.

Odpowiedział na jej poprzednie zdanie: – Owszem – przyznał. – Starr jest bardzo piękna.

Nareszcie, wykrzyknęła radośnie w duchu, w wyobraźni zacisnęła pięść i machnęła nią w dół. Na-resz-cie. Żadnych więcej pomyłek, żadnych fałszywych alarmów. Żadnych hałaśliwych fanów baseballu, żadnych żalonych wraków wojennych. Nareszcie ten właściwy. Człowiek, którego poślubiła Starr, tutaj, przed nią.

– Chyba dobrze będzie, jeśli usiądzie pani tutaj – rzekł, przesuając lakierowane krzesło. – Zrobimy ujęcie samej tylko twarzy i szyi.

Krążył wokół niej, przesuając i poprawiając rozmaite ekrany i lampy, a każdy jego ruch wyrażał pewność, pełną świadomość tego, co chciał osiągnąć.

– Proszę się rozluźnić. Może pani założyć nogę na nogę, jeśli pani chce. Najpierw przeprowadzę kilka prób ze światłem.

– Z tymi rękami nie wiem, co zrobić – wyznała.

– Co tylko pani chce. I tak nie będzie ich na zdjęciu. Proszę. Czasem korzystam z tego. – Wcisnął jej do ręki najzwyczajniejszy ołówek. – Niech pani z nim robi cokolwiek. Niech się pani nim bawi. Byleby tylko nie zaciskać pięści. To może wpłynąć na układ ramion, a czasem nawet i karku.

Włączył coś i jupitery zalały ją oślepiającym blaskiem, jasnym jak błysk magnezu.

– Proszę postarać się nie mrugać. Za chwilę się pani przyzwyczai.

Przyćmił nieco to światło.

Zna swój fach na wylot, pomyślała.

– Cieszę się, że nie założyła pani biżuterii – powiedział. – Biżuteria odciąga uwagę od twarzy, która powinna być na zdjęciu najważniejsza.

Pomyślała o zegarku. Miała nadzieję, że dziewczyna nie pójdzie do łazienki zbyt szybko, zanim ona zdąży wyjść z atelier.

– Proszę się lekko przekręcić w tę stronę. Widzi pani to połączenie dwóch ścian, o tam? Proszę tam patrzeć. Nie, to spojrzenie jest bez wyrazu. Proszę pomyśleć o czymś nieco zagadkowym. Może pani? Nieco tajemniczym, nieodgadnionym.

– Zagadkowym?
– Mogę dzięki temu uzyskać ładną linię brwi, pewne ich uniesienie, którego nie da się uzyskać w żaden inny sposób. Pewnego dnia pozowała mi kobieta, która twierdziła, że jest bardzo słaba z matematyki. Zadawałem jej trudne przykłady z tabliczki mnożenia, wie pani, mnożenie przez trzynaście, czternaście, i uzyskałem cudowne wprost brwi. Stanowiły o całej jej twarzy. Większość brwi jest zbyt prosta.

Pomyślała: Trudno jest zabić człowieka, którego nie darzy się nienawiścią. Nienawidzi się go tylko w zastępstwie...

– Cóż to był za niezwykle wyraz twarzy! – wykrzyknął z zadowoleniem. – Jeden z najbardziej niezwykle, jakie widziałem!

– A kiedy zamierza pan zrobić to zdjęcie? – spytała.

– Właśnie zrobiłem – odparł beznamiętnie. – Ta pani twarz była zbyt dobra, by dać jej przeminąć. Będzie pani miała wspaniały portret.

Pstryknął jej jeszcze parę zdjęć, zmieniając kąt widzenia, aż wreszcie skończył.

– Dziękuję – rzekła. Wyciągnęła rękę, bardziej, żeby wypróbować jego uścisk, niż w jakimkolwiek innym celu.

To był szczerzy, ciepły i pewny uścisk.

Uścisk człowieka uczciwego i prostolinijnego.

Pierwszy telefon wyprzedził ją w drodze do hotelu. Rozbrzmiewał, gdy otwierała kluczem drzwi. Nie podeszła, by go odebrać; zamiast tego ostrożnie zamknęła z powrotem drzwi, zdjęła kapelusz, rozsiadła się wygodnie w kącie sofy, w ogóle na niego nie zważając, jak gdyby była jak pień głucha. Aż w końcu się wydzwonił.

Zadzwoił znowu jakiś kwadrans później. Tyle musieli odczekać, by dać jej dodatkowy czas na dotarcie do domu. Znowu nie odebrała. Odbierając, chciała, by był już poza zakładem. Znowu pozwoliła, by telefon wybrzęczał się jak nie wyłączony budzik.

Za trzecim razem zadzwonił szybciej, w ciągu jakichś dziesięciu minut. Tym razem podeszła i odebrała. Była już prawie szósta. Niezmożliwe, żeby tak późno był jeszcze w atelier, nieważne, czy znalazł jakiś tam zegarek, czy nie.

– Panna Chalmers? – To był jego głos, nie dziewczyny.

- Tak? – rzekła niewinnie, jakby nie wiedziała, kto dzwoni.
- Mówi Herrick, fotograf. Czy nie zgubiła pani przypadkiem zegarka?
- Owszem – skłamała jak z nut. – Właśnie weszłam do domu i spostrzegłam, że go nie mam. Myślałam, że mogłam go zostawić w taksówce...
- Znaleźliśmy go w łazience – powiedział. – Nie chciałbym pani urazić, ale czy mogłaby go pani opisać?
- Jest platynowy, okrągły, z wianuszkami diamentów wokół tarczy. Marka Patek Philippe. Zamiast typowego paska czy bransoletki ma plecionkę z czarnego sznurka.
- To ten – odrzekł. – Mam go. Panna Stevens znalazła go tuż po pani wyjściu.
- Och, bardzo jej jestem wdzięczna! – wykrzyknęła żarliwie. – Co za ulga. Nie wiem, jak państwu dziękować. Dostałam go od ojca na urodziny. – To ostatnie było nawet prawdą.
- Mam go teraz przy sobie – oznajmił. Po czym dodał: – Jestem w hotelu, na dole. Czy mam go zostawić w recepcji?
- Nie, nie – wykrzyknęła z koszmarnym niepokojem, który on zapewne wziął za przesadną wdzięczność. – Proszę wejść na górę, chociaż na chwilkę. Muszę podziękować panu osobiście.
- Chętnie. – Odwiesił słuchawkę.
- Miała go teraz na swoim terytorium. Podstęp zadziałał przepięknie, bezbłędnie od początku do końca.
- Za oknami było jeszcze jasno, lecz ona włączyła jedną lampę, tak aby usiadł w bijącej od niej jasności tam, gdzie zamierzała mu zaproponować, i by ona mogła dokładniej przyjrzeć się jego twarzy. Nie był jedynym specem od efektów świetlnych, pomyślała z pewną arogancją. Z tą różnicą, że on stosował je dla większej atrakcyjności, ona – by zdobyć informacje.
- Zastukał, ona otworzyła, on wszedł.
- Podał jej zegarek, a ona odegrała niezłą scenkę, wydając słabe okrzyki, przez moment przyciskając nawet przedmiot do swego serca. Wreszcie założyła go z powrotem na rękę.
- Nie wiem, jak to się stało.
- Nie mamy w zakładzie sejfów, nie trzymamy tam niczego szczególnie wartościowego, a nie chciałem zostawiać go na noc tak

zwyczajnie w szufladzie biurka. Postanowiłem zabrać go do domu i zadzwonić do pani jutro rano, ale wiedziałem, że może się pani zamartwiać przez całą noc, więc w drodze do domu kazałem taksówkarzowi zatrzymać się tutaj.

– Proszę usiąść i się rozgościć. – Ledwo dostrzegalnym gestem zaprowadziła go dokładnie tam, gdzie chciała, by usiadł. – Pozwoli pan, że postawię panu drinka, by okazać swą wdzięczność.

– Proszę sobie nie robić kłopotu – sprzeciwił się.

Ona była już jednak przy telefonie. – Niech pan mi nie odmawia tej przyjemności, poczuję się urażona. Czego się pan napije?

– Szkockiej z wodą.

– Jakiej szkockiej?

– Chivas Regal.

– Obsługa? – rzuciła do słuchawki. A po chwili zakończyła: – Jedną podwójną i jedną pojedynczą.

– Mam w tym hotelu stałą klientkę – oznajmił, gdy znów do niego dołączyła.

– Znam ją – odparła.

Roześmiali się oboje, dobrze wiedząc, o co chodzi, ale dobrodusznie, bez złośliwości, nie musząc mówić nic więcej.

– Chyba nigdzie się pan przeze mnie nie spóźni? – spytała. – Mam nadzieję, że żona na pana nie czeka?

– Nie jesteśmy już razem – odparł głosem bez wyrazu.

– Przykro mi.

– No to jest nas dwoje.

Oczywiście nie było to dla niej żadną nowiną, lecz teraz, kiedy udało jej się zaaranżować wszystko tak, że wyglądało to, jakby dowiedziała się od niego, ich znajomość mogła rozwijać się bez przeszkód.

Nie zostało powiedziane nic godnego uwagi, ale też było na to jeszcze za wcześnie.

Dowiedziała się o nim drobiazgów, poznała pewne niuanse jego osobowości, nic więcej. Pił powoli i zostawił w szklance sporą ilość drinka. Oznaczało to, że nie jest pijakiem, nie pije nawet umiarkowanie, a jedynie czasem dla towarzystwa. Nie był nerwowy ani niespokojny. W pewnym momencie strzelił tłumik w jakiejś wielkiej ciężarówce gdzieś tuż pod oknem, powodując ogłuszający huk. Madeline aż

podskoczyła. On nawet się nie poruszył, posłał jej tylko żartobliwie współczujący uśmiech. Zaraz po tym, jak usiadł, zauważyła też, że założył nogę na nogę. Lewą na prawą. Pod koniec, kiedy już oboje gotowi byli wstać i się pożegnać, spostrzegła, że nadal je tak trzyma, lewą na prawej. Był łagodny w obejściu, a już sama jego obecność zarażała spokojem.

Sporo też przyglądała się jego dłoniom. Były to dłonie wrażliwe, sprawne, idealne do pracy, którą wykonywał. Miał na płasko obcięte paznokcie. Z pewnością sam je sobie obcinał, nie był jednym z tych fireyków, co to chodzą do manikiurzystki. Były jednak nieskazitelnie czyste. Nie potrafiła w nich dostrzec żadnego okrucieństwa czy podłości. Ale czy mogła mieć co do tego pewność? Przecież niezależnie od wszystkiego były to tylko ręce, a nie umysł, który nimi kierował. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek zacisnęły się i wymierzyły powodowany gniewem i nienawiścią cios w Starr.

Cały czas nosił ślubną obrączkę, jedną z pary, którą zapewne wymienił się ze Starr.

Coś jej powiedziało, choć sama nie wiedziała co, że nie, nigdy nie uderzył w gniewie czy nienawiści swojej żony.

Zdawał się czuć w jej towarzystwie swobodnie, nie podejmował żadnych drastycznych prób, by wstać i wyjść. Celowo zwlekała, przedłużała to spotkanie, aż na dworze zupełnie pociemniało i było już za późno, by poszedł gdzieś na kolację.

Wówczas sprytnie podeszła do telefonu i tak, by on nic nie słyszał, poprosiła, by do pokoju przyniesiono dwie karty dań.

- Co to ma znaczyć? – spytał ją, gdy w drzwiach stanął kelner.
- Zamawiam dla nas kolację – odrzekła czarująco.

Zaczął się podnosić, by zaprotestować, lecz widziała, że mu to schlebiło. – Nie mogę pani na to pozwolić...! – Po czym: – No dobrze, ale pod warunkiem, że ja zapłacę...

– To ja tutaj mieszkam – odparła stanowczo. – Zrewanżuje mi się pan innym razem.

W końcu poszli na kompromis, zeszli na dół i usiedli przy stoliku w kącie, który zwykle zajmowała Madeline – ona podpisała rachunek, a on zostawił napiwek.

Gdy już sprawa kolacji została załatwiona, nietrudno było zwabić go z powrotem na górę. Nie mógł zostawić jej od razu po posiłku, by nie spotkać się z zarzutem, że „najadł się i uciekł”.

A nosił w sobie ogromne poczucie odpowiedzialności towarzyskiej, tyle umiała już o nim powiedzieć.

Na górze, mając przed sobą po lampce koniaku, symbolicznie raczej, niż żeby się napić, poczuli, że zrodziła się między nimi pewna bliskość. Kolacja i drink przed nią podziały odprężająco i bez większych trudności, przy pomocy jednego zręcznego pytania, może dwóch, Madeline skłoniła go do opowiedzenia o sobie. Nie o swoim wnętrzu, tym, które znała Starr, rzecz jasna. Na to się nie odważyła. Było jeszcze za wcześnie, na pewno by się od tego wykręcił. Zapytała jednak o jego pracę, doświadczenie zawodowe.

– Jak to się stało, że zaczął pan fotografować?

– Urodziłem się z tym – odparł szczerze. – Nie mógłbym robić nic innego.

Na dziesiąte czy jedenaste urodziny dostał od ojca aparat fotograficzny, jeden z tych najprostszych kodaków z tamtych czasów. Prawie wszyscy chłopcy dostają coś takiego w którymś momencie swego życia i prawie wszyscy interesują się przez czas jakiś fotografowaniem, podobnie jak zbieraniem znaczków, monet i tym podobnych. A potem zainteresowanie przemija i zostaje zapomniane.

Jednak już w pierwszej chwili, gdy on dotknął aparatu, coś się stało. – Już wtedy wiedziałem, kim będę. Wiedziałem, co chcę robić, co muszę robić. W dłoniach trzymałem swój zawód.

Szybko nauczył się obsługi urządzenia i wywoływania własnych zdjęć. Podobnie zresztą jak większość chłopców, bo wywoływanie filmów w pobliskiej drogerii było zbyt kosztowne, nawet w czasach tamtych niskich cen.

Chodziło jednak o coś więcej. Było tak, jakby drzemała w nim do tej pory jakaś siła, pęd, rezerwar twórczych zdolności, aż pojawiło się to ujście i ową siłę uwolniło, zadziało jak katalizator, tak iż miała płynąć nieprzerwanym strumieniem aż do końca jego dni.

Od samego początku nie interesowało go pstrykanie fotek szczerzących się w uśmiechach przyjaciół, ich szczeniąt czy małych siostrzyczek. Ani szkolnej drużyny w strojach do baseballu.

Tylko niezwykle ujęcia i perspektywy. Zawsze szukał nowej, innej perspektywy. Tej intruzji własnego ja pomiędzy obiektyw a fotografowany obiekt, która przeistacza zwykły mechaniczny proces w sztukę. Po drugiej stronie ulicy, nieco z boku, stała latarnia, którą widział z okna swojego pokoju. Tak na co dzień nic nadzwyczajnego. Latem rzuciła delikatne, przymglone światło, rozmazywane w powietrzu przez wilgoć. Jesienią wirowały u jej podstawy suche liście. Ale najlepsze przychodziło zimą, gdy płatki śniegu opadały delikatnie wzdłuż słupa, zapalając się na moment jak iskierki i niknąc na powrót w ciemności.

Chciał to mieć od *dołu*, bezpośrednio spod latarni, nic innego go nie satysfakcjonowało.

Czekał więc cierpliwie, aż to, czego pragnął, nadeszło: potężna zamięć, napadało chyba z metr śniegu. Wymknął się z domu około północy, gdy na ulicach już prawie nikogo nie było. Leżał pod latarnią na plecach, celując w lampę. Była druga nad ranem, gdy uzyskał wreszcie to, czego chciał, to jedno idealne ujęcie, a ślady, które jego ciało odcisnęło w śniegu, przypominały szprychy koła utworzonego wokół słupa latarni.

Matka prawie przez godzinę nacierała mu plecy spirytusem, ale i tak nazajutrz zmogło go zapalenie płuc. Jedyne, co powstrzymało jego ojca przez porządym laniem, to fakt, że był taki chory. Jednak kara, która naprawdę by go dotknęła, nie została wymierzona. Nie odebrali mu aparatu. Zapewne czuli, co by to dla niego znaczyło.

Innym znowu razem chciał zrobić zdjęcie przecinającej niebo błyskawicy. To też chciał mieć spod spodu, jakby leciała wprost na niego. I znowu położył się na plecach, tym razem na polance w parku pośród szalejącej letniej burzy z aparatem wetkniętym pod brodę, owinięty brezentem. Większość błysków oświetlała całe niebo, były bezużyteczne, nie pozostawiały ciemności, na której tle byłyby widoczne świetliste zygzaki. Kilka razy piorun musiał trafić gdzieś blisko, poczuł, jak ziemia drży, lecz zbyt szybko był zajęty, by mieć czas na strach. Musiał zużyć trzy rolki filmu, próbując uzyskać to, o co mu chodziło. Ale tak jak poprzednim razem, w końcu to uzyskał. Błyskawicę, którą można było wywołać i sprawić, by trwała wiecznie.

– Jak przewód pod napięciem, jak włókno żarówki... wie pani, co mam na myśli?... sunące zygzakiem przez niebo. – Po czym dodał tęsknie: – Jeszcze gdzieś to mam.

I tak to szło przez całą jego młodość. Człowiek ze spawarką w chmurze iskier, woda fontanny zniesiona w bok przez wiatr, żelazna kula w momencie zetknięcia z burzoną ścianą, mężczyzna w kabinie dźwigu w czarnej ramce okienka z tyłu widziany z końca ramienia. Spędzał w tych sytuacjach całe godziny, dopóki nie trafił na takie ujęcie, o jakie mu chodziło. Nawet pijacy śpiący w bramach nie umknęli jego wzrokowej żarłoczności. Przy jednym czuwał cierpliwie któregoś popołudnia, aż pewien szczególny ukośny promień słońca pochwycił i rozświetlił pustą butelkę tuloną przez pijacznę do piersi, która z kolei zesłała odbite światło na twarz śpiącego. Wyglądał jak ktoś pochylający się nad żarem po ogniu, który go strawił. Historii, jaką opowiadało zdjęcie, można się było domyślić, lecz tylko on wiedział, jak uchwycić to maleńkie coś, co nadało mu pełny wyraz.

Raz omal nie stracił życia, leżąc na brzuchu pod zaparkowanym samochodem i robiąc zdjęcia stopom ludzi idących chodnikiem, gdy właściciel niespodziewanie wsiadł i zapalił silnik.

Po szkole podstawowej poszedł do technikum, wybierając jako swój fach fotografię, ale niewiele mogli go tam jeszcze nauczyć. Dowiedział się trochę o najnowszym sprzęcie i metodach obróbki fotografii, i to wszystko. Sam mógł uczyć swoich nauczycieli, jak zrobić niezapomniane zdjęcie. Cóż, zyskał przynajmniej niezbędne uprawnienia.

Początkowo było mu bardzo trudno. Pracował w kilku atelier jako pomocnik, ale zarabiał tyle, że nie był w stanie się utrzymać, a poza tym ciekawa część pracy, ta twórcza, nie przypadła mu w udziale. Czasem robił co najwyżej za posłańca, przynosił kawę, zamiatał podłogę, opróżniał pojemniki z roztworów w ciemni.

Musiał brać różne inne prace, co tylko zdołał znaleźć, by związać koniec z końcem. Aż pewnego lata udało mu się znaleźć zatrudnienie jako maszynista w jakimś letnim teatrze w małej miejscowości wypoczynkowej. Pojechał tam, by zarobić trochę jako kelner w jednym z tamtejszych hoteli. Pewnego razu człowiek, który zajmował się oświetleniem (wystawiali jedną sztukę w tygodniu) został ranny w wypadku samochodowym, dojeżdżając z miasta, i zostali na lodzie.

Herrick przekonał szefów, aby pozwolili mu zastąpić nieobecnego, i wykonał dla nich tak miłą dla oka robotę (sztuka – *Berkeley Square** – zresztą idealnie nadawała się do eksperymentowania ze światłem), że postanowili go zatrzymać.

* *Berkeley Square* – sztuka napisana w 1929 roku przez Johna Balderstona, opowiadająca przygody młodego Amerykanina przeniesionego w czasie i przestrzeni do Londynu w okresie amerykańskiej wojny o niepodległość, gdzie ma okazję poznać swoich przodków.

Po zakończeniu sezonu pojechał do Nowego Jorku, zaopatrzony w list polecający od dyrektora teatru letniego, by zmierzyć się z teatrem w wielkim mieście. Po kilku ciężkich miesiącach zdobył wreszcie pracę i po tym, jak naharował się niczym muł przy reflektorach i barwnych nakładkach, przy przenikaniu i całej reszcie, sztukę błyskawicznie zdjęto ze sceny, już po dwóch przedstawieniach. Niebawem znalazła się inna sztuka, i tak co rusz.

Jedna czy dwie recenzje wspominały nawet pochlebnie o efektach świetlnych, co jest dosyć niezwykle. Ale pochlebnymi recenzjami człowiek się nie naje, tym bardziej że nie zostało w nich wymienione jego nazwisko, więc kogo to obchodziło?

– Mimo wszystko nie pasowała mi ta robotka. Nie dawała mi szans na rozwój. A odstęp pomiędzy przedstawieniami był nieraz bardzo długi.

Aż któregoś wieczoru odtwórczyni głównej roli w sztuce, przy której akurat pracował, przyłapała go, jak po kryjomu robił jej zdjęcia zza kulis, gdy schodziła ze sceny. Kazała pokazać sobie nazajutrz gotowe odbitki i była pod takim wrażeniem, kiedy je obejrzała, że zaproponowała, iż je od niego kupi. Jednak on zwyczajnie je jej podarował. Po nitce do kłębka, w trakcie rozmowy wyznał jej, jakie ma marzenie. Skończyło się tak, że kobieta go wsparła, pożyczyła dość pieniędzy, by mógł otworzyć własny zakład i zacząć zarabiać na swoim.

– Wszyscy w teatrze oczywiście myśleli, że coś się za tym kryje. Była kobietą około czterdziestki i słynęła ze swej słabości do znacznie młodszych mężczyzn. W naszym przypadku jednak nic takiego nie miało miejsca. Prawdę mówiąc, akurat w tym czasie była bardzo zakochana w kimś innym. Kochała jednak ludzi w ogóle i uwierzyła w

mój talent i moje umiejętności na tyle, by chcieć mi pomóc. Nic więcej się za tym nie kryło. A ja dopilnowałem, by ta pożyczka została spłacona co do grosza.

Wiedziała, że tego dopilnował; taki już był.

– Była moją pierwszą modelką. I pozwoliła mi wystawić jeden z zrobionych przeze mnie portretów za szkłem przy wejściu z ulicy do studia. Rozgłos pomógł; nie ona go potrzebowała, lecz ja...

Wyszedł około jedenastej. Niewiele zostało osiągnięte, ale przynajmniej był to jakiś początek. Powstały podwaliny. Byli już teraz dla siebie „Vickiem” i „Madeline”. No i był jej winny kolację. To ważne, bo był wyjątkowo wyczulony na punkcie wypełniania wzajemnych zobowiązań, tego już była co do niego pewna. Jeśli miał dług, to zawsze go spłacał.

W każdym razie kości zostały rzucone.

Zadzwonił po tygodniu, jakoś tak w weekend.

– Vick Herrick.

– Witaj, Vick.

– Dostałem dwa bilety na przedstawienie i jeśli nie jesteś dziś wieczorem zajęta, to pomyślałem, że może zechciałabyś ze mną pójść.

– Z przyjemnością – odparła natychmiast.

– Ale najpierw zjemy razem kolację i...

– Nie – przerwała mu równie szybko. – Darujmy sobie tę kolację.

Chciała, by nadal czuł się jej dłużnikiem, by wciąż miała okazję spotkać się z nim po raz trzeci.

– Nie pozwolisz mi zaprosić się na kolację? – rzekł, zawiedziony.

– Innym razem, ale nie dziś. Chętnie za to obejrzę z tobą przedstawienie, a potem możesz postawić mi kawę. Lubię posiedzieć i porozmawiać długo w noc.

– W porządku. Przyjadę po ciebie do hotelu.

– Możemy spotkać się przed teatrem, jeśli chcesz.

– Nie, to jeden z tych przybytków na uboczu, może ci być trudno go znaleźć. Wpadnę po ciebie o ósmej.

Czekała na niego przy samym wejściu, by zaoszczędzić im obojgu czasu i kłopotu. Ponieważ w grę nie wchodził romans, nie było powodu, by zgrywać się na nieśmiałą i nieprzystępną, każąc mu

wchodzić do holu, anonsować się przez recepcję w pokoju i zawracać głowę całą resztą zalotnych manewrów.

Rozpoznała go w oknie taksówki, która podjechała, i znalazła się przy nim, akurat gdy otwierał drzwi, żeby wysiąść.

– Jak ci się podoba taka punktualność? – spytała wesoło.

– Jak w zegarku – uśmiechnął się szeroko. – Z kimś takim jak ty zdążyłbym na każdy pociąg.

Tylne światła pojazdów w przedzie dodały ich twarzom chropowatości, kiedy taksówka znowu ruszyła.

– Dostałaś zdjęcia? Podobały ci się?

– Vick, są po prostu niesamowite! Jak ty to robisz?

– To mój *métier*, jak mówią Francuzi. À propos, nie powiedziałaś mi... o czym właściwie myślałaś, że uzyskaliśmy tak piękną linię brwi?

Roześmiała się. – Wiesz co? Gdybym ci powiedziała, sam uniósłbyś brwi ze zdumienia...!

– Nie gwarantuję, że ta sztuka, na którą jedziemy, to coś dobrego – powiedział. – Dwa lata temu wystawiono ją w Nowym Jorku w jednym z tych małych teatrów poza Broadwayem. Chyba nawet wtedy nie pracowali przy niej zawodowcy. Tak więc pewnie zobaczymy dziś teatr objazdowy w jakiejś amatorskiej produkcji.

– Nie szkodzi – odparła z wyrozumiałością. – Zawsze będzie to jakieś doświadczenie.

I było. Nosiło tytuł *Powiązanie* i dotyczyło w jakiś sposób problemu uzależnienia od narkotyków. Poza tym sztuka była kompletnie niezrozumiała. Scenę ustawiono pośrodku widowni, jakby to był ring bokserki. Postawiono na niej dwa czy trzy drewniane krzesła i to było wszystko. Paru mężczyzn stało pośrodku i rozmawiało. Od czasu do czasu jeden z nich odchodził na bok, by po chwili znów dołączyć do reszty. I tyle było odnośnie dramatyizmu akcji.

Madeline nie była mocno zawiedziona; była tam przez wzgląd na rozwój akcji swojego własnego dramatu, a nie po to, by oglądać inny. Chwilami drażniły ją tylko twarze innych ludzi widziane pomiędzy nogami aktorów, kiedy ci poruszali się po scenie lub zmieniali pozy. Niweczyło to wszelkie szanse sztuki na stworzenie jakiegokolwiek iluzji.

W pewnym momencie oboje obrócili się jednocześnie i popatrzyli na siebie.

– Słyszę ich doskonale – wyszeptwała. – Mają świetną dykcję. A jednak nie mogę zrozumieć, o czym mówią.

– Miałem właśnie powiedzieć to samo – zachichotał. – Myślę, że w znacznej mierze posługują się slangiem, to dlatego. Slangiem narkomanów, rozumiesz.

Dzielnie zmagali się ze sztuką jeszcze dość długo, lecz w końcu poddali się i wyszli, gdy uznali, że nie widać jej końca.

– I tak nie wiem, jak zorientowalibyśmy się, że to już koniec – zauważyła, wychodząc. – Nie ma nawet kurtyny.

– Pewnie dałoby się to poznać po ogólnym ożywieniu na widowni. Doprawdy, winien ci jestem przeprosiny.

– Ależ skąd. To część rzeczywistości, w której żyjemy. Niewielka część, ale zawsze. Może narkomani naprawdę stoją nawet gdzieś tutaj i czekają; nigdy żadnego nie znałam. Mimo wszystko, cieszę się, że tam poszliśmy.

– To było chyba bardzo awangardowe. Ale dlaczego nie mogło być przy okazji zrozumiałe? To nigdy nie idzie w parze.

– Nie przepadam za tego rodzaju sztuką – wyznała. – Chyba urodziłam się o sto lat za późno.

To prawda. Była formalistką. Miała staroświeckie upodobania. W dramatach chciała widzieć intrygę (jak u Szekspira); w muzyce chciała słyszeć melodię (jak u Verdiego, u Straussa); w obrazach chciała widzieć odzwierciedlenie naturalnych kształtów (jak u Rembrandta, u Tycjana, u Rafaela). Ci twórcy byli dla niej najlepsi.

Nie interesowały jej przedszkolne bazgroły kredkami, jeśli wykonane były przez dorosłych. Ani narkotyczne sny palacza trawki improwizowane na puzonie, których nie dałoby się zapisać w formie nut. Ani rzeźby stworzone z siatki ogrodzeniowej. Ani ludzie na scenie, którzy gadali, ale się nie poruszali.

Dla niej wszystko musiało być wyłożone czarno na białym, perfekcyjne, dopracowane, bez żadnych dziur, które samemu trzeba by zapełniać.

I coś z tego dążenia do kompletności, do symetrii musiało leżeć u podstaw jej wewnętrznego przymusu, by dokończyć życie w imieniu

Starr. Już nie tylko wzbudzone na początku poczucie winy o tym decydowało, ono bowiem do tej pory już dawno by wygasło.

Jakiś modernista na pewno odszedłby ze śmiechem. *Ja* miałbym dokańczać za kogoś życie? Mam własne i to mi w zupełności wystarczy.

Jednak wiek dziewiętnasty by ją zrozumiał. Wiek dziewiętnasty i jego idealizm.

Znaleźli maleńki lokal, gdzie podawano espresso, dosyć mroczny, jakby oświetlał go tylko migoczący płomień zapalki, ale dobrze się w nim rozmawiało. Usiedli w kącie, tam gdzie najciemniej, ledwo widząc nawzajem swoje oczy. Dziewczyna oparta plecami o ścianę brzdękała leniwie na mandolinie, lecz zdawało się, że wszystko, co zacznie, kończy już po pierwszym takcie.

– Opowiedz mi o swojej żonie – rzuciła tak, jak rzuca się maleńki kamyczek w gładką toń wody i czeka, aż wokół powoli rozejdą się zmarszczki.

Żadne zmarszczki jednak się nie pojawiały; woda nagle jakby stężała, jakby pokryła się warstwą lodu. Podobnie jak jego oczy. I rozmowa na chwilę przestała płynąć swobodnie.

Jeszcze za wcześnie, uświadomiła sobie. Jeszcze mi nie powie. Może nie powie nigdy.

– Co miałbym ci opowiedzieć? – spytał ostrożnie.

– No... jak wygląda – poprawiła się. – Patrząc na to zdjęcie w zakładzie, trudno się domyślić, kryje się w cieniu.

– Ach tak – rozluźnił się. I pomyślał chwilę. I zobaczył pewnie jej twarz w płomieniu świecy, w który się zapatrzył. Odbijał się w jego oczach dwa razy, po razie w każdej ze źrenic, jak dwa małe kaganki płonące na ołtarzu wspomnień.

– Jest oszałamiająco piękna – wymamrotał ze czcią.

Madeline trzymała ją w ramionach, kiedy umierała, patrzyła jej w twarz, widziała ją. To prawda, że cierpiała, była w szoku, uchodziło z niej życie. Jednak nawet to wzięwszy pod uwagę, nie była oszałamiająco piękna. Atrakcyjna, owszem; ładna; miały w tym swój udział proporcje i budowa jej twarzy. Przede wszystkim zaś decydowała o tym młodość. Ale *nie była* oszałamiająco piękna.

Dla niego jednak była.

Wniosek: *Naprawdę ją kochał.*

Nie było co do tego dalszych wątpliwości, nie było więcej pytań. Kochał ją i widział oczami prawdziwej miłości, którymi każdy mężczyzna widzi tylko jedną kobietę, tę jedną jedyną, nie bacząc w ogóle na resztę.

Wróciła z tym do domu i myślała. Cokolwiek to było, co jej zrobił, nie zrobił tego z braku miłości, lecz w pełni miłości.

Któreś nocy, gdy wróciła ze spotkania – liczba spędzonych wspólnie z nim wieczorów wynosiła wtedy sześć albo osiem – rozebrała się, założyła podomkę i usiadła przy biurku, żeby pomyśleć, przeanalizować, co zdołała już z niego wyciągnąć.

Znała jego życie w tych wierzchnich warstwach niemal tak dobrze, jak tylko życie innego człowieka można poznać. Choćby nawet był twoim mężem. Jego dziecięcą miłość do fotografii, jego pierwsze zawodowe porażki, zanim się odnalazł, aż wreszcie jego sukces i spełnienie w wybranej profesji, o wszystkim tym jej opowiedział. Jednak krzywda wyrządzona Starr należała do najbardziej prywatnego, wewnętrznego życia, o którym jej nie opowiedział.

Cokolwiek się wydarzyło, wydarzyło się w ramach tej jego do niej miłości, o tym była absolutnie przekonana. Było to przewinienie, przestępstwo będące skutkiem miłości, a nie nienawiści czy urazy. To powinno sprawę znacznie uprościć. Niezliczone przecież są krzywdy, jakie można wyrządzić komuś, kogo się nie lubi, bardzo nieliczne zaś te wobec kogoś, kogo się kocha. A jednak niczego to nie uprościło.

Wzięła wreszcie do ręki ołówek i kartkę papieru i spróbowała nakreślić listę możliwości, która wspomogłaby jej zdolność myślenia. Z lubością korzystała z ołówka jako z narzędzia, które pomagało krystalizować jej myśli. Mogłaby z niej być niezła rysownicza.

Alkohol: absolutnie wykluczony. Nie przejawiał żadnych oznak, które tak łatwo przecież odczytać. Pił wolniej nawet od niej. Zawsze zostawiał na dnie nieco trunku. Nie pił nawet tyle, ile przewiduje norma towarzyska. Pił jedynie z rzadka dla towarzystwa, co stanowiło zaledwie jeden krok dalej od zupełnej abstynencji.

Narkotyki: tutaj była na niepewnym gruncie. Nie nosił żadnych śladów, ale też ona nie była ekspertem w ich wykrywaniu. Pomyślała

przez moment o sztuce, na którą ją zabrał. Czy była to jakaś wskazówka? Zaraz jednak opędziła się od tej myśli, uznając ją za niesprawiedliwą; to był zwykły zbieg okoliczności. Czy raczej, ponieważ nie było żadnych okoliczności, z którymi mogłoby to się zbiec, przypadkowe zdarzenie. W każdym razie, jeśliby przyjąć, że sam był kiedyś narkomanem, wówczas co by to była dla niego za atrakcja, obejrzenie takiej sztuki? Gdyby znał to życie tak dobrze, dlaczego miałby chcieć oglądać jego reprodukcję? Już prędzej można by się spodziewać, że by od takich spektakli stronił, aby nie budzić przykrych wspomnień. Na koniec przypomniała sobie, że wydawał się równie nieobyty z używanym w sztuce slangiem narkotykowym jak ona sama. I nie miała powodu sądzić, że udawał.

Kartoteka policyjna albo jakieś przestępstwo w przeszłości: to zdawało się do niego zupełnie nie pasować. Co prawda nie była taka naiwna i nie spodziewała się, że przestępcy, ludzie nieprawomyślni chodzą po ulicach z winą wypisaną na twarzy czy z tabliczką na plecach głoszącą: „Jestem przestępcą”. Prawdą też jest, że słyszała, iż całkiem często najgorsi ludzie w tej kategorii mieli rodziny, byli delikatni, oddani, troskliwi, nawet bardziej niż przeciętni mężowie i ojcowie. Jednak nawet gdy wzięła pod uwagę to wszystko, on w ogóle nie pasował do tego obrazka ani ten obrazek nie pasował do niego.

Ta prosta, spójna historia życia, którą jej przedstawił, oczywiście nie musiała być prawdziwa. Trudno było oczekiwać, że tak od razu wyjawí jej jakiś swój przestępczy czyn lub opowie o swym przestępczym życiu. Było to jednak tak wiarygodne, tak niewymuszone i naturalne od początku do końca, że nie wydawało się prawdopodobne, by mógł coś zataić. Innymi słowy, historia jego życia była tak nudna, że musiała być prawdziwa. Gdyby została zmyślona, byłaby przynajmniej bardziej kolorowa. I nie było w niej ani jednej luki, najmniejszej szpary, w którą dałoby się wepchnąć, wbić jakiegokolwiek poważniejsze sprzeczne z prawem przeżycie. Rzec by można, że w zasadzie nie było na to miejsca. Zupełnie tak, jakby każdy dzień, niemalże każda minuta została zawarta w tym krótkim, niczym się niewyróżniającym, lecz w jakimś sensie *simpatico* sprawozdaniu z trzydziestu lat życia, jakie jej przedstawił.

Znała już tego człowieka całkiem dobrze. Nie było w nim agresji,

bo do tej pory by to zauważyła, choćby nie wiadomo jak starał się pohamować przed jej okazaniem. W każdym razie nie było w nim agresji na wielką skalę, wykraczającej poza zwykłe słowo przekleństwa czy uderzenie pięścią w stół. Nigdy nie żył z przemocy i nigdy przemocy nie stosował. Przede wszystkim zaś brakowało mu tej wyjątkowej przenikliwości, bez której przestępca obyć się nie może. Znał się świetnie na swoim fachu, lecz w życiu prywatnym był prosty, szczerzy, nieskomplikowany. Ot, zwyczajny, szary człowiek ze smykałką do aparatu, dobroduszny, życzliwy i nieśmiertelnie wierny swej miłości.

Takim go widziała i nic nie było w stanie jej przekonać, że się myli.

Wszystkie te potencjalne winy, które wypisała, miały jedną cechę wspólną, której nie mogła nie zauważyć. Były to autoprzewinienia. To znaczy, przewinienia przeciwko niemu samemu, nie przeciwko Starr. Każda kobieta, każda żona wybrałaby w takich przypadkach jedną z dwóch dróg. Albo została przy nim i próbowała mu pomóc, albo gdyby zobaczyła, że to bez sensu, zwyczajnie umyła ręce i odeszła. Ale nie zwróciłyby się przeciwko mężowi i nie pragnęłyby jego śmierci. Tym bardziej nie przygotowałyby się, by zabić go z własnej ręki. Nie było w tych hipotetycznych przewinieniach niczego, co by to uzasadniało.

Uznała tę listę za niebyłą.

Zgniotła kartkę i wyrzuciła. Pociągnęła za łańcuszek lampki na biurku i plama światła sprzed jej oczu znikła.

Nie mogę dłużej znieść tej niepewności, myślała, przeczesując palcami włosy i opuszczając je sobie na twarz. Muszę zatem być ślepym instrumentem sprawiedliwości w każdym tego słowa znaczeniu i dokonać tego pomimo wszystko, pomimo własnej niewiedzy. Zrobić cokolwiek, cokolwiek, byleby mieć to już za sobą, mieć z głowy!

Kiedy się znowu spotkamy – zrobię to. To musi być wtedy albo wcale.

Ów dzień w końcu nadszedł. Wiedziała to, gdy tylko otworzyła oczy o poranku. Z jednej strony nie istniał żaden konkretny powód, by był akurat ten dzień, a nie tamten, który właśnie minął, czy ten, który dopiero miał nadejść; był to czysty przypadek. Jednak z drugiej strony mogła w powodach przebierać do woli. Zebrała w sobie w końcu dość odwagi, lecz była w stanie ją utrzymać nie dłużej niż kilka godzin, a gdyby ją utraciła choćby w niewielkiej części, mogłaby już nigdy jej w sobie na nowo nie wykrzesać. Potrzebowała tej siły i odwagi, bez nich nie mogła nic zrobić. Nie była bowiem zawodowym mordercą ani morderczynią z namiętności.

Nie potrafiłaby zabić ani z zimną krwią, ani z gorącą. Obie te skrajności były jej naturze obce. Umiałyby zabić jedynie tak jak miała to zrobić teraz: dla idei, z poczucia obowiązku, aby wypełnić przysięgę. Tak jak zapalało się świeczkę na ołtarzu: w ramach pokuty.

I tylko tym razem, nigdy więcej.

Był mężczyzną. To nie budziło żadnych wątpliwości. Był mężem Starr, Starr była jego żoną. To jego chciała zabić, jego i nikogo innego. Zaś Starr-Madeline miała być *dea ex machina*, która musiała tego dokonać za nią.

Niech więc to, co jej zrobił, co sprawiło, że zapragnęła jego śmierci, zostanie pogrzebane wraz z nim, niech spocznie w grobie z nimi obojgiem i nigdy nie będzie poznane. Kto wie, co to było? Po co pozwolić temu żyć, plugawić świat? Po co miała ciągnąć to ze sobą do jakiejś celi i rozpamiętywać przez następne dwadzieścia lat, a może i resztę życia? Co ciekawe, w swoich kalkulacjach – nie, to niewłaściwe słowo, to nie były żadne kalkulacje – w całej gotowości do przyjęcia

kary nigdy nie przyszło jej do głowy, że może zostać skazana na śmierć. Nie, żeby miała ją taka wizja odstraszyć. Spodziewała się jednak, że zapadnie na nią wyrok długoletniego więzienia.

Był to zatem ten dzień. Nadszedł.

Nie wstała nawet jeszcze z łóżka. Listewki żaluzji, a raczej przerwy pomiędzy nimi rysowały cienkie żółte kreski na ścianie naprzeciw okna i na podłodze, i na kapie na łóżku, i częściowo na jej odsłoniętych ramionach. Miała wrażenie, że jedna z takich kresek światła musi ciągnąć się przez jej nos, bo migotało jej w oczach. Pomyślała, że to czarujące, jak gdyby tkwiła w złotej klatce.

Wstała, podeszła do żaluzji i pociągnęła za sznurek. Podniosły się gładko z ledwo tylko słyszalnym szumem i dzień przybrał kształt podzielonego na cztery kwadratu, a nie tylko migoczących paseczków na ścianie. Kipiał wprost słonecznym blaskiem, w którym miasto wyglądało jak coś zupełnie nowego, coś, co dopiero powstało. Każda cegła była czyściutka, każda chodnikowa płyta świeżo ułożona. Wychyliła się, a w dole, pod nią, śmignęła taksówka z pomarańczowym dachem wypucowanym jak lustro, urocza jak soczystej barwy żuczek umykająca w poszukiwaniu schronienia.

Jakie to dziwne, pomyślała, oboje jesteśmy w tym mieście w tej samej chwili, choć w różnych miejscach. Oboje oddychamy, oboje na coś patrzemy, mimo że jesteśmy osobno. A jednak jeszcze dziś wieczór, najdalej do jutra rana on będzie martwy. I nie będzie go już w tym mieście, zostaną sama. Gdzie wówczas będą jego oddechy, dokąd zawędrują? Gdzie będą widoki odbite w jego tęczówkach, dokąd się udadzą?

Nie wiem, bo nie ja rozkazuję śmierci, nie ja ją kształtuję. Wiem tylko, że on pójdzie w jej ramiona.

Odwróciła się od okna, a mijając rozgrzebane łóżko, w którym przed chwilą jeszcze spała, zerknęła na nie z zadumą. Tej nocy, pomyślała, oboje spaliśmy, on i ja, a nasz sen był podobny. Dzisiaj oboje się obudziliśmy. Dziś wieczór znowu oboje zaśniemy, on i ja, lecz tym razem nasz sen będzie się różnił. Jutro ja znowu wstanę, tak jak wstałam dziś. On zaś nie wstanie; dla niego nie będzie jutra.

Sen, ta namiastka śmierci wtopiona w życie. Nie, poprawiła się. Sen to nie śmierć. Wcale nie jest do niej podobny. Ludzie myślą się, kiedy tak mówią albo myślą. „Śpi jak zabity” znaczy, że mocno śpi. Co za bzdura. Ciało przecież wciąż funkcjonuje. Płuca nabierają powietrza, płynie krew, bije serce. Niekiedy ciało nawet się porusza, przekręca na drugi bok. Sny z dziennego świata ubarwiają ten stan nieświadomości, śnią się co noc, choć nie zawsze nazajutrz są pamiętane.

Nie, rewolucjoniści francuscy, którzy na nagrobkach pisali „Śmierć jest snem wiecznym”, byli w błędzie. Nie ma żadnego podobieństwa pomiędzy jednym a drugim, absolutnie żadnego. Nawet ułożenie oczu jest inne, bo we śnie są one zamknięte, zaś w chwili śmierci, paradoksalnie, pozostają otwarte. To ludzka ręka musi je w końcu zamknąć.

Nie, sen to nie śmierć. Sen to przyczajone życie.

Pokręciła głową, zła na siebie. Dlaczego tak się zadreczam? Zrób to po prostu i miej to z głowy! A nie tylko *myślisz* o tym i *myślisz*, i *myślisz* przez cały czas.

Ale muszę o tym myśleć. Wszystko, co dotąd dla niej zrobiłam, to były drobiazgi, rzeczy drugorzędne. To zaś jest najważniejsze. Najistotniejsze. To jest to, czego ona pragnęła najbardziej.

Wzięła szybki prysznic bez mydła. Przeważnie kąpała się dwa razy dziennie, rano i wieczorem, ale mydła używała tylko raz; wierzyła, że częstsze jego stosowanie to przesada. Może nawet wpływa niekorzystnie na skórę.

Ubrała się i zrobiła sobie kubek rozpuszczalnej kawy. Pomyślała z niechęcią: chyba powinnam coś zjeść. Zawsze musiała to sobie rano powiedzieć i zawsze usiłowała jedzenia unikać. Wreszcie zmusiła się, wbrew sobie, by włożyć do tosterka kromkę pszennego chleba i włączyć urządzenie.

Następnie jadła na stojąco, biorąc kęsy tosta trzymanego w jednej ręce i popijając kawą trzymaną w drugiej. Wreszcie odstawiła kubek i zostawiła kawałek skórki od chleba, sprawiając wrażenie, jakby się ucieszyła, że skończyła. Bo się ucieszyła.

Miasto tymczasem zbudziło się ze snu. Zapaliła papierosa, podeszła do okna i stała tam znowu, wyglądając. To był taki zwyczajny dzień,

ot, dzień jak co dzień. Kto by mógł zgadnąć, że kryje w sobie śmierć.

Prowadzony przez jakąś dziewczynę siwy pudel na smyczy zatrzymał się, by obwąchać drzewo, uznał, że mu nie pasuje, i przeszedł do następnego. Nadjechał jakiś dostawca na rowerze ze skrzynką do przewożenia zakupów.

Przejechała wypucowana furgonetka ze wszystko mówiącym napisem „Poczta USA” z boku. Do połowy niebieska, od połowy biała, z czerwonym paskiem, cienkim jak sznureczek, pośrodku. Powinni użyć czerwieni na górze, pomyślała od niechcenia; mówiło się przecież „czerwień, biel i błękit”, a nie „biel, czerwień i błękit”. Chyba że, dumiała dalej, ktoś uznał, iż czerwony dach nie będzie się na furgonetce dobrze prezentował.

Gdzieś w pobliżu, lecz w niewidocznym miejscu, portier z którejś kamienicy dmuchał w gwizdek, usiłując przywołać taksówkę dla czekającego lokatora. Była w tym dźwięku jakaś niewypowiedziana samotność i żal.

Zepsute czerwone światło paliło się zbyt długo, gdy już dawno powinno zapalić się zielone, powodując pewne zamieszanie na skrzyżowaniu. Wreszcie zmieniło się na zielone, lecz w międzyczasie światła na sąsiednich skrzyżowaniach znów zapłonęły czerwienią.

Majestatycznie przemaszerowały dwie zakonnice na czele małej procesji dzieci idących w parach do szkoły.

W górze przemknął odrzutowiec, zmieniając niebo w dudniący szlak prowadzący w jakieś odległe, romantyczne miejsce. Anchorage, Tokio, Manila...

Para niezauważanych przez nikogo gołębi poderwała się buntowniczo z gzymsu, zatoczyła koło, po czym usiadła z powrotem, zlekceważona w swym buncie przez wszystkich.

Nadjechała z kłopotem polewaczka z przedsiębiorstwa oczyszczania miasta, zraszając wodą nie tylko jezdnię, ale i część chodnika, tam gdzie nie było przechodniów, po czym skupiła się na samej tylko jezdni, gdy z naprzeciwka nadszedł mężczyzna z kobietą. Oboje odskoczyli i zaczęli otrzepywać ubrania, pełni żalu, lecz bez słowa skargi.

Krępy robotnik stał przy otwartej studziencie kanalizacyjnej otoczonej jaskrawą pomarańczową barierką z zatknętą na kijku czerwoną chorągiewką, rozmawiając z kimś schowanym w dole. Spowodowało to niewielki zator w odbywającym się poza tym płynnie ruchu.

W budynku naprzeciwko hotelu Madeline, na tym samym piętrze człowiek myjący okna zaczepił swój pas bezpieczeństwa o dwa wsporniki po obu stronach framugi, po czym usiadł tyłem na parapecie, opuścił sobie okno na uda i zaczął przesuwać po szybie mokrą gąbką.

Co to za sposób zarabiania na życie, pomyślała z lekceważeniem Madeline. Ten człowiek może nawet ma w domu żonę i dzieci. Dlaczego miałby nie mieć, tak jak każdy?

A jednak do każdej pracy na świecie, choćby nie wiadomo jak niewdzięcznej, znajdzie się ktoś, kto ją wykona. Inaczej świat przestałby się kręcić.

Stojąc tam, postanowiła, że zadzwoni do niego w południe, tuż przed jego przerwą na lunch.

Akurat w chwili, gdy ta myśl nabrała pełnego kształtu w jej głowie, rozległo się stukanie do drzwi. Westchnęła, przeszła przez pokój i otworzyła.

Przyszła pokojówka. Wymieniły powitania i wtedy dziewczyna rzekła:

- Ależ mamy piękny dzień!
- To prawda – przyznała Madeline.

Po czym znowu nawiedziła ją myśl o jego śmierci. Nie, żeby opuściła ją na dobre chociaż na chwilę. Ładną ma pogodę na śmierć, zauważyła.

– Nie zamierza pani wyjść i skorzystać z tego pięknego słońca? – spytała pokojówka.

– Wychodzę później – odparła Madeline. – Mam spotkanie po południu.

Zastanawiała się, co pomyślałaby lub powiedziała pokojówka, gdyby wyznała jej: Mam zamiar zabić człowieka. Pewnie uśmiechnęłaby się nieznacznie jak wtedy, gdy słyszy się żart, którego się nie rozumie, i od razu wzięłaby się do pracy.

– Nie musi pani się tym kłopotać – powiedziała Madeline, gdy dziewczyna wzięła kubek po kawie, żeby go umyć.

– To żaden kłopot, proszę mi nie zabraniać – odparła usłużnie pokojówka. – Lubię, kiedy u pani w pokoju wszystko lśni. – Madeline dawała dobre napiwki.

I była to ostatnia ich rozmowa tego dnia.

Poranek minął. Poranek ostatniego dnia Herricka na tej ziemi.

Spojrzała na zegarek na swej ręce. Trzy i pół minuty do dwunastej. Poszła jeszcze do łazienki i usiadła z powrotem na łóżku, teraz już ładnie zasłanym.

Telefon śmierci...

Odczekała dwie i pół minuty. Następnie podniosła słuchawkę i podała hotelowej centrali jego numer do zakładu. Była tak spokojna, jak by pytała o godzinę albo zlecała coś hotelowemu gońcowi.

Podawała jego imię asystentce. I usłyszała jego głos. Każde słowo, które wyrzekł, oznaczało, że zużył jeszcze jedno słowo ze swego zasobu i że o to jedno zostało mu mniej do wypowiedzenia, zanim zamilknie na zawsze. Z drugiej strony, czy nie dotyczy to nas wszystkich? – pomyślała.

– Mówi Madeline – rzekła i uśmiechnęła się do niego lekko na powitanie, choć jej nie widział.

– To zabawne, właśnie przed sekundą o tobie myślałem – oznajmił.

– Ja też o tobie myślałam – przyznała.

– Wierzysz w telepatię?

– Trudno w nią nie wierzyć – odparła trzeźwo – kiedy zdarza się coś takiego, o czym właśnie mówimy.

– Przyjedź i zjedz ze mną lunch – zaprosił ją. – Całe miasto ruszyło dziś na wagary. Dzień jest zbyt piękny, żeby pracować, idealny za to do tego, by poleniuchować.

– Nie – odmówiła szybko. – Nie mogę. Mam kilka spraw do załatwienia dziś po południu.

– To najpierw zjedz ze mną lunch, możesz je załatwić później – zasugerował zgodnie z logiką.

– Nie – uparła się – ale powiem ci, co zrobię.

– Co takiego? – zapytał zżywieniem.

– Dzisiaj wieczorem zjem z tobą kolację.

Ożywienie przeszło w entuzjazm. – Doskonale – odrzekł z zapałem.
– Po prostu doskonale. To dokąd pójdziemy i skąd mam cię zabrać?

– A masz u siebie warunki? – spytała ni stąd, ni zowąd.

– Warunki?

– Warunki do przygotowywania posiłków.

– Jasne, że tak. Czyżbyś chciała zjeść u mnie?

– Owszem – powiedziała. – Wolę to niż restaurację. Po prostu mam na to ochotę. Jedyne problem w tym...

– W czym? – spytał, zmartwiony.

– Że w ogóle nie umiem gotować.

Roześmiał się z ulgą. – Za to ja umiem – oznajmił. – Chcesz, żebyśmy coś przygotował, czy zamówić coś z restauracji?

– Broń Boże! – odparła wesoło. – Na to właśnie liczyłam: że chociaż raz zjem porządny domowy posiłek.

– Nie ma sprawy – zapewnił. – A na co masz ochotę? Wymień, co chcesz. Złożę telefonicznie zamówienie na produkty, żeby zostały dostarczone i czekały, aż przyjdiesz.

– Cóż... – zaczęła, w zamyśleniu przesuując wzrokiem po ścianie. – Nie jestem wybredna i nie jem dużo. Lubię prostą strawę.

– No dobrze – rzekł. – Mam tutaj kartkę i ołówek. A teraz po kolei. Czego się napijesz przed kolacją?

– Sherry – odparła zdecydowanie. – Zawsze i tylko sherry. Nie lubię mieszanych drinków. W tej sprawie biorę stronę Europejczyków.

– Marka?

– Domecq. Albo La Ina, gdybyś miał. Najbardziej wytrawne ze wszystkich.

– Mam – odparł. – Sam je lubię. Dalej?

– Żadnej zupy ani nic takiego. Tylko danie główne. Wiem, że większość mężczyzn lubi czerwone mięso, sama też nim nie gardzę. Co powiesz na stek?

– Takie dziewczyny lubię.

– Ale nie taki wielgachny z polędwicy – mówiła szybko. – Przygotuj nam może po befsztyku, co? Są małe i delikatne.

– Znam też świetny sos.

- Dodaj do niego grzyby.
- Jasne. Grzyby i wino.
- Ale bez żadnych przystawek, bez sałatki.
- A deser?
- Żadnego deseru. Nie cierpię słodczy. Są dla dzieci.
- Też tak uważam.
- Ale mam propozycję: roquefort ze słonymi krakersami, a potem czarna kawa doprawiona koniakiem. I to wszystko.
- Masz świetne wyczucie, gdy chodzi o jedzenie – pochwalił ją. – I doskonały gust.
- Dziękuję – odparła rzeczowo. Po czym spytała: – O której mam przyjść?
- Och, o której chcesz, byle po wpół do szóstej. Nie zacznę bez ciebie. Cała zabawa polega na tym, żeby ktoś przy tym był, gdy gotuję.
- W porządku – odparła ze śmiertelnie poważną grzecznością. – Będę na pewno. Nie zawiedziesz się.
- No to na razie – rzucił.
- Na razie – powtórzyła.

Nie uśmiechnęła się mściwie, gdy odłożyła słuchawkę, nie popatrzyła ponuro, nic z tych melodramatycznych bzdur. W jej oczach gościł wyraz zamyślenia i smutku, prawie jakby jej było go żal.

Westchnęła cicho pod nosem. Następnie wzruszyła nieznacznie jednym ramieniem, jak gdyby uświadamiając sobie, że wszystko jest poza jej kontrolą.

Wyszła z pokoju około wpół do drugiej i przegryzła coś w hotelowej kawiarence. Ten posiłek był niemal równie skromny jak poprzedni: kanapka z pomidorem i napój mleczny.

Następnie wsiadła do autobusu i omijając z daleka wielkie domy towarowe, gdzie ubraniom najczęściej brakowało oryginalności, odnalazła mały butik przy bocznej ulicy, w którym już raz czy dwa razy była.

- Coś czarnego – poprosiła.

Chyba czwarta z propozycji przykuła jej uwagę. Poszła do przymierzalni, założyła sukienkę i wyszła.

- Doskonale pani pasuje – zawołała żwawa kierowniczką sklepu.

– Widzę – przyznała Madeline. – Dlatego ją wezmę. Jest tylko coś... – Przyłożyła dłoń do niewielkiej metalowej ozdoby. – Może to pani zdjąć? Nie lubię ubrań ze świecidelkami.

– Ale wówczas będzie pani wyglądać jak w żałobie! – zaprotestowała sprzedawczyni. – Chyba nie idzie pani na pogrzeb?

Nie? – pomyślała Madeline, przyglądając się jej z nieodgadnioną twarzą. Nie idę?

– To musi zostać zdjęte – powiedziała zdecydowanie – jeśli mam kupić tę sukienkę.

Kobieta przyniosła małe nożyczki i odcięła ozdóbkę.

Wtedy Madeline zapłaciła za suknię i kazała zapakować.

Było tuż po trzeciej, miała więc jeszcze przeszło dwie godziny.

Wróciła do hotelu, kazała gońcowi zanieść suknię do swojego pokoju, a sama poszła do hotelowego salonu piękności. Bardziej dla zabicia czasu, jaki jej pozostał, niż dlatego, że chciała zrobić sobie włosy. Prawdę mówiąc, jak na dziewczynę w jej wieku odwiedzała takie przybytki niezmiernie rzadko, nie częściej niż raz, dwa razy do roku.

– Moglibyście mnie teraz obsłużyć? – spytała dziewczynę w recepcji. – Nie byłam umówiona.

– Jedna z klientek znowu się spóźnia, jak zwykle – odparła dziewczyna z urazą. Z urazą, która jednak nie była skierowana do Madeline, to było oczywiste. – Może pani zająć jej miejsce. Jeśli się zjawi, będzie musiała po prostu poczekać, aż pani będzie gotowa. Może to ją nauczy punktualności na przyszłość. – Po czym dodała, bez wątpienia robiąc jej wielką łaskę: – Czy może chce pani, żeby zajął się panią pan Leonard?

– Nie – odrzekła Madeline, nie będąc w stanie ukryć swojej niechęci wobec takich ludzi. – Wolałabym, żeby to była kobieta.

– Zawołam pannę Claudię.

Idąc na miejsce za kobietą o gładkich jak lustro, rudych włosach, Madeline zastanawiała się, jak już jej się to raz czy dwa wcześniej zdarzało, dlaczego w tym akurat zawodzie imiona pracownic zawsze były poprzedzane przez słowo „panna”, podczas gdy we wszystkich innych branżach pracownicy na podobnych stanowiskach zwyczajnie mówili do siebie po imieniu. Pewnie to jedna z tradycji tego fachu.

– Co będziemy robić? – spytała dziewczyna, oceniając fachowym okiem jej strzyżenie.

– Nie wiem, co jest teraz na czasie – odparła Madeline. – Noszę tę fryzurę, odkąd skończyłam szesnaście lat, ale wiem, że musi być nie-modna, bo nie widuję już podobnych, tak jak to było na początku.

Dziewczyna podała jej katalog z błyszczącymi zdjęciami. – Może coś z tego się pani spodoba. – Wskazała jedną fotkę: – Wiele pań prosi o coś takiego.

Wyglądało to jak ul. Potężny, ostro zakończony wysoko nad głową.

– Chyba mnóstwo jest z tym zachodu, żeby dobrze wyglądało – zauważyła z powątpiewaniem Madeline.

– To prawda – przyznała dziewczyna. – Ale wrażenie jest dramatyczne.

Madeline parsknęła śmiechem. – Chyba nie mam ochoty chodzić po ulicach i wywoływać dramatycznego wrażenia swoją fryzurą, jaka by ona nie była.

Poszły w końcu na kompromis. Madeline zachowała swój prosty styl, lecz pozwoliła skrócić sobie włosy równo z uszami i upiąć część z nich na czubku głowy.

– Nieźle – przyznała, gdy praca dobiegła końca.

– Nieźle? – wykrzyknęła niemalże dziewczyna. – Wygląda pani olśniewająco. Po prostu zabójczo! – Po czym zwątpiła i ucichła. – Ojej, co za dziwny uśmiech – rzekła niepewnie. – Nigdy jeszcze podobnego nie widziałam...

Patrzyła za Madeline z czymś więcej niż tylko zawodowym zaciekawieniem, gdy ta wychodziła, wiedząc, że przytrafiło jej się coś dziwnego, lecz nie bardzo wiedząc co.

Madeline poszła do swojego pokoju i zaczęła ostatecznie szykować się do spotkania. Spotkania ze śmiercią. Założyła swoją nową czarną sukienkę, zastanawiając się, czy zdoła się jeszcze kiedykolwiek zmusić do tego, by ją ponownie założyć. Pewnie nie. Postanowiła podarować ją tamtej miłej pokojówce, kiedy przyjdzie tu rano. Z szafy wyciągnęła walizkę, otworzyła zamek i wyjęła rewolwer, który Charlotte Bartlett dała jej tak dawno temu. Wręcz w innym życiu, jak się mogło wydawać. Sprawdziła go – nie żeby była ekspertem od broni palnej, tak

naprawdę nie wiedziała o niej prawie nic, ale zwyczajnie chciała się upewnić, że jest w pełni naładowany. Rzecz jasna, nie mogło być inaczej; był w pełni naładowany, kiedy wkładała go do walizki, a kto zbliżał się do niej od tamtego czasu? Nie pomyliła się. Była to broń z cylindrem i kiedy ją „przełamała”, mogła zobaczyć, że wszystkie sześć otworów jest zatkaných przez małe pociski o mosiężnych postawach.

Co do umiejętności celowania i trafiania – w tej kwestii też była zupełną amatorką, ale czy mogła spudłować, mierząc z odległości paru centymetrów? Dwoje ludzi w pokoju, jedno z nich tkwi w bezruchu. I tylko szerokość stołu lub długość kanapy pomiędzy nimi.

Zamknęła magazynek i ułożyła rewolwer spodem do góry na dnie torebki. W ten sposób mogła wsunąć tam rękę i wyciągnąć go jednym płynnym ruchem, bez przekręcania. Lepiej też leżał w torebce, spoczywając na grzbiecie kolbą w górę.

Kiedy zapięła torebkę – była to prosta koperta noszona pod pachą, bez paska – załapała ją nagle fala strachu, mroząc skórę jak lodowata woda. Dzwonił telefon. Nie żeby miała się czego bać ze strony samego telefonu, rzecz raczej w kolejności, w jakiej wszystko po sobie nastąpiło, w tym, jak dzwonek rozbrzmiał akurat w chwilę po tym, co zrobiła z rewolwerem. Miała wrażenie, że młoteczek zamiast w dzwonek uderza raz za razem w jej serce.

To na pewno on. Nie знаła nikogo innego. A jeśli to on, to na pewno dzwoni, żeby przełożyć albo odwołać kolację. To był jedyny możliwy powód. Stała tam jak słup soli, nie mogąc się poruszyć. Jeśli nie odbierze, wówczas on nie zdoła się z nią skontaktować i powiedzieć, żeby nie przychodziła. Pójdzie tak czy owak, tak jak przez cały czas zamierzała.

Odczekała minutę, kiedy się wydzwonił, by mieć pewność, że linia jest już wolna. A wtedy podeszła do telefonu i spytała centralę:

– Ta rozmowa, którą przed chwilą do mnie łączono, czy to dzwonił mężczyzna? Nie zdążyłam odebrać.

– To nie był telefon do pani – odpowiedziano w centrali. – Przykro mi, to była pomyłka, chodziło o inny numer pokoju.

Madeline odłożyła słuchawkę i odetchnęła przeciągle z ulgą.

Wciąż jeszcze miała trochę wolnego czasu. Nalała sobie wody, przyniosła do pokoju i usiadła z nią w fotelu, sącząc powoli.

Wreszcie wstała, przeszła do drugiego pokoju i wzięła torebkę z rewolwerem. Gdy przeglądała się w lustrze, gotowa do wyjścia, ogarnęła ją nagle poczucie nierzeczywistości. To nie tak. To niemożliwe. Czy naprawdę za parę minut wyjdę stąd i pójdę zabić człowieka?

Pochyliła się do przodu, zatrzymując twarz dosłownie kilka centymetrów od lustra. Czy to są oczy zabójcy? Takie łagodne, niemal dziecięce, błękitne krążki pływające w zakrzepłej wilgoci, jasnobrązowe rzęsy wokół nich jak grzywka z piórek... *To* mają być oczy śmierci?

Odwróciła się i wybiegła jak opętana, jak gdyby przeraził ją widok własnej twarzy. Nie odwróciła się nawet, by zamknąć za sobą drzwi, pchnęła je tylko wierzchem dłoni, żeby zatrzasknęły się pod własnym ciężarem chwilę później.

Nawet kiedy jechała windą, windziarz odwrócił się i rzucił jej przelotne spojrzenie, jakby wyczuwał bijące od niej napięcie.

Wsiadła do taksówki i podała adres Herricka.

Niecały kwadrans później stali już przed budynkiem.

Kierowca odczekał chwilę, zapisując kurs w książce, wreszcie obrócił się i spytał:

– Czy to nie tu chciała pani przyjechać?

Skinęła na potwierdzenie, nie odzywając się. Miała ochotę powiedzieć mu: „Proszę zawrócić i jechać tam, skąd pan wyruszył”, jakoś się jednak powstrzymała.

Zaczekał jeszcze chwilę z ręką przerzuconą przez siedzenie pasażera. Po czym zapytał, wciąż cierpliwy, wciąż delikatny: – Nie ma pani przy sobie pieniędzy? Czy o to chodzi?

Nadal bez słowa rozpięła torebkę, dała mu pieniądze, otworzyła drzwi. Wzdrygnęła się, wysiadając.

Na górze jednak, przed jego drzwiami, przyłożyła palec do dzwonka całkiem zdecydowanie. W tej chwili nie miała już odwrotu. Nie mogła się więcej wahać, nie mogła się wycofać.

Podszedł do drzwi i przywitali się ze swobodną uprzejmością, podając sobie nawet dłonie.

– Cześć, Madeline.

– Cześć, Vick.

I powiedziała wszystko to, co kobieta odwiedzająca pierwszy raz mieszkanie mężczyzny powiedzieć powinna:

– Bardzo tu ładnie. Nie wiedziałam, że masz takie urocze mieszkanie.

– Wygląda dokładnie tak jak wtedy, gdy się tu wprowadziłem. Niczego nie dodałem, niczego się nie pozbyłem. Mieszkał tu mój znajomy, a kiedy się ożenił, przeniósł się wraz z żoną na wieś i odstąpił to lokum mnie. Płacę nawet stary czynsz. To była prawdziwa okazja.

– Długo już tu mieszkasz?

– Dwa i pół roku.

A zatem była tu z nim i ona. To tutaj mieszkali.

Zapytała o to mimo wszystko. Bo niby czemu nie?

– Czy mieszkała tu z tobą twoja żona?

– Tak, Starr i ja spędziliśmy tutaj nasze małżeńskie chwile.

Spostrzegła, jak dawne cierpienie przemknęło mu znowu po twarzy. To cierpienie, pragnienie, które nigdy nie umiera.

Przyniósł sherry, wyciągnął korek i nalał. Wino nie było schłodzone, w przeciwieństwie do pustych kieliszków. Poznał zatem tę sztuczność, którą i ona знаła.

Poczęstował ją papierosem. Miała swoje, ale wzięła jednego z grzeczności. Okazało się, że palą tę samą markę. Wywołało to ich delikatny śmiech.

– Nastawić jakąś muzykę? – spytał. – Czy lepiej nie?

– Pewnie, byłoby miło.

– Na co masz ochotę?

Zastanowiła się. – Może być „Jeden dzień, jedna noc” z *Madame Butterfly*; „Walc Musetty” z *Cyganerii*, „Jak gwiazdy migocą” z *Toski*, może „Wilio, o Wilio” z *Wesołej wdówki*, tango „Jalousie”, „April in Portugal”... Coś w tym stylu. Lubię muzykę, przy której można zanucić melodię. Nie lubię eksperymentów.

– Mam wszystkie te nagrania. Nastawię po cichu – rzekł. – Żebyśmy mogli swobodnie rozmawiać.

Przygotował płyty, popchnął dźwigienkę, a ramię gramofonu z igłą powędrowało w bok, potem z powrotem do środka i opadło, jakby

posiadało własną inteligencję. Wtedy wrócił i usiadł naprzeciw niej na sofie. Na sofie, która miała stać się jego katafalkiem.

Siedzieli lekko ku sobie zwrócenii, swobodnie, niedbale, i gawędzili.

– Bardzo cię lubię, Madeline – oznajmił w pewnym momencie.

Wiedziała dobrze, jak to rozumieć. Nie było to wyznanie miłości. Człowiek nie opiera się na jednym łokciu, siedząc z nogą na nodze, i nie mówi „Bardzo cię lubię”, mając na myśli miłość. On już swoją miłość przeżył. Ją lubił jako osobę. Pasowali do siebie.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, więc rzuciła coś oczywistego: – Dziękuję. Zawsze miło to usłyszeć.

Po drugim kieliszku sherry podniósł się i rozpoczął przygotowania.

Jedzenie było wyborne. Może i nie był kucharzem z prawdziwego zdarzenia (powiedział jej przecież, że nim nie jest), ale tych kilka dań, które umiał przyrządzić, przyrządzał znakomicie.

To nie jedzenie jednak ją zaprzętało.

Sceneria była uroczą. Tylko grali w niej niewłaściwi ludzie. Taka sceneria idealnie pasowałaby dwojgu kochanków. Czy choćby dwojgu przyjaciół. Przytulne, miłe, urządzone bez przepychu, lecz wygodnie kawalerskie mieszkanko, jasno oświetlony stół, spokojna muzyka, bliskość wielce atrakcyjnej kobiety i przystojnego mężczyzny. Jednak oni nie byli kochankami, nie byli przyjaciółmi, przy stole siedziała zabójczym i jej ofiara.

Obejrzała się raz, kiedy coś mówił, na torebkę leżącą na sofie po drugiej stronie pokoju, tam gdzie ją zostawiła, z rewolwerem w środku, po czym skierowała spojrzenie znów na niego.

Nie, to było bez sensu, robić to w ten sposób. Przychodzić tutaj, jeść z nim, korzystać z jego gościnności, by potem strzelić mu pomiędzy oczy. To było odrażające tchórzostwo, najgorsza z możliwych zdrad. A jednak w jaki inny sposób miała tego dokonać? Innego sposobu nie było. Przycząić się i strzelić do niego z jakiejś bramy, kiedy wysiadałby z taksówki, kierując się do domu? Wejść na górę, zadzwonić do drzwi i strzelić, kiedy otworzy, gdy będzie niczego nieświadom i na nic nieprzygotowany? To było dobre dla zamachowców z półświatka albo dla zazdrosnych kobiet, bądź dla byłych współników w interesach chowających jakąś straszliwą urazę. Ōna wszak nie była zamachowcem

i nie chodziło tu o tego rodzaju zabójstwo. W tym zabójstwie chodziło o wypełnienie świętej przysięgi. Nie istniał żaden inny sposób, by go dokonać, tylko ten, otwarcie, twarzą w twarz, tak by wiedział, o ile to możliwe, za co to, zanimby umarł.

– Wydawało mi się, że na moment pobladałaś – rzekł.

Uśmiechnęła się, nie zaprzeczając.

– Ale teraz kolory ci już wróciły.

Nalał koniaku do kawy, po czym wziął obie filiżanki do rąk.

– Przejdziemy z kawą tam? – zaproponował, kiwając głową w stronę sofy. – Ze Starr zawsze tak robiliśmy, kiedy jedliśmy w domu. Co nie zdarzało się często.

Wstała, podeszła i oboje znowu usiedli tak jak przedtem, każde na swoim końcu. Dzieliło ich jakieś półtora metra. Naprawdę nie było powodu, by siedzieli bliżej.

Ale ja wciąż nie wiem, myślała. Muszę spróbować jakoś to z niego wyciągnąć. Wciąż nie wiem, dlaczego od niego odeszła.

– Czy to cię nie rani? – spytała go bez owijania w bawełnę.

– Co takiego?

– Czy to ci nie przypomina?

– Ach, ta kawa. Nie, takie drobiazgi nie mają znaczenia. Nic nie jest takie samo. Inne są filiżanki. Inna jest dziewczyna, która z nich z mną pije. Tylko mężczyzna jest ten sam... – Wtedy ból pojawił się i zniknął. – Jedyne, co mnie rani, to to najważniejsze – fakt, że ode mnie odeszła.

Mam go teraz. Teraz już go mam.

Nagrania wreszcie się skończyły. Rozbrzmiał ostateczny cichy pstryk, prawie jak obraza dla ciszy. Vick odwrócił się w tamtą stronę, po czym spojrział na nią pytająco.

– Wystarczy – rzuciła szorstko i niemal ze złością machnęła ręką. Niech szlag trafi tę maszynę i jej brak wyczucia czasu. – Czy to nastąpiło bardzo nagle, to jej odejście? – Nachyliła się lekko w jego stronę, lecz spostrzegła się i wróciła do dawnej pozycji.

– Strasznie nagle. Okropnie. – Pochłonął całą swoją kawę jednym haustem bardziej pewnie dla koniaku niż dla samej kawy, stwierdziła.

- Czasem tak jest lepiej, czasem nie.
- Nigdy nie jest dobrze, gdy w grę wchodzi miłość.

Ja też nie jestem dobra, robiąc ci to, prawda? Och, ale muszę wiedzieć... dlaczego odbieram ci życie.

– Napij się jeszcze – rzekła z wyrachowanym współczuciem – które wyrachowane było tylko częściowo. – Kiedy się człowiek napije, łatwiej mu opowiadać. A kiedy coś opowie, łatwiej mu się z tym pogodzić.

Popatrzył na nią z wdzięcznością. – Nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Widzisz, nie miałem *komu* powiedzieć.

- Teraz masz – odrzekła cicho, śpiewnie.

Nalał koniaku do kieliszka, mniej więcej ćwierć jego objętości, i zaczął obracać w dłoniach.

Zaryzykowała. Mogło nic z tego nie wyjść, gdyby tak tylko siedziała i czekała.

- Czy pokłóciliście się... tuż przedtem?

- Nie było czasu na kłótnię.

- Ach tak – rzekła.

– Zaczęło się od jakiegoś ataku. Nie miałem pojęcia, że ode mnie odejdzie. Dowiedziałem się dopiero parę tygodni później.

- Ale mówiłeś...

Teraz już szło. Zaczęło się. Zaczęło się i nic nie mogło tego zatrzymać. Jak wtedy, gdy odkręcisz kran i urwie ci się gałka. Albo gdy spuścisz kamień po łupkowym zboczcu.

Wskazał na miejsce gdzieś bliżej ściany, tej, naprzeciw której siedzieli, niż ich samych.

– Upadła na dywan o tam. Widzisz, gdzie pokazuję? Upadła nagle. Runęła jak kłoda. – I jakby chciał ją uspokoić, dodał: – To nie ten sam dywan. Nie martw się. Wymieniłem go.

- Jakaś choroba?

– Nie wiedziałem z początku, nie potrafiłem poznać. Była przytomna, miała cały czas otwarte oczy. Ale nie mogła mówić... albo nie chciała. Rzucała się cały czas po podłodze jak w konwulsjach. Z ust tryskała jej ślina. Połykiwała srebrzyście w małych pienistych kałużach. Dlatego później zmieniłem dywan. Ona zaczęła go gryźć. Wrywała zębami kępki włosów...

Po jego twarzy spływał teraz pot.

Starr? To była ta sama Starr, która umarła w mych ramionach tak spokojnie, tak cicho jakiś czas potem?

– Nie był to chwilowy napad zło...?

– Nie – zaprzeczył szybko, nim dokończyła pytanie. – Nic nie mogłem zrobić. Było gorzej za każdym razem, gdy próbowałem się do niej zbliżyć. Kiedy usiłowałem wziąć ją w ramiona, rzucała się gwałtownie. Bez opamiętania. Targały nią spazmy jak u pacjenta, którego poddano elektrowstrząsom.

Wziął łyk koniaku. Wyglądał, jakby każdy łyk palił go w gardle żywym ogniem.

– Koniec końców musiałem zadzwonić po karetkę. Internista zbadał ją na podłodze, tam gdzie leżała. Powiedział, że to wstrząs. Silny wstrząs. Wstrząs emocjonalny. Widywał coś podobnego u żołnierzy walczących na wojnie w Korei. Dał jej zastrzyk na uspokojenie i oczywiście została zabrana do szpitala.

Wziął kolejny łyk, jeszcze gorszy, jeszcze bardziej bolesny.

Madeline zaryzykowała i otworzyła torebkę, ledwo, ledwo, tylko tak, żeby wsunąć rękę. Wyciągnęła chusteczkę. Pachniała lekko jej perfumami, ale nic nie mogła na to poradzić. Rzuciła mu ją, a on podniósł i wytarł złane potem czoło, po czym ścisnął ją pomiędzy dłońmi.

– Kiedy minęła te drzwi, niesiona na noszach, więcej jej nie zobaczyłem. Nie widziałem jej już nigdy. Od tamtego wieczoru więcej tu nie wróciła.

– Ale... jak to się stało, że z nią nie pojechałeś? Czyż mąż nie jedzie zazwyczaj z żoną, kiedy ta tak poważnie zachoruje?

– Nie pozwoliła mi. Zachowywała się tak okropnie. Widzisz, zastrzyk nie zadziałał dość szybko i musiała usłyszeć, jak mówię, że pojedę z nią karetką. Zaczęła jęczeć i błagać ich, żeby nie pozwolili mi się do niej zbliżyć. W końcu lekarz wziął mnie na stronę i powiedział, że może byłoby lepiej, gdybym nie jechał, bo myśl o tym zdawała się ją niepotrzebnie pobudzać. Poradził mi odczekać jakiś czas, żeby zdążyła się uspokoić. Uważał, że nie ma powodów do niepokoju, że to pewnie tylko swego rodzaju załamanie nerwowe. Zacząłem dreptać po pokoju, dreptałem tak całą noc... – Urwał nagle. Posłał jej dziwne spojrzenie i rzekł: – Dlaczego ci o tym wszystkim opowiadam?

– Nie wiem – odparła spokojnie Madeline. – Każdemu zdarzają się chwile, gdy musi komuś o czymś opowiedzieć... tym razem padło na mnie. – Po czym dodała: – Dokończ. Powiedziałeś już tak wiele, że równie dobrze możesz dokończyć. Chciałabym usłyszeć resztę.

– Niewiele tej reszty zostało – rzekł. – Zaczekałem, aż dojadą, i zadzwoniłem do szpitala. Położyli ją do łóżka – załatwiłem jednoosobowy pokój – i powiedzieli mi, że śpi. Przez całą noc byłem na nogach. Pojechałem tam nazajutrz z samego rana i usłyszałem, że Starr odpoczywa spokojnie, lecz muszę zachować cierpliwość, że nie mogę jej na razie zobaczyć, bo nadal jest w takim stanie, że nie wolno jej denerwować. Wróciłem wieczorem. Na dyżurze była nowa pielęgniarka, ale powiedziała mi to samo. Cóż, przez pierwsze trzy, może cztery dni byłem w stanie to zrozumieć i zaakceptować...

Zwinął dłoń w pięść, po czym znów rozłożył palce we wszystkich kierunkach.

– Ale przez trzy tygodnie... trzy tygodnie... trzy tygodnie – wypowiedział to trzy razy – chodziłem do szpitala dwa razy dziennie. Czterdzieści dwie wizyty. Aż w którymś momencie wreszcie załapałem. Początkowo mogły to być szpitalne przepisy, ale potem trzymała mnie z dala od siebie z własnej woli. Zapewne powiedziała im, że nie chce mnie widzieć, i zakazała mnie do siebie wpuszczać. Nie mogłem się nawet do niej dodzwonić. Za każdym razem odbierała pielęgniarka i nie pozwalała mi z nią porozmawiać. Próbowałem pisać. Listy wracały w szpitalnych kopertach z nadrukiem, nie otwarte.

– Aż w końcu?

– Aż w końcu... Czterdziesty drugi raz poszedłem tam wieczorem dwudziestego pierwszego dnia. Tym razem otrzymałem inną wiadomość. Pielęgniarka powiedziała mi, że rano ją wypisano, wyszła i nie zostawiła adresu. Nikt nie wiedział, dokąd się udała.

Zamilkł na chwilę i Madeline myślała, że to już koniec.

Ale nie... Nagle podjął opowieść:

– Pielęgniarka znała życie, wiesz, jak to pielęgniarka. Przyjrzała mi się z bliska i rzekła: „Nie wiem, co między wami zaszło, panie Herrick. Nie powiedziała mi tego, a ja nie chcę wiedzieć. To nie mój

interes. Ale nie uważa pan, że przez wzgląd na nią lepiej by było, gdyby odtąd trzymał się pan od niej z daleka, nie próbował jej szukać? Ta młoda dziewczyna, którą mieliśmy tutaj przez ostatnie tygodnie, nie wyglądała się, nie udawała. To naprawdę chora osoba”. I wyjęła z szuflady biurka bardzo małą kopertę, taką, w jakich zazwyczaj trzymają tabletki i kapsułki, i mi ją podała. Była zaklejona i nie widniał na niej żaden napis. Nie otworzyłem jej na miejscu, zrobiłem to dopiero w domu...

– Co w niej było? – spytała, gdy milczał dłuższą chwilę.

– Naprawdę chcesz, żebym ci powiedział? Nie darujesz mi niczego, tak?

Ze spokojem odwróciła dłoń spodem w górę, jakby mówiąc: „A więc?”

– W środku była obrączka. Jej. Ta, którą dla niej kupiłem. I coś jeszcze, coś okropnego. Nie sądzę, żeby jakikolwiek mąż dostał kiedykolwiek coś podobnego od opuszczającej go żony.

I znowu zdawało się, że nie może tego z siebie wydusić, ale tym razem nie pytała.

– To był kawałek papieru toaletowego. Zabrudzonego. Owiniętego wokół obrączki. Obrączka była w środku...

Podniosła rękę do ust w odruchu przerażenia.

Nie powiedział już nic więcej. Bo co było jeszcze do powiedzenia po tym, co jej wyznał na końcu?

Nadeszła pora, by to ona przemówiła, a jak już powie, co ma do powiedzenia, przyjdzie pora na jego śmierć.

– Ja spotkałam raz Starr – oznajmiła spokojnie głosem bez emocji.

Widziała, że zdaje mu się, iż się przesłyszał. – Słucham? Co powiedziałeś?

– Spotkałam raz Starr.

– Po tym, jak ode mnie odeszła?

– Po tym, jak odeszła, tak.

Nadzieja rozpromieniła mu twarz, tak nagle. Była jak płomień.

Aż wyprzystojniał od nadziei, dał się jej zaślepić.

– Nie, nie – rzuciła szybko i wykonała zabraniający gest. – Porzuć nadzieję. Porzuć. Bo tym bardziej będziesz później cierpieć, jeśli tego nie zrobisz.

Jego twarz na powrót umarła, zgasła.

Boże, jak on ją kocha, pomyślała. Ale co jej takiego *zrobił*...?

Jego usta otworzyły się w milczącej prośbie, niemym błaganii.

– Tak, powiem ci. Opowiem ci o tym, opowiem wszystko. Tak jak ty opowiedziałeś mi swoją historię, ja teraz opowiem ci swoją. Czy to nie ciekawe, jak spotykamy się teraz we dwoje, składamy nasze obie historie, by uzyskać jedną całość?

– Szybciej – wysapał niemalże jak ktoś umierający z pragnienia.

– To było w maju rok temu. Zamierzałam się zabić.

– Dlaczego?

– Chcesz coś wiedzieć? Sama nie bardzo pamiętam dlaczego. Chyba dlatego, że życie nie miało znaczenia. Dlatego, że... po prostu dlatego. Miałam pistolet, jedyną rzecz, jaką zostawił mi ojciec, gdy zapił się na śmierć. Przyłożyłam lufę do głowy i pociągnęłam nawet z spustu, ale broń nie wypaliła.

– Cud – szepnął.

– Tak wtedy pomyślałam. Poczułam się jak nowonarodzona. Podskoczyłam, gotowa tańczyć i śpiewać z radości. Rzuciłam pistolet. I...

– Tak?

– Wystrzelił. Kula wyleciała przez okno. Jesteś pewien, że chcesz tego wysłuchać? Jesteś pewien?

– Nie dręcz mnie.

– Wtedy właśnie spotkałam Starr. To ją trafiła kula. Zmarła w moich ramionach.

Urwała. Nie miała mu więcej nic do powiedzenia.

Ciekawa była, czy zacznie płakać, czy zawodzić, czy zrobi jeszcze coś innego. Trochę straciłby wówczas w jej oczach – nie lubiła skamłających mężczyzn – jednak czy miała prawo wyznaczać formę, jaką mogła przyjąć jego rozpacz?

Przez kilka minut w ogóle się nie poruszył. Siedział tylko oniemiały, oszołomiony.

Wreszcie wziął do ręki kieliszek z koniakiem. Myślała, że jednym haustem wychyli całą zawartość.

Zamiast tego wstał raptem, wyprostował całe swe metr osiemdziesiąt i cisnął. Bursztynowy płyn zawisł w poprzek pokoju

tecącą opadających kropelek, a szkło roztrzaskało się na tysiąc kawałków o przeciwległą ścianę.

– Dzięki ci, Życie! – zaryczał ile sił w płucach. – Dzięki serdeczne! Wielkie dzięki!

Zwinął dłoń w pięść i wyszczerzył zęby jak zwierzę warczące na swego pana, który je właśnie kopnął, i spojrzał prosto w górę, w sufit. Wiedziała jednak, że to nie sufit tam widzi.

– A ty tam...!

Podeszła szybko i zatkała mu dłonią usta.

– Nie – przestrzegła go niemal zabobonnie. – Tylko nie to. Nie dość już zostałeś ukarany? Prosisz się o więcej? Nie zwracaj się przeciw swojemu Bogu przez coś, co sam zrobiłeś.

– On nie jest moim...

Znów szybko zatkała mu usta. Poddał się i uszła z niego wszelka buntowniczość. Obrócił się, ruszył z powrotem ku sofie i osunął się na nią bezwładnie, jakby pozbawiono go kości.

– Coś, co sam zrobiłem – powtarzał apatycznie słowa, które przez chwilę wypowiedziała. – Coś, co sam zrobiłem.

– Musiałeś coś zrobić – rzekła w końcu niskim, ledwo słyszalnym głosem. – Inaczej dłaczego opuściłaby cię kobieta, dlaczego oddałaby ci obrączkę tak zbezczeszczoną? Powiem ci coś jeszcze, Vick. Ona chciała cię zabić, Starr chciała twojej śmierci. Gdyby żyła, nie zaznałaby spokoju, dopóki byś nie zginął. Co to było? Co ty jej zrobiłeś?

Wpatrywała się w niego, przyglądała się. Widziała, jak w jego twarzy zachodzi zmiana. Jak pojawia się wyraz, który wcześniej na niej nie gościł. Nie ból spowodowany miłością i utratą Starr. Nie żal i furia wywołane wiadomością o jej śmierci. Nie, to było coś innego.

Usiłowała to odgadnąć i chyba jej się udało.

Kiedy obiekt jego miłości żył, chodził po tym samym świecie co on, to chociaż byli osobno, nic nie mogło ugasić jego pragnienia, tęsknoty za nią, gorączki, uzależnienia, jakkolwiek by się tego nie nazwało. Nic innego się nie liczyło, nic innego nie miało znaczenia, nic innego nie istniało. Nie było cnót, nie było grzechów, nie było dobra, nie było zła.

A teraz ona nie żyła, znikła z tego świata.

Ogień, który sycił się jej ciałem choćby tylko w jego wyobraźni, nie miał się już dłużej czym sycić. A gdy ogień nie ma się czym sycić, wówczas gaśnie, gaśnie, gaśnie... Ogień nie może płonąć, trawiąc jedynie wspomnienia.

Widziała, jak w nim dogasa, kiedy tam siedział. Nacierało przerażenie. Miał je wypisane na twarzy, oczy zrobiły mu się wielkie, okrągłe i wypełniły się trwogą. Ów płomień, który musiał trzymać pewne koszmary, koszmary nie do opisanego, z dala, gdzieś poza zasięgiem, niczym płonący, obracający się z wolna miecz, teraz znikł. Teraz szkielety i robactwo wszelkiego rodzaju, wszystko, co przerażające, brudne i parszywe pełzło powoli w jego stronę, otaczając go, osaczając, oblażąc i podgryzając.

On zaś pośród nich tkwił w takim piekle, jakiego ten świat nie zna i nigdy nie poznał, jakiego nie zna nawet piekło tamtego świata.

Widziała to na jego twarzy. Niemal nie mogła na nią patrzeć. Spuściła wzrok na własne kolana, z zapartym tchem, lekliwie.

Słyszała własne słowa, jak odbijały się echem, rozbrzmiewały cicho w pokoju wokół niej, choć zdawało się, że padły tak dawno:

– Co to było? Co ty jej zrobiłeś?

I nagle odpowiedział, i wszystko było skończone.

– *Byłem jej własnym bratem!*

W głuchoj ciszy, jaka nastąpiła, pojawił się szept odległych głosów z przeszłości, dzwoniący jej w uszach niczym dzwony przeznaczenia; nawiedziło ją wspomnienie tego, co zostało powiedziane i co przeczytała.

Usłyszała głos Charlotte Bartlett, ponownie, w oddali: „Mieliśmy małego synka, jeszcze przed Starr. I straciliśmy go. Zniknął po prostu któregoś dnia. Zniknął z powierzchni ziemi. W jednej chwili bawił się przed drzwiami. A w następnej wszelki ślad po nim zaginął”.

Słowa Starr z jej listu do matki: „To spojrzenie małego chłopca, spojrzenie męża, spojrzenie kochanka. Nie wytrzymałam, nie mogłam. Rzuciłam mu się na szyję i uwiesiłam się, unosząc nogi nad ziemię, i pocałowałam go chyba z osiemnaście razy”.

I Dell odsłaniająca swe serce, niesiona falą wspomnień: „Umiałam poznać, kiedy z nią był. Znamienne drobne znaki, które wydają

mężczyznę. Zmęczony, niemrawy, wyczerpany, bez wigoru. Wyostrome rysy, zapadnięte policzki i skronie, które wypełniały się na powrót w ciągu dwudziestu czterech godzin. By zapaść się znowu w ciągu następnej doby”.

A nawet pielęgniarka ze szpitala w jego własnej relacji: „To naprawdę chora osoba. Nie wiem, co pan jej zrobił, ale niech się pan od niej trzyma z daleka!”.

Poderwała się na nogi z twarzą już nie bladą, ale wręcz żółtą od mdłości.

– Gdzie łazienka? Szybko...! – rzuciła zduszonym głosem.

– Tam... te drzwi z lustrem...

Lustro odbiło światło z pokoju, gdy z rozmachem otworzyła drzwi, po czym znów zajaśniało jak tafla płynącej wody, gdy niemal natychmiast wyszła z powrotem.

– Falszywy alarm – powiedziała z przekąsem, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Mam chyba mocniejszy żołądek, niż...

Rozejrzała się za koniakiem, znalazła i nalała sobie, nie pytając go o zgodę. Nalała wcale niemało i wychyliła od razu. Potrzebowała tego.

Usiadła na sofie, nie patrząc w jego stronę. Przez długi czas panowała pomiędzy nimi cisza. Zdawało się, że on zapomniał o jej istnieniu. Ona o nim zapomnieć nie mogła.

– Ile czasu po ślubie się o tym dowiedziałeś? – spytała nagle.

Zdecydowanie pokręcił głową. – Wiedziałem przed ślubem.

Jeśli coś nowego można było jeszcze dodać do całej gamy emocji, jakich doświadczyła tego jednego wieczora, to zostało to dodane teraz. Poczula obrzydzenie połączone z przerażeniem i niedowierzaniem.

– Wiedziałeś o tym i mimo to się z nią ożeniłeś! – wydusiła z siebie.

– Kochałem ją. Zostawiłem dla niej żonę. – Po czym poprawił się, jakby po namyśle: – Pierwszą żonę.

– Nie mów tak – rzekła, krzywiąc się z przerażenia.

Pierwszy raz, odkąd wszystko wyszło na jaw, obrócił się i spojrział prosto na nią. Jej własne oczy odwróciły się i umknęły w najdalszy kąt, pragnąc uciec od jego spojrzenia, nie mogąc go znieść.

– Nikogo nigdy tak jak jej nie kochałem. Nie widziałaś tego, nie widziałaś, jak patrzyłem, gdy wymieniłaś jej imię? Nie poznałaś tego po tym, jak o niej mówiłem...? Wiedziałem, kiedy braliśmy ślub. Ona nie. Ożeniłem się z nią, będąc w pełni świadomym. Jakie to wtedy miało znaczenie?

– Jakie to miało *znaczenie*? – wysapała.

– Sypialiśmy ze sobą, kiedy jeszcze mieszkałem z Dell. Ślub nie wniósł niczego nowego. Nie szukałem miłości. Kochałem ją tak, jak mężczyzna kocha kobietę, z którą chce się ożenić... i się żeni. To wcale nie jest takie straszne. To tylko myśl o tym wprawia w przerażenie i brzmi tak okropnie.

– To jest przeklęte – wciąła się ostro Madeline. – Nieczyste. Zakazane.

On jednak nie zwracał na nią uwagi.

– Byliśmy zupełnie obcymi ludźmi – mówił, podnosząc głos w obronie własnej. – Gdybyśmy spędzili chociaż rok w dzieciństwie razem... chociaż pół roku, miesiąc... Ale nigdy w życiu się nie widzieliśmy, aż do dnia kiedy ją spotkałem i zacząłem się zakochiwać. Trudno byłoby spotkać dwoje bardziej sobie obcych ludzi. Płynęła w nas tylko ta sama krew. A co może wiedzieć krew, jak może cokolwiek poznać? Kuzynostwo często żeni się między sobą. W starożytnym Egipcie wedle obowiązującego prawa w królewskiej rodzinie brat brał sobie za żonę siostrę. Taka była tradycja. A teraz jest to tabu i dlatego nas tak bardzo szokuje.

– Tamto to było pogaństwo. Teraz mamy chrześcijaństwo. Niech to nawet będzie judaizm czy islam, czy jeszcze co innego; wszystkie one zakazują czegoś podobnego. Nie bez powodu jest to tabu – stwierdziła chłodno – i nie wolno o tym zapominać.

– Widzisz piękną twarz – ciągnął w rozmarzeniu. – Kochasz tę twarz. Kochasz tę piękną osobę. A potem dowiadujesz się, że przez krótką chwilę gdzieś u zarania życia ssałeś tę samą pierś, którą jakiś czas potem ssała i ona. Lecz jeśli kochasz już tak głęboko, jest za późno, by miało to jakieś znaczenie. Wydaje się to nie robić różnicy, a wręcz podsyca tę miłość jeszcze bardziej. Kochasz już nie tylko ją, ale i tę dodatkową więź, która co rusz to jeszcze bardziej cię do niej przybliża. Twoje poczucie własności, posiadania jeszcze się umacnia...

– Ty nie próbujesz mnie przekonać – stwierdziła monotonnym głosem. – Próbujesz przekonać sam siebie. Masz to wypisane na twarzy, tę winę, strach...

– Tak, bo już jej nie ma. Nie ma jej tutaj, nie trzyma tej winy, tego strachu na dystans, nie pomaga mi zapomnieć.

– Nie zdołasz pogrzebać sumienia, nie zdołasz go zupełnie zagłuszyć. Zrujnowałeś sobie życie. Nie będziesz mógł dalej żyć i będziesz bał się śmierci. A przynajmniej powinieneś.

Zwiesił głowę, przyznając jej rację.

– Jak się dowiedziałeś?

Przemówił ze zwieszoną wciąż głową, nie podnosząc na nią spojrzenia. – Całkiem zwyczajnie, nie było w tym nic skomplikowanego. Moja matka zmarła siedem... osiem lat temu. W wieczór przed śmiercią siedziałem przy jej łóżku, a ona powiedziała mi, że jest coś, co chce z siebie wyrzucić, zanim odejdzie, będzie jej lżej, jeśli to zrobi. Brzmi to jak melodramat, wiem, ale naprawdę tak to się odbyło. Jako młoda dziewczyna została porzucona przez faceta, z którym zaszła w ciążę. Dziecko urodziło się martwe. Nie mogła przez to zaznać spokoju i chyba na jakiś czas postradała zmysły. Opowiedziała mi, jak pewnego dnia szła ulicą i zobaczyła małe dziecko bawiące się przed domem. Podała mi nazwę ulicy, a nawet numer domu. Powiedziała, że nie mogła się powstrzymać. Zanim zorientowała się, co robi, już prowadziła malucha za rączkę ulicą. Za rogiem wsiadła z nim do taksówki i kazała kierowcy zawieźć się pod fałszywy adres, zupełnie nie tam, gdzie naprawdę mieszkała. A stamtąd autobusem wróciła do siebie. Mieszkała w takim starym domu jednorodzinym, tylko ona z matką, tak więc nie musiały przynajmniej obawiać się wścibskich oczu sąsiadów. Nie wiem, jakim cudem uszło im to na sucho, lecz jednak uszło. Podejrzewam, że trzymały mnie w domu i z dala od okien aż do końca swojego tam pobytu. W latach trzydziestych łatwiej było coś takiego ukryć, niż byłoby w sześćdziesiątych. Jej matka jeździła na wózku i nie mogła wiele zrobić, by czemukolwiek zapobiec, nawet gdyby chciała. A wcale nie chciała, bo dzięki temu jej córka była szczęśliwa, a i ona szybko się do mnie przywiązała. Gdy tylko minęło niebezpieczeństwo, mniej więcej po roku, kiedy całe zamieszanie ucichło, na wszelki wypadek sprzedały dom i przenieśli się do zupełnie

innej części kraju. I wtedy na scenę wkroczył mój ojciec – powinienem raczej powiedzieć mężczyzna, za którego wyszła za mąż – i oświadczył się jej, a ona opowiedziała mu wszystko o romansie sprzed lat, ale nie o tej drugiej sprawie, i pozwoliła mu myśleć, że to ja jestem dzieckiem, które się wtedy poczęło. Ożenił się z nią mimo wszystko i przez całe życie był nie tylko dobrym mężem, ale i ojcem. I tyle. Później, kiedy poznałem Starr, jakiś miesiąc po tym, jak zaczęliśmy się kochać, leżała obok mnie i opowiadała o sobie którejs nocy. Wiesz, jak to ludzie w takich chwilach mówią o sobie wszystko. Wspomniała o pijaństwie ojca, powiedziała, że jej zdaniem było wywołane urazą jej matki, bo zrobił ją w ciążę z nią, Starr, kiedy nie chciała mieć więcej dzieci. I zaczęła opowiadać mi o swoim braciszku, który zniknął, zanim się urodziła, i nigdy już nie był widziany. Całkiem od niechcenia wymieniła nazwę ulicy i numer domu, gdzie mieszkali, kiedy to się stało. Nawet jej nie prosiłem. Była to ta sama ulica i ten sam dom, które wymieniła moja matka. Wiedziałem, że jestem tym samym dzieckiem.

– I nie dałeś nic po sobie poznać? Nie zauważyła twojego zaskoczenia?

– Leżeliśmy w ciemności. Nie widziała mojej twarzy.

– A ty nigdy jej nie powiedziałeś. – To nie było pytanie.

– Nigdy, do samego końca.

– To jak się dowiedziała?

– Pewnie od mojej pierwszej żony, Dell. Nigdy się o tym nie przekonałem, ale to nie mógł być nikt inny, tylko Dell. Starr i ja kochaliśmy się pewnej nocy. Potem ja drzemałem, prawie spałem. Wydawało mi się, że gdzieś bardzo daleko – wiesz, w jaki sposób docierają dźwięki, kiedy tak prawie śpisz – że gdzieś daleko dzwoni telefon. Stał tuż przy łóżku, ale byłem zbyt zamroczony, by odebrać, więc pewnie zrobiła to ona. Gdybym to ja podniósł wtedy słuchawkę, może nadal bylibyśmy razem, my dwoje. Nie słyszałem, by wiele mówiła. Tylko jedno dotarło do mnie wyraźnie. Musiała w tej chwili podnieść głos albo coś. Usłyszałem tylko to jedno: „Chyba pani zwariowała!” I zaraz poczułem, jak ona mną trzęsie i trzęsie, jakby sama nie bardzo wiedziała, co robi. Nie mogłem się dobudzić, nie mogłem otworzyć oczu. Usłyszałem, jak pyta: „Byłeś adoptowany? Czy rodzice cię adoptowali? Tak?” Cały czas mną potrząsała, aż

mruknałem „tak”. „Na jakiej ulicy i pod jakim numerem się urodziłeś, zanim cię adoptowano? Powiedz mi: ulica i numer domu!” Chciałem tylko, żeby przestała mnie szarpać i pozwoliła spać. Podałem jej adres, nie otwierając nawet oczu. I to było wszystko, ani słowo nie padło już z ust żadnego z nas... Nagle rozbłysło światło. To wreszcie otworzyło mi oczy, wreszcie się obudziłem. A ona uciekała z pokoju, uciekała z pokoju... Nie umiem ci opisać, jak uciekała... Jak gdyby... jak gdyby ścigały ją ogary z piekła rodem. Wskoczyłem z łóżka i ruszyłem za nią. Dogoniłem ją tutaj, w tym pokoju, w którym teraz jesteśmy. Zapytałem ją, co się dzieje, wyciągnąłem rękę i jej dotknąłem. Zwyczajny dotyk mojej dłoni sprawił, że upadła na podłogę, tak jak ci już mówiłem, w stanie silnego wstrząsu.

To nie była jakaś tam drobna krzywda, mała podłość, smuteczek. To było coś potwornego. Nic dziwnego, że Starr chciała go zabić. Zasługiwał na śmierć.

Podniosła swoją torebkę, przytrzymała ją na kolanach za dwa rogi. Ciekawa była, czy on wiedział, co w niej ma. Niby skąd? Ale miał się dowiedzieć, i to zaraz.

– Nie zadajesz sobie pytania, dlaczego tu dzisiaj przyszłam?

– To było tysiąc lat temu – odparł apatycznie – zanim się dowiedziałem, że ona nie żyje. Pamiętam już, przyszłaś na kolację. – Popatrzył na stół, przy którym siedzieli. – I zjedliśmy kolację. Przed tysiącem lat.

– Ale czy tylko po to przyszłam, na kolację? Kolację mogłam zjeść wszędzie. Po co miałabym przychodzić do ciebie? Nie jesteśmy w sobie zakochani. Nie jesteśmy nawet bliskimi przyjaciółmi.

– A więc po co?

– Powiedziałaś ci, że umarła w moich ramionach. Teraz rozumiesz?

Popatrzył na nią dziwnie, jak gdyby nagle ogarnęło go jakieś przecucie. Do niczego jednak się nie przyznał. I nie okazał ani odrobiny strachu.

– Wróciłam po jej śladach – tłumaczyła mu. – Po tych śladach, które zostawiła, odchodząc od ciebie. Czy chciałbyś się dowiedzieć, dokąd ją zaprowadziły, ku czemu?

– Chciałbym dowiedzieć się o niej jak najwięcej, co tylko można – odrzekł wciąż nienasycony. – Chcę wiedzieć wszystko, chcę słuchać, chłonąć tę wiedzę. To przywraca mi ją chociaż na chwilę w całej jej promienności, w jej blasku, jej chwale.

– Jej chwałą były hańba i ciemność, które sam jej zafundowałeś – rzuciła mu w twarz. – W szpitalu mogli wyleczyć objawy wstrząsu, ale tamtej nocy, gdy opuściła to mieszkanie, była już chorą dziewczyną, chorą na umyśle i duszy. Spowił ją cień. Chowiała się, próbowała się ukryć przed tym cieniem w tanim pokoju do wynajęcia. Byłam tam. Widzę ją tam teraz, przy zaciągniętych całymimi dniami roletach, uciekającą przed życiem, usiłującą go do siebie nie dopuścić. Dygoczącą chwilami w łóżku, chociaż nie było zimno. Budzoną w nocy przez koszmarny sen i wykrzykującą swoje przerażenie i rozpacz. Rozumiała, że istnieje tylko jeden sposób na rozproszenie tego cienia, tylko jeden sposób, by wymazać go ze swego serca. Jedyny sposób, by doznać oczyszczenia. Została wychowana w wierze, która nie dopuszcza pożegnalnych obrzędów ani pochówku w świętej ziemi dla samobójców. Ta droga była więc dla niej zamknięta, inaczej na pewno by nią podążyła. Zbyt biała jednak bała się z powodu tego, przez co przeszła, wyruszyć na spotkanie ze śmiercią bez pojednania z Bogiem, bała się spędzić wieczność w roli wyrzutka leżącego w niepoświęconej ziemi, za którego nikt się nie pomodli. Dlatego wybrała inne przestępstwo, inny grzech, być może dlatego, że był z tych dwóch mniejszy, kto wie? Może łatwiej podlegał rozgrzeszeniu. Miało to być wymazanie, unicestwienie źródła nieczystości, która stała się jej udziałem. Jedynie w ten sposób mogła odzyskać spokój. Tak więc wyszła z tamtego pokoju, na jakiś czas go opuściła i pojechała do matki. Próbowała trochę się pozbierać i poczynić przygotowania...

Zobaczyła, jak wzdraga się mimowolnie.

– Kupiła broń – oznajmiła. – Mam ją teraz. Pozwolenie jest na jej nazwisko.

Zobaczyła, jak jego spojrzenie wędruje na moment do torebki, a potem znów ku jej twarzy.

On wie, pomyślała sobie. Wie.

Nie było strachu. Nie było też woli przetrwania ani chytrego, wyrachowanego spojrzenia człowieka planującego, jak najlepiej tego

uniknąć, jak wywieść przeciwnika w pole. Niczego takiego nie zauważyła. Wyglądał raczej jak ktoś czekający cierpliwie na coś dobrego, na coś, na czym miałyby zyskać.

– Pod wieloma względami kobiecie znacznie łatwiej uzyskać pozwolenie na broń niż mężczyźnie. Przynajmniej jeśli jest znana w wydziale pozwoleń, znaczną część życia spędziła w danej społeczności i cieszy się dobrą opinią. Może uzasadnić swą prośbę molestowaniem, prawdziwym bądź urojonym, lękiem, że ktoś ją będzie śledził albo nagabywał późnym wieczorem w drodze z pracy do domu, strachem przed włamaniem, jeśli mieszka sama lub, tak jak Starr, w towarzystwie tylko starszej kobiety. Może opowiedzieć o telefonach jakiegoś szaleńca lub zboczeńca; sposobów jest całe mnóstwo. Nie wiem, czy Starr zastosowała któryś z nich. Wiem tylko, że zdobyła pozwolenie i pistolet. Kupiła go najzwyczajniej na świecie w sklepie sportowym. Kiedy miała już tutaj wrócić, jej matka, domyślając się dość, by odczuwać niepokój, wykrađła go z jej walizki i ukryła. Dała mi go, gdy jak po nitce do kłębka trafiłam i do niej.

Tym razem powstrzymał się od spojrzenia na torebkę, choć po oczach poznała, że chciał to zrobić.

– Starr odkryła, że nie ma broni, dopiero kiedy była z powrotem w tym samym wynajmowanym pokoju, który zajmowała wcześniej. Przyuszczam, że postarałaby się zwyczajnie o kolejny rewolwer tutaj, w mieście, co nie byłoby już takie proste. Lecz zanim zdążyła cokolwiek zrobić, znalazła się przypadkiem naprzeciw mojego okna – i nie potrzebowała już broni. To ja zadałam jej śmierć.

Zobaczyła, jak on teraz przykłada rękę do gardła i trzyma mocno, jakby oddychanie sprawiało mu ból.

– Wtedy przysięgłam sobie, że dokonam tego, czego najbardziej pragnęła od życia – od tej ruiny życia, jaka jej pozostała. Bo nade wszystko ona pragnęła twojej śmierci.

Na te słowa skłonił powoli głowę z fatalistycznym przyzwoleniem, jakby chciał powiedzieć: „Skoro tego chciała, niech tak się stanie”.

– A ja jestem zobowiązana za nią tego dokonać. Ponieważ odebrałam jej życie, muszę zrobić w jej imieniu to, czego przeze mnie sama zrobić nie mogła.

Otworzyła w końcu torebkę i wyjęła rewolwer. Skrzywił się lekko, na ułamek sekundy, jak wtedy gdy człowiek wie, że czeka go ból. Nieunikniony, lecz dobroczynny ból. Zwrócił się do niej bardziej przodem, jak gdyby chciał ułatwić jej celowanie, i wziął głęboki wdech. Zabrzmiało to prawie jak westchnienie ulgi.

Nie odezwał się już ani słowem przez cały ten czas, który spędziła z nim jeszcze w pokoju.

I choć w tej pozycji, w jakiej leżał na jej kolanach, na boku, rewolwer celował prosto w niego, nie podniosła ręki, w której go trzymała.

On zaczął się ku niej nachylać. Nie próbował bynajmniej pokonać dzielącej ich odległości, żeby jej go wyrwać albo skierować lufę w inną stronę. Jako że ręce trzymał cały czas w tym samym miejscu – pozostały teraz lekko za nim – a pochylał tylko tułów. Był jak człowiek szykujący się powoli, by dać nura, nura we własną śmierć. Uniósł nawet lekko głowę, jak gdyby starał się jej pomóc, starał się współpracować. A jego oczy prosiły, błagały, nie mogła nie zrozumieć tego, co do niej mówiły. Prosiły ją o ten dar, który tylko ona mogła mu ofiarować. Dar śmierci. Dar czystej, szybkiej śmierci, po której już nie ma strachu, nie ma przerażenia, nie ma już nic...

Nawet koniuszek języka wysunął mu się na moment w kąciку ust i dotknął wargi, jakby się niecierpliwił.

Wreszcie opuścił powieki i tylko czekał, oddech miał nieco przyspieszony, lecz pełen nadziei. Nawet się nie skulił. Czekał z zapiętym tchem na wybawienie. „Jesteś wolny”. Największy dar Boga dla człowieka: śmierć.

– Ale nie zrobię tego – powiedziała głosem równie pozbawionym emocji jak wtedy przy stole, przy kolacji. – Nie mogę. Teraz to rozumiem. To nie jest moja sprawa. Po co mam się wtrącać? Kto dał mi do tego prawo i kto mnie zobowiązał? To o własne szczęście i o własny spokój ducha powinnam się troszczyć. Zadałam już jedną śmierć, odebrałam życie. Dlaczego miałabym dodawać do tego kolejną? Czy dzięki temu mojemu sumieniu łatwiej będzie się pogodzić z tą pierwszą? Nie. Po co miałabym wyrównywać dług wobec Starr, jeżeli skutkiem tego będzie kolejny dług, wobec ciebie? A po tobie kto będzie następnym? I tak bez końca, jakby to były ogniwa niekończącego się

łańcucha. A gdyby ona mogła teraz spojrzeć na ciebie tak, jak patrzę ja, może jednak wcale nie chciałaby twojej śmierci. Ponieważ najgorszą karą dla ciebie wcale nie jest śmierć. Moim zdaniem twoje życie to śmierć. A śmierć byłaby... tylko ucieczką. Tak więc Starr tak czy owak zyskała swe spełnienie. Ale moja ręka nie wmisza się w twoje przeznaczenie...

Jego oczy otworzyły się, zdumione, pełne wyrzutu, już dłuższą chwilę temu.

Podniosła się, a kiedy to robiła, rewolwer zsunął się jej z kolan na sofę. Nie poruszyła się, by go podnieść. Jeśli w ogóle go widziała, to stracił dla niej wszelkie znaczenie; jej umysł zbyt był pochłonięty problemem metafizycznym, który dotyczył ich obojga, dlatego otaczające ją zwykle przedmioty zdawały się w ogóle nie istnieć.

On też jakby go nie zauważył. To w jej twarz się wpatrywał udręczonym, błagalnym wzrokiem, tak wytężonym, że jego oczy były jak dwie białe blizny na twarzy. Nic innego nie istniało. Do samego końca patrzyły na nią, błagając bez słowa.

Otworzyła drzwi i obejrzała się na niego.

– Żegnaj – powiedziała. – I niech Bóg ulituje się nad twoją duszą. Twoją biedną, biedną duszą.

Zamknęła drzwi, a on zniknął jej z widoku.

Biegła i biegła, i biegła przez bezkresne korytarze nocy – tak jak kiedyś biegła Starr, pokonując niekończącą się odległość pomiędzy jego łóżkiem a jego drzwiami – biegła mile całe, biegła całymi godzinami, mijając niezliczone zakręty, szerokie ulice i wąskie zaułki, łagodnie wzniesienia i stoki, gęszcze taksówek i innych pojazdów, zatrzymywana przez portierów i windziarzy, aż w końcu bieg ustała, a ona legła nieruchomo, trzymając garść drobnych białych tabletek w jednej ręce i w połowie pustą fiolkę w drugiej.

Kiedy raniem otworzyła oczy, budząc się z wywołanego środkiem uspokajającym snu, od razu wiedziała. Nie było go już z nią na tym świecie. Był martwy.

Była taka pewna, tak przekonana, że niemal nie widziała potrzeby, by się upewnić. Gdy się ubrała, podeszła do okna, tak jak wczoraj, i

stała, wyglądając. To wczoraj wydawało się tak dawno temu...

Podniosła wzrok ku niebu i przemykającym po nim obłokom jak małym, puchatym kulkom białej bawełny, z których kilka rozpadło się od siły własnego pędu. Czy świat bez niego był lepszy? Czy gorszy? Ni jedno, ni drugie, wiedziała. Ten świat na nic nie zważał, nie wiedział nawet, że jego już nie ma. Ot, jedna żywa dusza mniej, i tyle.

Przypadkiem zerknęła na zegarek na swojej ręce i zobaczyła, że jest dwie po wpół do. Pora akurat na wiadomości. Ominęła ją może pierwsza informacja, ale ta z pewnością dotyczyła polityki, najprawdopodobniej Kongo. Przekręciła gałkę małego radjka tranzystorowego, które miało tę zaletę, że nie musiało się nagrzewać. Radio rozbrzmiało nagle w środku wiadomości o strzelaninie związanej z narkotykami gdzieś w West Side. Wysłuchiła programu informacyjnego do końca, lecz nie usłyszała niczego, co miałoby dla niej jakieś znaczenie.

A potem znów puścili muzykę. Zostawiła radio włączone, lecz nie zwracała uwagi na to, co docierało do jej uszu. Poczowała impuls, by wyłączyć odbiornik i lampę, i przypomniała sobie, kiedy doświadczyła tego poprzednim razem – biorąc do ręki rewolwer swego ojca i przyciskając go sobie do skroni.

Gdyby tylko wypalił, kiedy pociągnęła za spust... Przypomniał jej się Vernon Herrick, dzikość jego spojrzenia, gdy mówił jej o swojej ranie odniesionej na Tarawie. Miał rację – czasami szczęściarzami byli ci, którzy umierali.

*Ty i ja, razem, tylko we dwoje,
W państewku, co dla nas samych otwiera swe podwoje,
Obywateli ma równo dwóch...*

Zamarła. Czyżby miała halucynacje? Czy to jej piosenka leciała teraz w radiu?

Melodia brzmiała nieznajomo, nigdy jej wcześniej nie słyszała. Ale słowa były jej, był to jedyny fragment tekstu, który pochwaliła Dell. Reszta słów brzmiała równie obco jak melodia. Słuchiła piosenki jak zaczarowana, a na koniec jej fragment tekstu powrócił jako moment kulminacyjny.

*Ty i ja, razem, tylko we dwoje,
W państewku, co dla nas samych otwiera swe podwoje,
Obywateli ma równo dwóch...*

Nietrudno było zgadnąć, co się musiało wydarzyć. Dell, bardziej oczarowana słowami, niż miałyby ochotę się przyznać, przekazała je jakiemuś zawodowemu twórcy. A on wplótł je w tekst, kradnąc bez zmrużenia oka, i teraz jakaś artystka nagrała piosenkę, którą puszczano na antenie – która mogła nawet stać się szlagierem.

Co za ironia, pomyślała Madeline. Że piosenka z tym akurat tekstem miała stać się popularna w tym momencie jej życia.

Bo oto wróciła do punktu wyjścia. Była sama, tkwiła na własnej bezludnej wyspie.

Która obywatelkę ma tylko jedną.

Kręciła gałką radia, usiłując znaleźć piosenkę na innej stacji, gdy usłyszała pukanie.

Policja, pomyślała.

Wyłączyła radio, podeszła do drzwi.

– Kto tam? – zawołała.

Odpowiedź nadeszła stłumiona. Nie mogła jej zrozumieć.

– Kto tam?

– Może otworzysz i sama sprawdzisz?

To był jego głos! Serce w niej podskoczyło. Otworzyła drzwi i na jego widok zadrżała.

– Zdarzyło się coś niezwykłego – oznajmił. – Przeszedłem przez to samo, przez co ty musiałaś przejść rok temu, z tą różnicą, że rewolwer nie wypalił przypadkiem i nikogo nie zabił. Wydarzyło się to jedynie w mojej wyobraźni, ale sprowadza się do tego samego. Wybrałem życie.

Serce załomotało jej w piersi. Spojrzała mu w oczu, poczuła jego siłę.

– A co ty wybierasz, Madeline?

Już była w jego ramionach. A on tulił ją mocno, gładził jej włosy.

*Ty i ja, razem, tylko we dwoje,
W państewku, co dla nas samych otwiera swe podwoje,
Obywateli ma równo dwóch...*

Czy nie wyłączyła radia? Oczywiście, że tak. Ale muzyka grała w jej sercu, w jej duszy. Raz już wybrała życie – życie w samotności, życie dla zemsty. Teraz znowu wybierała życie – życie z nim, życie dla miłości.

Muzyka grała coraz głośniejsze, zagłuszając wszelkie myśli...

Francis M. Nevins*

Posłowie do „Ślepej nocy”

* Francis M. Nevins – profesor na Wydziale Prawa Uniwersytetu w St. Louis, gdzie naucza od 1971 roku – jest autorem obszernej monografii „Cornell Woolrich: First You Dream, Then You Die” [*Cornell Woolrich: najpierw marzysz, potem umierasz*] (Mysterious Press, New York 1988), za którą otrzymał prestiżową The Edgar Allan Poe Award (tzw. nagrodę Edgara).

25 września 1968 roku na korytarzu hotelu Sheraton Russell na Manhattanie jednonogi mężczyzna na wózku inwalidzkim doznał udaru. Miał sześćdziesiąt cztery lata, lecz wyglądał prawie na dziewięćdziesiąt. Nazywał się Cornell Woolrich. Był największym twórcą prozy z suspensem, jaki kiedykolwiek pojawił się na świecie. Jego z górą dwadzieścia powieści i ponad dwieście opowiadań i nowel miało tak samo rozzdzierającą moc, taki sam wydzźwięk przerażenia, niepokoju, samotności i rozpaczki jak najmroczniejsze filmy jego filmowej bratniej duszy, Alfreda Hitchcocka. Większość dorosłego życia spędził w hotelu mieszkalnym, żyjąc z matką, schwytyany w pułapkę dziwnych miłosno-nienawistnych relacji z rodzicielką i uwięziony w ruchomych piaskach pogardy dla samego siebie i własnego homoseksualizmu.

Cornell George Hopley-Woolrich urodził się 4 grudnia 1903 roku w Nowym Jorku. Gdy był jeszcze chłopcem, rozpadło się małżeństwo jego rodziców. Większość dzieciństwa spędził w Meksyku z ojcem Genaro Hopley-Woolrichem, inżynierem budownictwa. Kiedy miał osiem lat, dziadek ze strony matki zabrał go do Pałacu Sztuk Pięknych w Mexico City, aby obejrzał francuską trupę wędrowną przedstawiającą *Madame Butterfly* Pucciniego. To doświadczenie dało młodemu Woolrichowi pierwszy wgląd w koloryt i dramatyzm opery i pozwoliło

po raz pierwszy zasmakować tragedii. Trzy lata później, wpatrując się pewnej nocy w gwiazdy wiszące nisko nad doliną Anahuac, w pełni zrozumiał, że któregoś dnia, tak jak Cio-Cio-San, on też będzie musiał umrzeć. Od tej chwili już zawsze nękany był świadomością wiszącego nad nim fatum: „Czułem się uwięziony – pisał w swojej niedokończonyj autobiografii – jak jakiś biedny owad, którego ktoś umieścił pod przewróconym do góry dnem słojem i który próbuje wspinać się po ściankach, lecz nie może, nie może, nie może...”

W wieku młodzieńczym zamieszkał z matką, ciotką i dziadkiem ze strony matki w pełnym przepychu domu dziadka przy Sto Trzynastej Ulicy w pobliżu Morningside Park, kilka kroków od Uniwersytetu Columbia. W roku 1921 wstąpił do Columbia College, jako przedmiot wiodący wybierając dziennikarstwo. Pieniądze na czesne przysyłał z Mexico City jego ojciec. Już na pierwszym roku podczas przedłużającej się choroby zaczął eksperymentować z literaturą, ołówkiem na pożółkłych kartkach papieru, jakie udało mu się znaleźć w domu, tworząc pierwszy rękopis powieści. Od początku pisał szybko, jak w amoku. „Potok słów był jak łuk elektryczny przeskakujący ponad pustą przestrzenią pomiędzy jedną elektrodą a drugą, pomiędzy mną a papierem.... Męczył mnie i nie chciał odpuścić. ... Nie dało się go powstrzymać, musiał przestać płynąć sam. I w końcu przestawał, równie niespodziewanie, jak płynąć zaczynał. Pozostawiając mnie bez sił...”

Zanim wydobrał na tyle, że mógł wrócić na uczelnię, uzależnił się od pisania. Co wieczór od dziewiątej do północy siedział w pokoju na piętrze i pisał jak opętany – drzwi zamknięte, birmańska lampa w kształcie słonia zapalona na postumencie za jego plecami.

Późną wiosną 1924 roku pierwszy szkic pierwszej powieści był gotowy, a on pożyczył od przyjaciela maszynę do pisania, by nadać mu czytelną formę. Kiedy powieść znalazła wydawcę, Woolrich porzucił Columbię i poświęcił się realizacji swego marzenia o blasku jupiterów, wesołej muzyce i błyskawicznej karierze jak ta, która stała się udziałem literackiego bożyszcza całego tamtego pokolenia, Francisca Scotta Fitzgeralda.

Wczesna, nie-suspensowa proza Woolricha przesycona jest wpływem Fitzgeralda, zwłaszcza jego pierwsza powieść *Cover Charge* (1926). Jest to kronika życia i miłości złotej młodzieży Ery Jazzu –

wiecznych dzieci, żyjących od podniety do podniety, mówiących pretensjonalnym slangiem, który sześćdziesiąt lat później brzmi jak bełkot stworzeń z innej galaktyki. Ciekawa jest jednak chociażby ze względu na to, jak los jej głównego bohatera przepowiada losy autora. Tancerz Alan Walker znajduje się sam w tanim hotelowym pokoju, pozbawiony władzy w nogach w wyniku wypadku, który po pijanemu sam spowodował; opuszczony przez wszystkie kobiety, które kochał, myśli o samobójstwie. „Nienawidzę tego świata” – krzyczy. „Wszystko, co nań przychodzi, jest takie czyste, a co z niego odchodzi – takie zbrukane”.

Po tej debiutanckiej powieści ukazała się następna, *Children of the Ritz* (1927), zagmatwana historia rozpieszczonej dziedziczki fortuny i jej małżeństwa z własnym szoferem. Nagrodzenie tej książki w jednym z konkursów dało Woolrichowi 10.000 \$ i kontrakt ze studiem filmowym First National Pictures, które kupiło od niego prawa autorskie. Został zaproszony do Hollywood, by pomóc przy adaptacji, i pozostał tam, mając się różnych prac pisarskich.

Poza tekstami dla studia filmowego oraz artykułami czy opowiadaniem dostarczonymi od czasu do czasu do magazynów takich jak *College Humor* i *Smart Set*, zdołał w tym czasie napisać jeszcze trzy powieści. Na początku roku 1931 po krótkim, niewytłumaczalnym i katastrofalnym w skutkach małżeństwie z córką jednego z producentów filmowych Woolrich uciekł z powrotem na Manhattan i do matki. W jego ostatniej powieści reprezentującej literaturę głównego nurtu, *Manhattan Love Song* (1932), można już odnaleźć zapowiedź motywów charakterystycznych dla jego późniejszej prozy suspensu, mianowicie parę młodych kochanków prześladowanych przez złośliwe fatum doprowadzające jedno z nich do śmierci, a drugie do rozpacz i samotności.

W ciągu dwóch kolejnych lat stał się jedną z ofiar Wielkiego Kryzysu. Nie sprzedawał prawie nic i szybko zaczął tonąć w długach, tak iż nawet do kina dla odrobiny rozrywki zmuszony był wślizgiwać się przez drzwi przeciwpożarowe. Nie wiedział jednak, że stoi u progu nowego życia artystycznego, że wkrótce zostanie najważniejszym twórcą prozy suspensu na świecie.

*

W roku 1934 Woolrich postanowił porzucić świat „wielkiej literatury” i skupić się na prozie kryminalnej. W tym samym roku sprzedał magazynom publikującym tzw. „pulp fiction” trzy opowiadania, a w 1935 – już dziesięć. Wkrótce stał się poważanym fachowcem w tej dziedzinie, a jego nazwisko nie schodziło niemalże z okładek takich pism, jak *Black Mask*, *Detective Fiction Weekly*, *Dime Detective* i niezliczonych innych. W latach trzydziestych Woolrich sprzedał pisemkom łącznie ponad setkę bardzo zróżnicowanych opowiadań i nowel. Znalazły się wśród nich quasi-policyjne sprawozdania, nowelki o wartkiej akcji i opowiadki okultystyczne. Najlepiej jednak dał się poznać jako mistrz czystego, przyprawiającego o dreszcze suspense, przy czym nawet tytuły sygnalizują dominujący w nich nastrój przygnębienia i rozpacz: „Nie chciałbym być na twoim miejscu” (*I Wouldn't Be in Your Shoes*), „Pomów ze mną o śmierci” (*Speak to Me of Death*), „Aż tu nagle nie ma Alice” (*All at Once, No Alice*), „Od zmierzchu do świtu” (*Dusk to Dawn*), „Mężczyźni muszą umrzeć” (*Men Must Die*), „Gdybym miał umrzeć, zanim się obudzę” (*If I Should Die Before I Wake*), „Żywi legną z umarłymi” (*The Living Lie Down with the Dead*), „Charlie dziś wieczór nie wróci” (*Charlie Won't Be Home Tonight*), „Już mnie więcej nie zobaczysz” (*You'll Never See Me Again*) – te i dziesiątki innych opowieści ukazują z przerażającą mocą desperację ludzi chodzących mrocznymi ulicami miasta i grozę czyhającą w białych dzień w najzwyczajniejszych miejscach. W jego wydaniu nawet tak wyświechtane tematy jak wyścig z czasem, mający na celu ocalenie niewinnej osoby przed krzesłem elektrycznym, czy poszukiwanie własnej tożsamości przez człowieka cierpiącego na amnezję emanują ogromnym ludzkim niepokojem. Świat Woolricha to ogarnięte gorączką miejsce, gdzie wśród emocji dominuje osamotnienie i strach, zaś wśród tematów wyścig z czasem i śmiercią. Najbardziej typowe z jego opowiadań detektywistycznych kończą się odkryciem, że nie jest możliwe żadne racjonalne wytłumaczenie przebiegu zdarzeń, zaś opowiadania z suspensem zwykle zostawiają nas z uczuciem wszechobecnego przerażenia, które nie daje się rozproszyć.

Typowe miejsce akcji w twórczości Woolricha to zapuszczony hotel, tania tancbuda, podupadłe kino i pokoik na zapleczu posterunku

policji. Przytłaczającą rzeczywistością, przynajmniej w latach trzydziestych, jest Wielki Kryzys. Woolrich nie ma sobie równych, gdy chodzi o opis wystraszonego małego człowieczka w mieszkaniu jak klitka, bez pieniędzy, bez pracy, z głodującą żoną i dziećmi, i lękiem pożerającym go niczym rak. Jeśli bohater Woolricha jest zakochany, jego ukochana najczęściej znika w taki sposób, że ów bohater nie tylko nie jest w stanie jej odnaleźć, ale też nie potrafi nikogo przekonać, że ta w ogóle istniała. W innej typowej dla tego pisarza sytuacji bohater odzyskuje przytomność po jakimś czasie spędzonym w nieświadomości, spowodowanej amnezją, narkotykami, hipnozą bądź innymi czynnikami, i powoli nabiera przekonania, że w czasie, kiedy nie był sobą, popełnił morderstwo bądź jakąś inną zbrodnię. Policja rzadko bywa pomocna – stróże prawa najczęściej okazują się ziemskimi przedstawicielami złośliwych mocy rządzących światem, a ich główna funkcja polega na dręczeniu bezradnych.

Woolrich sugeruje, że w koszmarnym świecie, w jakim egzystujemy, wszystko, co możemy zrobić, to jeśli nam się poszczęści, stworzyć kilka wysepek miłości i zaufania, które podtrzymają w nas życie, pomogą zapomnieć. Ale miłość umiera, choć kochankowie żyją nadal, a Woolrich celuje w zmuszaniu nas do podglądania niszczących związków. On sam znał wszystkie zagrożenia niesione zarówno przez miłość, jak i przez jej brak, a jednak stworzył niewiele jednoznacznie złych postaci, jako że z każdym, kto kocha lub miłości pragnie, Woolrich się identyfikuje, nie bacząc na najciemniejsze nawet cechy jego osobowości.

Technicznie wiele powieści i opowiadań Woolricha jest okropnych. Nie mają najmniejszego sensu. Ale w tym właśnie rzecz: podobnie nie ma go życie. Niemniej jednak niektóre z jego dzieł, zwykle dzięki jakiemś niezmiernemu zbiegowi okoliczności, kończą się nawet całkiem szczęśliwie. Ponieważ jednak Woolrich nie stworzył żadnego seryjnego bohatera, czytelnik nigdy nie wie z wyprzedzeniem, czy dana opowieść będzie jasna czy mroczna, czy dana postać skończy jako zwycięzca czy jako pokonany. I to jest właśnie jeden z powodów, dla których jego twórczość jest tak niepokojąco nasycona suspensem.

*

W roku 1940 Woolrich dołączył do rzeszy pisarzy, którzy opuścili tandetnie ilustrowane magazyny z „pulpą”, by zacząć tworzyć powieści wydawane jako odrębne książki; jego powieści z suspensem stanowią jednak kontynuację motywów, poglądów i środków wyrazu, które nasycały energią jego krótkie formy. Jedenaście powieści wydanych w latach czterdziestych – sześć pod własnym nazwiskiem, cztery jako William Irish i jedna jako George Hopley – stanowi niedoścignioną klasykę poezji strachu. *Pana młoda w żalobie*.

Kurtyna z czerni. Czarne alibi. Pani Widmo. Anioł w czerni. Przed świtem. Czarna ścieżka strachu. Noc ma tysiąc oczu. Grzeszna miłość. Spotkania w mroku. Niewinna. Te tytuły, wszystkie wydane między rokiem 1940 a 1948, tworzą najwybitniejszą grupę powieści z suspensem, jakie kiedykolwiek zostały napisane.

Były to jego najlepsze lata, to wtedy stał się zamożnym człowiekiem, supergwiazdą swojego gatunku. Wydawcy zaczęli wypuszczać zbiory jego krótszych form literackich w twardych i miękkich okładkach, które wkrótce wzbudziły zainteresowanie twórców wielkich serii teatru radiowego lat czterdziestych, a dzięki nim powstały dziesiątki słuchowisk opartych na opowiadaniach Woolricha w *Suspense*, *Molle Mystery Theatre* i im podobnych. W międzyczasie także Hollywood odkryło na nowo „cudownego chłopca” lat dwudziestych i płaciło mu przyzwocie za prawo do kręcenia filmów na podstawie wielu z jego opowiadań i powieści. Obrazy owe pomogły ukształtować charakterystyczny dla lat czterdziestych typ kina z suspensem znany dziś jako *film noir*. Jednak ani pieniądze, ani pochlebstwa nie czyniły Woolricha szczęśliwym. W liście z 2 lutego 1947 roku do profesora na Columbii i poety Marka Van Dorena wydawał się przypisywać swój brak szczęścia temu, że był czczony jedynie jako autor kryminałów, a nie jako wybitna postać literatury.

„Z tego powodu niechętnie wspominam czas spędzony na Columbii; ta przepaść pomiędzy oczekiwaniami a osiągnięciami jest zbyt duża”. Z drugiej strony, choć zbroja pogardy dla samego siebie, którą osłaniał się Woolrich, była nie do przeniknięcia, jest mało prawdopodobne, by poczuł się szczęśliwszy, gdyby nawet okrzyknięto go drugim Scottem Fitzgeraldem.

Pod koniec lat czterdziestych poważnie zachorowała matka Woolricha, co w połączeniu z jego własnymi problemami zdawało się

paraliżować w nim zdolność i pragnienie pisania. W latach pięćdziesiątych wydawał bardzo mało, lecz i on, i jego matka nadal żyli w wygodnym odosobnieniu, gdyż okazało się, że jego opowiadania z równą łatwością dają się adaptować w telewizji, jak w poprzedniej dekadzie w radiu, tak iż niemal wszystkie klasyczne serie teatru telewizji – *Robert Montgomery Presents*, *Ford Theater*, *Schlitz Playhouse of Stars*, *Alfred Hitchcock Presents*, *Climax!*, a nawet prestiżowy *Playhouse 90* – miały na koncie coś z jego tekstów, sfilmowanych bądź prezentowanych na żywo.

Dzień, w którym w 1957 roku zmarła jego matka, był dniem, w którym zaczął umierać on sam, choć w jego przypadku proces ten ciągnął się przez ponad dziesięć lat. Cukrzyk i alkoholik, dręczony samotnością i nienawiścią do samego siebie, wegetował przez ostatnie lata swego życia. Nadal pisał, lecz większości utworów nie kończył, a jedynym dziełem, które ukazało się w druku w latach sześćdziesiątych, była garstka ostatnich „opowiadań o miłości i rozpacz”. W nodze rozwinęła mu się gangrena, a zaniedbywał ją tak długo, że kiedy wreszcie postanowił poszukać pomocy medycznej, lekarzowi nie pozostało nic innego, jak tylko amputacja. Po operacji poruszał się przez kilka miesięcy na wózku inwalidzkim, nie będąc w stanie nauczyć się chodzić z protezą. Miał wygląd „oszołomionego starca”, wyznał pisarz science fiction Barry N. Malzberg, który pod koniec życia był z Woolrichem w najbliższych stosunkach. „Tam, gdzie kiedyś rysowały się wyraźne linie, teraz była tylko galaretowata substancja, która raz dotknięta, nie powracała już do pierwotnego kształtu”. Jego oczy jednak pozostały „otwarte i wilgotne, dziwnie dziecinne i wrażliwe”.

Wszystko skończyło się 25 września 1968 roku, dwa i pół miesiąca przed jego sześćdziesiątymi piątymi urodzinami. Zanim karetka przewiozła go z hotelowego korytarza do szpitala Wickersham, już nie żył. Nie pozostawił po sobie żadnych bliskich. Na pogrzebie zjawilo się dokładnie pięć osób.

Ta garść opowiadań, które ukończył w ostatnich latach życia, nie była bynajmniej jedynym owocem jego twórczości z tego okresu. Wśród papierów znaleziono maszynopisy jeszcze czterech dzieł w trakcie

tworzenia. Napisał kilka rozdziałów z mocno zbeletryzowanej autobiografii, którą zatytułował *Smutki całego życia* (*The Blues of a Lifetime*), fragmenty paru nie-suspensowych opowiadań, które zamierzał wykorzystać w zbiorze zatytułowanym *Czekałem na ciebie* (*I Was Waiting for You*), trzy kluczowe rozdziały powieści o jakże woolrichowsko brzmiącym tytule *Przegraną* (*Looser*) oraz niniejszy tekst.

Po raz pierwszy przeczytałem *Ślepą noc* około roku 1970, krótko po tym, jak zostałem doradcą do spraw spuścizny po Woolrichu, i napisałem jakiś rok później (w moim zbiorze dzieł Woolricha z 1971 roku), że uważam, iż zawiera ona kilka z najbardziej niepokojących scen, jakie Woolrich stworzył w ciągu ostatnich dwudziestu lat swego życia. Teraz, kiedy tekst został dokończony i wydany, nie widzę powodu, by tę opinię zmieniać. Woolrich mógł myśleć, że porzucił w końcu suspens i powracał do źródeł, do bardziej ambitnej literatury, jednak *Ślepa noc* wywodzi się w prostej linii od jego klasycznych thrillerów z lat czterdziestych. Powodowane poczuciem winy wejście Madeline Chalmers w życie młodej dziewczyny, którą przypadkowo zabiła, zaciekłość, z jaką postanawia pomścić urwane życie tamtej poprzez zadanie śmierci jeszcze jednej kobiecie i mężczyźnie, to, jak przybiera co rusz to nowe postacie, jak wdziera się do światów tej dwójki, której życie ma zniszczyć (i wbrew sobie zakochuje się w mężczyźnie, którego we własnym mniemaniu musi zabić) – żaden z wyżej wymienionych motywów nie zaskoczy czytelników, którzy znają wspaniałe postacie mścicielek Woolricha z *Panny młodej w żałobie* (1940) i *Aniela w czerni* (1943). Podobnie jak dwa jego ostatnie opowiadania, będące kwintesencją napięcia w literaturze – „Do końca jej dni” (*For the Rest of Her Life* – 1968) i „Nowojorski blues” (*New York Blues* – 1970) – *Ślepa noc* pokazuje, że nawet w tych ostatnich, najpodlejszych latach życia Woolrich nie stracił swej magicznej mocy, która tak chwyta za serce. Niezmiernie cieszę się, widząc tę niesamowitą powieść w druku.

Można jednak zadawać sobie pytanie, ile z tego jest autorstwa Woolricha, a ile Lawrence'a Blocka?

W ciągu tych kilku lat, kiedy Woolrich pracował z przerwami nad niniejszą książką, najwyraźniej przestały mu się podobać jej pierwsze

strony, więc je wyrzucił. Maszynopis w takim kształcie, w jakim go teraz posiadamy, a który przechowywany jest w dziale unikatów i rękopisów Biblioteki Uniwersytetu Columbia, zaczyna się na stronie 23 od słów: „Madeline przez długi czas stała nieruchomo...” Każde słowo wydane drukiem tekstu od początku aż do tego momentu (str. 22 niniejszego wydania) pochodzi od Blocka.

Znakomita większość reszty tekstu to dzieło Woolricha, które wymagało nie więcej korekty redaktorskiej, niż byłaby potrzebna, gdyby żył i dokończył powieść sam. Jednakże stron 73, 75-78, 83, 87-88 i 100-101 z maszynopisu także brakuje i Block musiał uzupełnić luki w scenach rozgrywających się pomiędzy Madeline a piosenkarką Adelaide Nelson. To on odpowiada za poniższe fragmenty wydane drukiem tekstu:

Od: „– Co pani ma na myśli?” (str. 58) do: „Druga Dell była cichsza, nie tak silna.” (str. 63)

Od: „Jeśli pewnego dnia obudzę się z chrypką” (str. 65) do: „Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to żeby ktoś mi tu wchodził w nieodpowiednim momencie.” (str. 67)

Od: „– Co jest, do diabła? – rzekła.” (str. 69) do: „Jak się poznaliście?” (str. 70)

Od: „– Problem w tym – mówi” (str. 78) do: „w głowie ci huczy.” (str. 79).

Kolejna luka w tekście Woolricha wypada podczas rozmowy Madeline z panią Fairfield, tak iż wydany tekst od „Nie podejrzewam, by większość osób przynosiła pieniądze osobiście” (str. 131) do „według książki telefonicznej mieszkał pierwszy z V. Herricków, ten z Lane Street.” (str. 132) jest autorstwa Blocka. Kiedy niewłaściwy Herrick opowiada Madeline o swoim kalectwie nabytym podczas drugiej wojny światowej, kilkaset słów owej sceny (od „Kawałek piekła pośrodku oceanu” na str. 137 do „– Mój Boże – szepnęła.” na str. 138) zostało uzupełnionych przez Blocka. Kilka ostatnich krótkich akapitów w scenie na str. 148, kiedy Madeline odkrywa zdjęcie z zakładu Vicka, to również wkład Blocka.

Maszynopis będący w naszym posiadaniu nie ma zakończenia. Wraz ze śmiercią Woolricha historia tych udęczonych ludzi zakończyła się na słowach: „które miało tę zaletę, że nie musiało się nagrzewać” na str. 199. Od tego miejsca do końca autorem *Ślepej nocy* jest Lawrence Block. I jeśli jest coś, co mogłoby się nie spodobać w

tym skądinąd genialnym dziele będącym efektem dopasowania się do fabuły, stylu i ducha Woolricha, to są to właśnie te ostatnie strony, które przynajmniej mnie wydają się zbyt ładne, by mogły pasować do tego, co zaszło wcześniej.

Block wybrał optymistyczne zakończenie, bo czuł, że tak powinien w świetle dwóch ostatnich stron maszynopisu w takiej formie, w jakiej się one zachowały, stron, z których Woolrich wykreślił niemal wszystko, pozostawiając jedynie kilka słów, jednakże te, które pomimo skreśleń dają się odczytać, dowodzą ponad wszelką wątpliwość, że pisząc, Woolrich planował wyjątkowo sentymentalny happy end. Ci jednak, którzy uważają, że opowieść powinna się zamknąć bardziej mrocznie, mogą na poparcie przytoczyć pewien drobiazg z owych pokreślonych stron. Madeline i Vick spotykają się, *jednak on zwraca się do niej „Starr”*. O ile nie jest to zwykła pomyłka ze strony Woolricha, to zdanie to niesie ze sobą najróżniejsze możliwości: że bliski śmierci z ręki Madeline, Vick oszalał; że uważa, iż Madeline to prawdziwa Starr, która wróciła do niego po śmierci; że Madeline wypełnia pokutę, przyjmując na siebie rolę Starr, naprawiając zło, które wyrządziła na początku książki poprzez przywrócenie kobiety, którą zabiła, do życia i w ramiona Vicka ze wszystkimi kazirodczymi konsekwencjami tego związku. Oto pokrętne, przewrotne, pesymistyczne zakończenie, które być może wybrałby Woolrich, gdyby żył dostatecznie długo i zdążył dopracować wszystkie szczegóły. A może jednak to tylko zwykła pomyłka?

„**P**róbowałem tylko oszukać śmierć”, napisał Woolrich we fragmencie znalezionym pośród jego zapisków. „Starałem się jedynie pokonać na krótką chwilę ciemność, która – czego byłem pewny przez całe swe życie – jednego dnia miała mnie spowić i unicestwić. Usiłowałem tylko pozostać wśród żywych odrobinę dłużej po tym, jak już odejdę”. Kiedyś oczywiście musiał umrzeć – tak jak każdy. Lecz tak długo, jak istnieją czytelnicy dręczeni przez jego widma, będący pod wrażeniem tego, jak swe nieszczęsne środowisko psychologiczne, swe poczucie uwięzienia i samotność przemieniał w poezję cieni, tak długo świat wyobrażony przez Woolricha będzie żył.

